NAD NIEMNEM.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

TOM TRZECI.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 15 Января 1888 года.

Warszawa —Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr· 66.

I.

Wielką panią — jak nazywał ją Anzelm Bohatyrowicz—Andrzejowa Korczyńska nie była; ale gdy młodziutka, piękna i posażna, przed trzydziestu kilku laty jednego z trzech braci Korczyńskich zaślubiała, powszechnie utrzymywano, że do małżeństwa tego tylko miłość skłaniać ją mogła. Starających się o jéj serce, rękę i majątek było wielu, wybrała z nich najmniéj bogatego i noszącego nazwisko najskromniejsze. Kochała—z ukochanym łączyła się w uczuciach i dążeniach, które młodość jego napełniły, a wkrótce przedwcześnie życie przecięły. Milionów mu w posagu nie wniosła, ale majątek, znacznie wartością przewyższający ten, który on posiadał, a stanowiący dziedzictwo piękne, do niéj jako do jedynaczki wyłącznie należące. Osowce — podług ówczesnego rachunku — posiadały około stu chat, ziemi wiele, lasy piękne, dwór z pretensyonalną nieco wspaniałością zbudowany. Od razu

poznać było można, że wzniósł go był szlachcic, z panami w zawody wstępujący.

Dom, na wiele mil dokoła pałacem nazywany, był poprostu dwupiętrową kamienicą, z dwoma rzędami wielkich okien, czerwonym blaszanym dachem i szérokim, krytym podjazdem, którego arkady oplatała niezmierna gęstwina dzikiego bluszczu. Budowa ta, dość zimno i nago wyglądająca, miała przed sobą ogromny dziedziniec, zdobny w klomby i trawniki, a tło jéj stanowiły stare alee i za niemi, na znacznéj przestrzeni rozciągnięty, tak zwany ogród angielski, w którego głębi błyskała sieć wązkich dróżek, bielały w różnych kierunkach rozstawione ławki i wdzięcznemi łukami wyginały się mostki, nad wązką, bystrą, wiecznie szumiącą rzeczką zawieszone. Niemna tu nie było, ale rzéczka przebiegając ogród, o wiorstę ztąd do niego wpadała, i tam, w wielkim trójkącie utworzonym przez jedno szérokie, a drugie wązkie koryto, na rozległéj łące wznosiły się łancuchy niewysokich, widocznie sztucznych wzgórz, którym miejscowa ludność dawała nazwę okopów szwedzkich. Podanie niosło, że niegdyś, przed dwoma wiekami, obozowały tam wielkie wojska i staczano krwawe bitwy. Gdy aleje i zarośle ogrodu w jesieni liście traciły, łąkę, okopy i dwie łączące się rzéki, wielką i małą, w dalekiéj perspektywie widać było

z okien górnego piętra osowieckiego domu, czy pałacu.

W tym domu, czy w tym pałacu, pani Andrzejowa urodziła się, wzrosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem ośmiu lat, które jéj u boku męża i w jego domu upłynęły. U początku tych lat wyjechała ztąd oblubienicą młodą i szczęściem promieniającą; u końca ich wróciła wdową, w czarnych szatach, których już nigdy zdjąć nie miała. Nigdy nie była płochą, zalotną, ani do zbytku wesołą; w piérwszéj nawet młodości i najszczęśliwszych chwilach, wyniosła jéj postać zachowywała coś z ciszy i powagi, znamionujących głębokość i powściągliwość uczuć, a w samém rozpromienieniu, z jakiém od ślubnego ołtarza odchodziła, czuć było skupienie się, rozmyślanie, wewnętrzną modlitwę, przebłyski natury usposobionéj do surowości względem siebie, a może i do mistycyzmu. Ktokolwiek jednak znał ją w owéj porze życia, pamiętał, że cera jéj twarzy przypominała kwitnące róże, a układ i mowa, jakkolwiek poważniejsze i powściągliwsze niż powszechnie u kobiét jéj wieku i położenia bywało, posiadały wiele uprzejmości i wdzięku, świadcząc zarazem o zdolności do szlachetnych uniesień i zapałów.

Wiedziano powszechnie, że dzieliła wszystkie przekonania i dążenia swego męża. Żona patryoty i demokraty, była mu ona powiernicą, wspól-

niczką, a jeżeli w pracy jego zbliżania się do ludu i zawiązywania z nim poufałych węzłów dopomagać mu nie mogła, nie wynikało to z pychy, wzgardliwości, albo z kastowych przesądów, ale z zupełnéj niezdolności do chwilowego choćby rozstania się z wykwintnemi formami, do cierpliwego znoszenia zjawisk życia grubych i trywialnych. Nikt lepiéj i łatwiéj od Andrzeja nie umiał zbliżać się do serc prostych, do nieoświeconych umysłów, do nieokrzesanych postaci ludzkich, i nikt do téj czynności od jego żony mniéj zdolnym nie był. On, zakochany w niéj i wybornie ją rozumiejący, z łatwością i wesoło jéj to pobłażał; ona, zasmuconą i upokorzoną się czuła tym jedynym rozdźwiękiem, który w zupełnéj zkądinąd zgodzie ich panował. Chciała, usiłowała, pracowała nad sobą, walczyła z przyzwyczajeniami i najgłębszemi instynktami swemi, — nie mogła.

Wiele, wiele razy wchodziła była do nizkich chat, z sercem pełném życzliwych uczuć, i zawsze stawała tam ze swą wspaniałą postawą i podniesioną głową, jak bogini, która w progi śmiertelnych wstąpić raczyła, z pozóru dumna i pogardliwa, w głębi rozpaczliwie zmieszana: co uczynić i jak mówić niewiedząca, wobec nieznanéj sobie siły niedołężna, oświécona, a stojącéj przed nią, zagadki nie rozumiejąca, pełna najprzyjaźniejszych uczuć, a drżąca od wstrętu, obu-

dzanego w niéj przez prozaiczność, prostaczość i chropowatość gruntu, na który wstąpiła. Ilekroć przemówiła—nie rozumiano jéj; gdy do niéj mówiono — nie rozumiała. Ogół ją pociągał, szczegóły raziły i odstręczały. Z nieprzezwyciężoną odrazą spoglądała na brudne ciała, niezgrabną odzież, odymione ściany, zgrubiałe i wykrzywione kształty i rysy. W duszę tego wielkiego zbiorowego zjawiska wierzyła i zrozumiéć ją pragnęła, ale aby do jéj powłoki końcem palca dotknąć, ciężko z sobą walczyć musiała. Machinalnie cofała się przed trochą rozsypanego na ziemi śmiecia; do choroby prawie dławiły ją zapachy obór i stajeń.

Zdolna do zrozumienia najwznioślejszych abstrakcyj i do namiętnego przeniknięcia się niemi, jak dziécię zdziwione i przelęknione stawała w obec wszelkiéj choć trochę suchéj i twardéj realności życia. Wiedziała o tém, że z tych realności: z faktów, z cyfr, z poziomych prac, splata się drabina, wiodąca ku ideałom; ideały kochała i rozumiała, ale żadnego szczebla prowadzącéj ku nim drabiny własnemi rękami upleść nie mogła. Przeszkadzała jéj w tém niezmierna estetyczność i wykwintność przyzwyczajeń i smaku, tudzież duma prawie bezwiedna, ale całą jéj istotą rządząca; duma nie tyle wysoko urodzonéj i bogatéj kobiéty, ile istoty czującéj, że sercem, myślą, smakiem wzniosła się nad wszelką pospo-

litość, płochość i prozę, że zdolną była do wielkiéj czystości i podniosłości życia. Za dumę tę, nie rodową, nie majątkową, lecz raczéj z idealistycznego pojmowania życia pochodzącą, do któréj jednak mimo jéj woli i wiedzy mieszało się coś z arystokratyzmu rodu i majątku, — karciła siebie nieraz, wyrzucała ją sobie i ze względu na jedyny rozdział, który ona stanowiła między nią a ukochanym przez nią człowiekiem, i przez głęboką religijność, która wszystkich na ziemi ludzi miłością i pobłażaniem ogarniać nakazywała. Jednak zniszczyć jéj w sobie nie mogła, — nie dla tego, aby była słabą i dla siebie pobłażliwą, ale może dla tego, że ta jéj właściwość ściekła w nię razem z krwią wielu pokoleń, utrwalała się w atmosferze komfortu, poezyi, wyniesienia się nad wszystkie powszednie sprawy i roboty życia, napełniała jéj dom rodzinny, otaczała ją ze wszech stron, gdy z dziecka wzrastała i dojrzewała.

Potém, kiedy Andrzeja nie było już na ziemi, a krąg widzenia, stosunków i dążeń wdowy ogromnie zwęził się i zmalał, przyszła pani Andrzejowa pod tym względem do zupełnéj z samą sobą zgody. Powiedziała sobie, że jak ogień i woda, tak organizmy wyższe i niższe, istnienia poziome i wzniosłe pogodzić się z sobą nie mogą; że arystokracya ducha, polegająca na zamiłowaniu tego, co czyste i piękne, jest i być ma prawo; co większa, że ona to może stanowi całą racyą bytu ludz-

kości; że dla tego, co poniżéj mozoli się, grzészy i choćby z piękną duszą, ale w brzydkiém ciele po świecie chodzi lub pełza, litość i pobłażliwość miéć, w potrzebie pomoc nieść trzeba, ale spokoju swego, samotnych wzlotów ducha, uszlachetnionych przywyknień i smaków, w ofierze składać nie należy. Powiedziała to sobie, i ze spokojném już sumieniem, jak łabędź niepokalany płynęła życiem wysoko nad nizinami, po których zwijały się mrówki, skakały wróble i skrzeczały żaby, jednostajnie od pracowitych owadów, jak od płochych ptasząt i obłoconych płazów oddalona.

Nie była wcale słabą, ani dla siebie pobłażliwą. Już z saméj jéj powierzchowności wyczytać było można energią, nie wyléwającą się na zewnątrz ruchliwością i czynami, lecz ku wewnętrznemu życiu zwróconą i w ścisłych karbach ją trzymającą. Energia ta rozniecała w niéj ogniska gorących uczuć, może nawet namiętności, ale zarazem zamykała je w formę spokojną, niby płomię marmurowém naczyniem ogarnięte. Kiedy w dwudziestym szóstym roku swego życia, rozstawała się z ukochanym mężem i jedynego jéj dziecka ojcem, niepewna, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy, — złośliwi utrzymywali, że usiłowała naśladować Spartanki i inne tym podobne postacie i historye. W rzeczywistości nie naśladowała nikogo; zbyt mocno kochała, aby w chwili

owéj o jakichkolwiek dawnych myśléć historyach mogła.

Na fizyczne cierpienia żadne nie narzékała nigdy; jednak, świéże jéj przedtém rumieńce zniknęły bez śladu i na zawsze. Rozpaczy, płaczu jéj nikt nie widywał, ale i wesołego jéj śmiéchu nie słyszano téż nigdy. Ceremonialnie czasem uśmiéchała się do obcych, przyjaźnie do krewnych i domowników, czule i nieraz z głębokiém uszczęśliwieniem do syna, ale nie śmiała się nigdy. Rażącém to w niéj nie było, bo w zupełnéj harmonii zostawało z powagą i wyniosłością całéj postaci. Ludzi przecież, to usposobienie jéj skupione w sobie, trochę zimne i dumne, onieśmielało i odstręczało, a ona nie czyniła nic, aby ich ku sobie pociągnąć. Owszem, osamotnienie, w jakiém żyła, zupełny wkoło niéj brak wszelkiego gwaru i żywego ruchu, wydawało się jéj jakąś wysokością, na któréj stała, górując nad pospolitemi duszami i istnieniami. Łatwiéj téż w ten sposób ukryć mogła cierpienia moralne, a może i fizyczne, które na jéj twarzy odrazu zgasiły rumieńce młodości i zdrowia; łatwiéj uniknąć zawsze dla niéj przykrych zetknięć ze wszelką pospolitością lub brzydotą; łatwiéj pogrążyć się bez podziału i przerwy w ulubionych zajęciach i tym trybie życia, który odrazu na zawsze sobie wybrała.

Jakie były te zajęcia i ten tryb życia, przez dwadzieścia trzy lata pustelniczego prawie jéj przebywania w wielkim, dwupiętrowym, murowanym domu osowieckim? Można to było odgadnąć z najbliższego jéj otoczenia, gdy w południowych godzinach dnia sierpniowego siedziała u wielkiego okna, w głębokim fotelu i ręce z robotą na kolana opuściwszy, wzrokiem zamyślonym po zielonych głębiach ogrodu i parku wodziła.

Był to pokój na górném piętrze, narożny, z dwoma oknami, na istne morze zieloności wychodzącemi. Wysokość sufitu i prawie okrągły kształt pokoju, nadawał mu pozór kaplicy, a wrażenie to wzmagało stare obicie, okrywające ściany, w wielu miejscach spłowiałe, ale jeszcze błękitne i złoconemi gwiazdami usiane, zarówno jak znaczna ilość wiszących na ścianach malowideł i w przyćmionym rogu pokoju wznoszący się przed klęcznikiem wielki, czarny krucyfiks. Klęcznik był z cennego drzewa, pięknemi rzeźbami okryty; od ciężkiego czarnego krzyża odbijała białością, kunsztownie ze słoniowéj kości wykonana postać ukrzyżowanego Chrystusa. Zresztą, oprócz tego krucyfiksu i leżącéj na klęczniku, bogato oprawnéj książki do nabożeństwa, świętości żadnych tu nie było. Na ścianach, z wyjątkiem kilku starych portretów i jednego daleko świéższego, który nad ozdobnym kominkiem umieszczony, wyo-

obrażał Andrzeja w porze najpełniejszego rozkwitu męzkiéj piękności,— powtarzała się wciąż, w ramach małych i dużych, rzeźbionych, złoconych, aksamitem oklejonych, twarz jedna, to dziecinna, to pacholęca, to młodzieńcza lub męzka, w różnych porach życia i usposobienia fotografowana, rysowana, malowana — twarz Zygmunta.

Wizerunek męża pani Andrzejowa posiadała tylko jeden, na żądanie jéj w parę lat po pobraniu się, gdzieś daleko ztąd, przez jakiegoś biegłego malarza wykonany; portretów syna różnych rozmiarów i różnego rodzaju miała ze dwadzieścia. Daleko jeszcze więcéj znajdowało się tu robót jego, od piérwszych dziecinnych prób ołówka do szkiców, studyów, kopij, które w różnych porach życia rzucał na papiér i płótno. Było to małe muzeum, z niezmierną troskliwością zgromadzone i któreby każdemu bystremu oku istotę i historyą jéj syna opowiedziéć mogło. Takież samo zamiłowanie w gromadzeniu pamiątek okazywało całe umeblowanie pokoju, które składało się ze sprzętów cennych i pięknych, ale nie nowych i nie modnych.

Inne części tego domu, starannie i wymyślnie odnowiono i przybrano przed ożenieniem się Zygmunta; sąsiedzi nawet złośliwie szeptali, że na te różne odnawiania, ozdabiania, przerabiania

obrócono znaczną część sumy posagowéj jego żony. Nikt się temu zresztą bardzo nie dziwił, bo powszechnie wiedziano o wysokiém estetyczném wykształceniu i nader wymyślnych gustach młodego Korczyńskiego, zarówno jak o szérokich koligacyach i świetnéj edukacyi kobiéty, którą zaślubiał. Ale w pokojach pani Andrzejowéj nie zmieniono nic. W domu należącym niegdyś do jéj męża oddawna mieszkali ludzie obcy, ale część sprzętów, które ją tam otaczały, znacznym trudem i kosztem przez nię nabyta, i teraz znajdowała się w koło niéj. Były to, przed trzydziestu laty używane, lśniące włosienicą lub spłowiałym adamaszkiem obite kanapy i fotele, męzkie biurko z cennego drzewa, piękna szafa napełniona książkami w zniszczonych oprawach.

Jednak, pomimo téj czci pamiątek, znać tu było także żywe zajmowanie się i teraźniejszością. Mnóztwo dzienników i nowych książek napełniało stoły i nosiło na sobie ślady pilnego ich czytania. Długie godziny, całe dni czasem schodziły pani Andrzejowéj na przypatrywaniu się za pośrednictwem druku różnym społecznym drogom i przemianom, na ściganiu okiem nowych strumieni myśli i prac tego ogółu, o który troszczyć się przywykła była niegdyś, pospołu z ukochanym człowiekiem. Tu i owdzie na ścianach i stołach rozrzucone wizerunki współczesnych pracowników: niejakiéj sławy myślicieli, artystów i pisa-

rzy krajowych, więcéj jeszcze przekonywały, że znała i wielbiła tych wszystkich, którzy temu samemu bóztwu, na którego ołtarzu zgorzał Andrzéj, choć innemi niż on sposoby, ofiarę z życia składali. Przed głębokim fotelem, u okna stojącym, głęboki kosz pełen był płócien i wełnianych materyj, których część i teraz, z igłą i innemi przyrządami do szycia, na kolanach pani Andrzejowéj spoczywała. W godzinach pozostających od czytania, szyła odzież dla rodzin ubogich, na których widywanie zdobywała się bardzo rzadko, ale o których przez domowników zgromadzała liczne i dokładne wiadomości. Pajęczych robótek i ładnych drobiażdżków nie wykonywała nigdy, ale zręcznie i przemyślnie własnemi rękoma sporządzała znaczne ilości różnorodnéj odzieży, która wiele istot ludzkich osłaniała przed udręczeniem chłodu i wstydem łachmanów.

Tak jéj zeszło lat dwadzieścia trzy, na których tle jednostajném, uwypuklało się kilka momentów stanowczych, do pewnego stopnia rozstrzygających o całéj przyszłości jéj i jéj syna. Przed ośmnastu mniéj więcéj laty, w tym samym pokoju, stoczyła była z bratem męża rozmowę długą i burzliwą, która o mało nie nadwerężyła na zawsze panującéj w ich stosunkach zgody i przyjacielskiéj poufałości. Prawny i przyrodzony opiekun małoletniego bratanka, Benedykt Korczyński, często podówczas bywał w Osowcach. Mło-

dy jeszcze w porze owéj i niedawno ożeniony, dotkliwie już jednak uczuwać zaczynał ciernie ogólnego i swego życia, w kłopoty różne popadał, pospolicial, posępniał. Niemniéj wszakże w rządach majątku bratowéj czynny brał udział, tém czynniejszy, że ona, po szczérze i gorliwie przedsiębranych próbach, zadaniu temu podołać nie mogąc, w imię siéroty po bracie, pomocy jego zażądała.

Z gospodarstwem i interesami dziedziczka Osowiec doświadczyła tych samych, do zwalczenia niepodobnych trudności, którym uległa wprzódy, wobec jednego z pełnionych przez jéj męża zadań społecznych. Jak tam, tak i tu, zetknięcie się z ludzką ciemnotą i nieokrzesaniem okazało się koniecznem, a tak dla niéj przykrém, że do zniesienia prawie niepodobném. Rachunki, procesa, prace i plany gospodarskie, jakby w żelazne kajdany ujmowały jéj myśli i uczucia. Bezwiednie, pomimo najsilniejszego panowania nad sobą, słuchając sprawozdań rządcy, przypatrywać się zaczynała malowniczym grom świateł w zielonych gęstwinach parku, uchem ścigać melodyą wiecznie wyśpiéwywaną przez przebiegającą go rzeczkę, rozmyślać nad świéżo przeczytaną książką, wspominać jakąś rozmowę, swawolę, słowo, uśmiéch małego Zygmunta.

Gdyby szło o nię tylko, o nię jednę, wolałaby poprzestać na najskromniejszéj mierności, niż

troszczyć się o materyalne zyski lub straty. Do pewnego stopnia, troski takie wydawały się jéj nawet obniżającemi godność i wartość człowieka. Do ascetyzmu skłonna, zbytków żadnych nie pragnęła i nie używała: żałobne jéj suknie kosztowały nie wiele, stare sprzęty były jéj najmilszemi; doświadczając saméj siebie, przekonywała się nieraz, że przez czas długi poprzestawać mogła na pożywieniu grubém i szczupło wymierzaném. Wobec skarbu serca, który utraciła i o którym nigdy zapomniéć nie mogła, bogactwa materyalne wydawały się jéj marnością, po którą schylać się nie było warto; wobec zapałów i poświęceń, których była świadkiem i w których udział wzięła, dbanie o wygodę i zbytki, poczytywała, co najmniéj, za płytkość i pospolitość; wobec publicznych nieszczęść i nędz, którym ze swéj pustelni przypatrywała się chciwie i z boleścią, dogadzanie zachciankom własnym i gromadzenie środków, które je czynią możliwém, stawało przed nią w postaci wstydu i grzéchu. Ale nie była samą. Rozumiała dobrze, iż dla dobra syna, dla przyszłości jego, o któréj w ciche, szare godziny dziwne dziwy roić lubiła, powinna była przechować w całości to jedno przynajmniéj dziedzictwo, skoro drugie, ojcowskie, na zawsze i nieodwołalnie było dla niego stracone. Znowu więc pracowała nad sobą, walczyła, przezwyciężyć usiłowała

przyzwyczajenia swoje i najgłębsze instynkta, i znowu — nie mogła.

Na szczęście, brat męża przychodził jéj z pomocą, którą z wdzięcznością przyjmowała; w inną jednak sprawę, stokroć w jéj oczach ważniejszą i sercu jéj bliższą, mieszania się jego dopuścić nie chciała. Benedykt podobny był w tym wypadku do ostrożnego i lękliwego strategika, który po wiele razy i z wielu stron ku obozowi nieprzyjacielskiemu z wojskiem podjeżdża, nim bitwę stanowczą wydać postanowi. Więc po wiele razy o małym Zygmuncie mówić z bratową zaczynał, to i owo do zrozumienia jéj dawał, na myśl nasunąć usiłował; ale ona zdawała się nie słyszéć go lub nie rozumiéć. Nakoniec, pewnego razu, do tego samego pokoju wszedł więcéj niż kiedykolwiek zasępiony, i pociągając wąsa, który już wtedy w dół opadając, twarzy jego nadawał wyraz wiecznego zmartwienia, oświadczył, że zamierza otwarcie i bez ogródek o małym synowcu z bratową pomówić. Zapytała go: coby jéj dziecku miał do zarzucenia? Odpowiedział, że wyrasta na francuzkiego markiza, nie zaś na polskiego obywatela, na panienkę, nie na mężczyznę.

Przed panią Andrzejową stał właśnie na stole pięknie wykonany i oprawiony portret dwunastoletniego chłopca, w stroju francuzkim zeszłego

stulecia, z aksamitu i koronek złożonym, z opadającemi na plecy strugami ufryzowanych włosów. Dziecko było istotnie ładne, delikatne i w malowniczém ubraniu wyglądało na książątko. Oczy matki i stryja zbiegły się na tym portrecie: piérwsze wyrażały miłość i uszczęśliwienie; drugie lekceważenie i zgryzotę.

Z lekceważeniem i zgryzotą Benedykt mówił daléj, że panicza tego na przechadzkach guwerner za rękę prowadzi, pilnie go strzegąc od widoku i poznania wszelkiéj rzeczy, do świata tego należącéj; że jest on fizycznie za mało rozwinięty, w gustach zbyt wybrédny, z otaczającymi despotyczny i wzgardliwy; że nakoniec jako jedyny środek nadania mu hartu ciała, trzeźwiejszego kierunku umysłowego i przyzwyczajeń lepszych, pan Benedykt doradza oddanie go do szkół publicznych.

Wtedy pani Andrzejowa w całéj wysokości swéj powstała i stanowczo oświadczyła, że nie uczyni tego nigdy. Ona miałaby jedyne dziecko swoje zmieszać z tłumem, pełnym najpoziomszych, a może i najbrudniejszych instynktów, zwyczajów, pojęć, wystawić je na niebezpieczeństwo zarażenia się pospolitością, prostactwem, może nawet panującą na świecie gonitwą za zyskiem i karyerą, za grubém materyalném użyciem! Nie gardzi ona tłumem, owszem, gorąco pragnie doskonalenia się jego i szczęścia; ale dążeniem jéj

i celem życia jest to, aby syn jéj był nad tłum wyższy, czystszy, doskonalszy. Tam rosną i na los szczęścia kształcą się prości szeregowcy; on, wzorem ojca, stać się powinien wodzem, w tém znaczeniu wodzem, że kiedyś, w przyszłości, zaświéci tamtym wzorem wzniosłych uczuć i myśli, a może także i natchnionych przez nie czynów. On, przy jéj boku, pod jéj czuwającém okiem, wzrość musi czysty od wszelkiéj moralnéj skazy, z duszą tak wybrédną, aby wszelki cień brzydoty i pospolitości wstrętem ją napełniał. Umysłowego wychowania jego nie zaniedbuje, drogo opłacani nauczyciele uczą go mnóztwa rzeczy, a z czasem, gdy dorośnie, wyjedzie w świat po wyższą jeszcze naukę. Ale tymczasem, w dziecinnych i pacholęcych latach, atmosfera czystości moralnéj i estetycznego piękna otaczać go nie przestanie. Ten zbytek w otoczeniu i stroju, który tak bardzo razi jego stryja, jest tylko środkiem do nadania mu wytwornych przywyknień ciała i ducha, które przez całe już następne życie chronić go będą od wszelkich nawet pokuszeń ku złemu, będącemu zawsze fizyczną albo moralną szpetotą. Od tego wychowawczego planu, od tych względem syna postanowień, nie odwiodą jéj żadne rady lub upomnienia; dla tego téż, życzy sobie i prosi, aby jéj niemi więcéj nie niepokojono.

Benedykt zrozumiał, że wszelkie dalsze próby w tym kierunku pozostałyby nadaremnemi. To,

co usłyszał, nie było kaprysem lekkomyślnéj wietrznicy, ani deklamacyą rozromansowanéj gęsi, ale przekonaniem i wolą kobiéty myślącéj i energicznéj. Był to plan obmyślany, wyrozumowany, podstawy swe mający w najgłębszych właściwościach umysłu i charakteru téj kobiéty, w saméj niejako treści własnego jéj życia.

Ile do rozumowań pani Andrzejowéj mieszało się w jéj planie wychowawczym dumy, spoglądającéj wiecznie ku szczytom dla tłumów niedosięgłym i z pomiędzy nich wyosobnionym, nie zdawała ona z tego przed sobą dokładnéj sprawy, jakkolwiek wiedziała, że jest dumną, wzniosłemi pobudkami cechę tę swoję nie tylko usprawiedliwiając, lecz ją w sobie wysoko ceniąc. Kiedy Benedykt, upiérając się jeszcze, mówić zaczął o téj właśnie dumie, którą tak przedwcześnie objawiać zaczynał mały Zygmunt, odpowiedziała, że pielęgnować jéj w nim nie przestanie, bo z czasem stać się mu ona może puklerzem przeciw wszelkiemu poniżeniu się i bodźcem ku coraz wyższemu życiu.

Benedykt w ziemię patrzył, wąsa w dół pociągał, i chmurny, niezadowolony, lecz bezsilny, opuścił ten pokój, do kaplicy podobny, w którym niezadługo potém odegrać się miała jedna ze stanowczych scen życia jego właścicielki.

Bardzo samotne i jednostajne życie prowadząc, pustelnicą zupełną pani Andrzejowa zostać nie

mogła. Kiedy niekiedy odwiédzano ją, tu i owdzie ukazywała się w domach krewnych i sąsiadów. Rzeczą więc było nie tylko naturalną, ale nieuniknioną, że raz ktoś zapragnął posiąść jéj serce i rękę. I dla tego wydarzyło się to raz jeden, że sposób jéj życia i obejścia się zrażały do niéj usposobienia płoche i odbiérały nadzieję najśmielszym. Tym razem, człowiek świéżo przez nię poznany, poważny, nieskazitelny, równe jéj położenie w świecie zajmujący, coraz częściéj samotne Osowce nawiédzać zaczął, gorącą cześć i sympatyą właścicielce ich okazując. Zamiary, które względem niéj żywił, najbliższym jéj krewnym powierzył, o wstawienie się ich i pomoc, jak o łaskę największą, prosząc. Wtedy cichy ten zawsze pokój stał się miejscem częstych rodzinnych zebrań, narad, namów, perswazyj.

Nikt prawie zrozumiéć tego nie mógł, aby kobiéta podówczas trzydziestoletnia, piękna, majętna, zagrzebać się miała żywcem w żałobnym prochu wspomnień, wyrzec się na zawsze realnych i każdemu, zda się, niezbędnych uczuć i uciech życia. Nawet rodzina zmarłego Andrzeja nie tylko tego całopalenia od niéj nie wymagała, lecz ją od niego wszelkiemi siłami odciągała. Ruchliwa i we wszystko mieszająca się Darzecka, za swatowstwami przepadała zawsze. Benedykt miał nadzieję, że wykształcony i z prawości swéj znany ojczym, zgodniéj z własnemi jego

wyobrażeniami wychowaniem Zygmunta pokieruje. Przyjeżdżano więc do Osowiec, namawiano, rozpowiadano o cnotach i zaletach konkurenta, o jego szczérych i gorących dla młodéj wdowy uczuciach. Ale najwymowniejszym ze swatów było jéj własne serce, które za rozkochanym w niéj człowiekiem przemówiło goręcéj, niżby ona spodziéwać się, albo nawet przedtém przypuszczać mogła. Pomimo woli, przy zbliżeniu się jego, uczuwała, że nie jest abstrakcyjną formułą niewieściéj cnoty, ale człowiekiem, zmuszonym do doświadczania ludzkich pociągów i pokus. Pomimo woli, odzywała się w niéj żądza jakby zmartwychpowstania, jakby otrząśnięcia z siebie mogilnych prochów i wyjścia na świat słoneczny, pomiędzy kwiaty. Nęcić ją zaczęła myśl posiadania obok siebie rozumnego i kochającego towarzysza wszystkich chwil życia,— tęsknota do ciepła rodzinnego ogniska, jak smutna lilia o kroplę rosy błagająca, wyrastała z grobu, dotąd samotnie i niewzruszenie wznoszącego się na dnie jéj serca.

Przyszła nakoniec chwila, w któréj przyjaciele i doradzcy, ujrzawszy ją słabą, wzruszoną, wymogli na niéj wahające się jeszcze i warunkowe słowo przyzwolenia. Odjechali, aby coprędzéj radosną wieścią obdarzyć tego, który na nię niecierpliwie oczekiwał, ale zaraz po ich odjeździe, w młodéj kobiécie podniosła się burza gwałto-

wnych i gorzkich uczuć. Dopóki rzecz była nie postanowioną i w dalekich zaledwie przypuszczeniach ukazującą się, dopóty wywiérała na nię urok odpychany, ale często nieprzezwyciężony. Teraz, gdy wnet już jéj życie rozłamać się miało na dwie połowy, piérwsza uderzyła ją w serce całą siłą drogich i świętych wspomnień.

Nigdy, nigdy tak jasno i dokładnie nie roztaczały się przed nią, dzień po dniu, godzina po godzinie, lata jéj piérwszéj młodości i miłości; nigdy tak wyraźnie wyobraźnią nie odtwarzała sobie postaci swego piérwszego i jedynego kochanka i męża. Jakieś smutne szmery powstawały wkoło niéj i napełniały samotny jéj pokój, zdając się przynosić długie, wieczne pożegnania, nie wiedzieć zkąd przylatujące, może z téj mogiły wznoszącéj się w głębi boru, na którą dnia tego spadała mgła jesiennego dészczu i na któréj obraz, w wyobraźni jéj powstający, spłynęły téż jéj łzy rzęsiste, gorące. Nie, ona zapomniéć nie mogła, ani wyrzucić z siebie tego, co tak głęboko zapadło w jéj istotę i samo jedno dotąd ją wypełniało. Kiedy pomyślała, że wkrótce, prawie zaraz, kibić jéj obejmą ramiona, a na ustach jéj spoczną usta innego mężczyzny, że nowe obowiązki, a może i uroki życia do reszty rozerwą związek jéj z tamtym i miłość dla niego, wspominanie o nim uczynią prawie grzéchem i zdradą, uczuła naprzód ból taki, jakby po raz drugi na wieki roz-

stawała się z Andrzejem, a potém zdjął ją niezmierny wstyd nad małością i słabością własną. Jakto! dla pospolitych i przemijających rozkoszy, choćby dla trwalszych i wyższych, lecz zawsze samolubnych uciech, miałaby ona własnemi rękoma zdruzgotać ideał jedynéj i wiecznie wiernéj miłości, porwać nici pamięci, wiążące ją z człowiekiem, który dla celów wysokich poświęcił życie, zdjąć z siebie nawet jego nazwisko, strzedz się nawet jak zdrady westchnienia po nim! Jakto! miałaby ona, jak najpospolitsza z niewiast, przerzucić się z jednych objęć w drugie, w jednném istnieniu do dwóch należéć, szczęście sobie zdobywać, gdy tamten życie nawet utracił! Tamtemu więc śmierć wczesna i przez wszystkich, nawet przez nię zapomniana mogiła, a jéj wszystkie wdzięki i pomyślności życia! Ktoż pamięć o nim na ziemi przedłuży, jeżeli ona wyrzuci ją z siebie? Kto weźmie udział w jego ofierze, jeżeli ona go się zrzeknie? Kto myślą przynajmniéj, żalem, uwielbieniem, towarzyszyć mu będzie w stronach ponurych, jeżeli ona w słoneczne, kwieciste odleci?

Za samo przypuszczenie, że tak stać się mogło, za minutę słabości zmysłów i serca, wstydziła się tak srodze, że gdyby była mogła, deptałaby siebie własnemi stopy, że z gwałtowniejszym niż kiedykolwiek wybuchem miłości dla Andrzeja, upadła na twarz przed krucyfiksem, mniéj prze-

cież do Boga, niżeli do kochanka i męża o przebaczenie wołając. Bogato rozwinięte, piękne jéj ciało wiło się u stóp czarnego krzyża, w objęciach upokorzenia i skruchy, a dusza, niby sztyletem, niewysłowioną tęsknotą przebita, z takiém natężeniem wszystkich sił wzbiła się ku temu, po którym tęskniła, że wywołała jednę z tych wizyj, którym organizmy ludzkie w wyjątkowych tylko stanach ciała i ducha ulegają.

Była to halucynacya, posiadająca dla niéj wszystkie cechy dotykalnéj rzeczywistości. Ujrzała Andrzeja; spłynął ku niéj z góry, z krwawiącą się plamą na bladém czole i łagodnym ruchem przebaczenia, czy tkliwéj opieki nad głową jéj dłoń wyciągnął. Widziała go wyraźnie, z doskonałą wypukłością kształtów i dokładnością linij. Milczał; ale ona do niego mówiła. Co i jak mówiła, nigdy tego przypomnieć sobie nie mogła; wiedziała tylko, że była to dla niéj chwila nieziemskiego zachwycenia, z któréj obudziła się smutniejsza, ale zarazem silniejsza niż kiedy, i któréj powtórzenia się nigdy pragnąć nie przestała. Ale nie powtórzyła się ona nigdy, tak jak nie powtórzył się wypadek, który ją poprzedził.

Umysł miała tyle oświécony, że nie mogła nie rozumiéć, iż wizya, któréj doświadczyła, była złudzeniem zmysłów, doznaném przez wyjątkowy w owéj chwili stan jéj ciała i ducha, niemniéj pozostawiła w niéj ona ślad niezatarty i z upły-

wem czasu pogłębiać się mający. Na swój sposób i nie zupełnie prawowiernie, matka Zygmunta religijną jednak była głęboko i żarliwie. Zewnętrzne praktyki spełniała rzadko; drobiażdżki noszące imię świętości: obrazki, posążki, poświęcane paciórki i t. p. wydawały się jéj oznakami czci błahemi, nieestetycznemi, niegodnemi idei Bóztwa. Natomiast idea ta była jéj nieskończenie drogą i świętą; wiara w ideał doskonały i niedościgniony, w Potęgę i Dobroć najwyższą i opiekuńczą stanowiła niezbędną potrzebę jéj duszy, i nie tylko nie zachwiała się w niéj nigdy, lecz w życiu pełném samotnych rozmyślań i cierpień dościgła niezwykłéj mocy. Wierzyła także w istnienie zagrobowe, bo niepodobném jéj się wydawało, aby duchy ludzkie, jak zdmuchnięte świéce, gasnąć mogły nagle i na zawsze; bo myślała, że Stwórca nie mógł daremnie dać stworzeniu swemu poczucia i pragnienia nieskończoności, z którego powstały wszystkie tego stworzenia wielkie dążenia i dzieła. Wierzyła więc niezłomnie w zaświatowe istnienie Andrzeja, i zrazu nieśmiało, potém z coraz żywszą nadzieją myślała, że kto wié, czy miłość jéj, trwałością i siłą swoją nie okupiła sobie prawa wniknięcia w krainę nieznaną i dosięgnięcia tego, ku któremu od tak dawna wzbijała się bezustannym płomieniem ofiary?

Jak martwy przedmiot poruszać się zdaje przed oczyma tego, kto się weń długo wpatruje, tak cel

niedościgły, ale długo i wyłącznie myśli i uczucia człowieka na sobie skupiający, zdaje się ku niemu zstępować i przybliżać. Przez długie godziny klęcząc przed krzyżem, symbolem męczeństwa za ideę poniesionego, które w jéj osobistém życiu tak stanowczą odegrało rolę, kobiéta, która przez lat dwadzieścia kilka ani razu nie zdjęła z siebie żałobnego stroju, pomimowoli i wiedzy przemawiać nieraz zaczynała do tego, po kim strój ten nosiła. Przemawiała czasem z zupełną i dziwnie uszczęśliwiającą wiarą, a czasem tylko z nieśmiałą nadzieją, że jest przez niego słyszaną. Nikt z ludzi nie słyszał tego, co ona mówiła i opowiadała jemu, — nie tylko o sobie, ale i o tém, co on na ziemi najbardziéj kochał i za co śmierć poniósł. Był to jedyny powiernik jéj cierpień, tęsknot, pragnień, obaw i tego błysku szczęścia, który raz oświécił jéj samotne, ciche, prawie klasztorne życie.

Wkrótce potém, gdy przekonała siebie i innych, że ani przeszłości zapomniéć, ani w objęcia nowéj, chociażby najpromienniejszéj przyszłości rzucić się nie może, jeden z nauczycieli małego jéj syna odkrył w nim talent malarski. Ile w tém odkryciu, z tryumfem matce oznajmioném, było prawdy, a ile złudzenia, lub może chęci przypodobania się pani domu, p. Andrzejowa o tém nie myślała. Od dzieciństwa w kierunku estetycznym starannie kształcona, grać i rysować umie-

jąca, nie posiadała przecież znajomości sztuk pięknych dość gruntowéj, aby przez nię odkrycie to zgłębić i sprawdzić. Może zresztą sprawdzenie takie, w stosunku do dwunastoletniego dziecka nie było możliwe. Od razu i niezłomnie uwierzyła w miłą sobie wiadomość, przyjęła ją nawet bez zdziwienia i uniesienia, jak coś, czego spodziéwała się zawsze i co konieczném stać się musiało.

Zawsze i mocno była przekonana, że w synu jéj i Andrzeja prędzéj lub późniéj objawić się musi jakaś zdolność nad pospolity poziom go wynosząca, jakaś niby iskra z krwi rodziców przez naturę wzięta i na jego czole w gwiazdę piérwszéj wielkości rozniecona. W mniemaniu jéj inaczéj być nie mogło: syn jéj i Andrzeja człowiekiem pospolitym, takim, jacy składają szare i bezimienne tłumy, być nie mógł. Bez zdziwienia więc i uniesień, ale z głęboką radością wieść o rodzącym się talencie Zygmunta przyjęła, i odtąd całe jego otoczenie, wszystkie na niego wywiérane wpływy, przedtém już piérwiastkami wykwintu i piękna przesycone, skierowane zostały ku rozwijaniu w nim estetycznych zdolności i gustów.

Pełne delikatnego wdzięku i wybujałych wymagań dziecko, w cieplarnianéj atmosferze osowieckiego domu czy pałacu wzrastające i tak od otaczającego je świata oddalone, jakby mieszkań-

cem jego nigdy być nie miało, rwało się istotnie do ołówka, potém do penzla z niecierpliwością, przypisywaną ognistemu temperamentowi, z fantastycznością, za niemylną oznakę geniuszu poczytywaną. Biegli i coraz kosztowniejsi nauczyciele wróżyli mu przyszłość wielkiego artysty, o któréj słuchał z rozkoszą, każdy szczegół własnéj osoby i codziennego życia tak wyjątkowym uczynić usiłując, jak wyjątkową być miała przypadająca mu w świecie rola wybrańca. Jak promienie słońca skupiają się w soczewce, tak wszystko, co go najbliżéj otaczało, starania swe i uwielbienia skupiało w nim, i tak, z kolei, on własne swe myśli i rojenia na samym sobie skupiał. Wszystko, co istniało poniżéj téj wysokości, na któréj, niedorostkiem jeszcze będąc, w mniemaniu swojém stanął, wydawało mu się brzydkiém, niegodném uwagi, nawet brudném i wstrętném. Nad sobą widział tylko przyszłego siebie. Był środkowym punktem świata dla wszystkich, których widywał i dla samego siebie, w oczekiwaniu, aż stanie się tém samém dla ludzkości, to jest, dla téj specyalnéj ludzkości, która ma gładką skórę na twarzy i rękach, estetyczne ubranie i zna się na sztukach pięknych.

O innéj słyszał wprawdzie i czytywał nieraz, ale nie żywił dla niéj uczuć żadnych: ani ujemnych, ani dodatnich. Po prostu: nie myślał o niéj, nie dbał o nię, nie istniała ona dla niego. W za-

mian, rósł i dojrzéwał w absolutnéj pewności, że jest jednym z najdostojniejszych członków owéj znanéj mu i pokrewnéj ludzkości, i że w przyszłości stanie się jednym z jéj ulubieńców i bożyszcz.

Przyszłość ta błysnęła mu nie prędko, raz jednak błysnęła. Po wielu latach, daleko od rodzinnego miejsca spędzonych, po długich studyach, długo niepomyślnemi próbami najeżonych, obraz przez niego wykonany wyróżnił się z pośród wielu innych i ściągnął na siebie przychylną uwagę znawców. Właściwie nie był to obraz, ale obrazek, rozmiarami drobny i z pomysłem dość pospolitym, ale w którego wykonaniu, pomimo niejakich usterek technicznych, czuć było pracowicie wybijającą się na wiérzch zdolność. Pospolitość pomysłu i techniczne usterki krytykowano, lecz młodą zdolność przychylnie zachęcano do dalszéj pracy. Powodzenie obrazka zwiększyła o wiele wiadomość, że malował go człowiek majętny, z bytem niezależnym i dość wysokiém towarzyskiém stanowiskiem. Spodem płynęły szepty, mniéj lub więcéj wiernie historyą jego ojca opowiadające. To i drugie, sztucznie wydęło rozgłos imienia młodego malarza i piérwszéj roboty, z którą popisywał się on publicznie. Ale ani on sam, ani jego matka o sztuczności jéj nic nie wiedzieli, a pochwały i zachęty raz jeszcze w ich umysłach sztucznemu wydęciu i powiększeniu uległy.

Dla pani Andrzejowéj była to chwila prawie upajającego szczęścia. Ziściły się jéj najgorętsze pragnienia. Z ekstazą prawie myślała, że na tym samym ołtarzu, na którym zgorzał Andrzéj, syn jéj składać będzie ofiary geniuszu i pracy. Będzie on, wspólnie z garstką wybranych, światłem roznieconém w ciemnościach, chlubą poniżonych, świadectwem życia dla pozornie umarłych. Jego natchnienia utworzą jednę z desek ratunkowego mostu, mozolnie budowanego nad przepaściami unicestwienia i zguby; wytworzą jednę z cegieł do budowania arki, która płomienie życia przenosi na drugą stronę gaszącéj go powodzi.

Ta myśl panowała w niéj nad wszystkiemi innemi. W okazywaniu uczuć swoich, jak zwykle, powściągliwa, w głębi szalała prawie z radości i dumy. Na powiérzchowność jéj wybiło się to promiennością cichą, ale stałą. Częściéj niż wprzódy ukazywała się pośród ludzi, żądna może usłyszenia tego, co o jéj synu mówiono, a może w radości swéj większy do nich pociąg czująca. Ale w długie zimowe wieczory, przy świetle lampy, obszérny i wysoki pokój oświécającéj, albo w letnie gwiaździste noce, od których przez otwarte okna płynęły do tego pokoju potoki szmérów i woni, dłuższe niż kiedy godziny spędzała przed czarnym krzyżem, na klęczkach. Bogato oprawnéj książki, na klęczniku spoczywają-

céj, nie otwiérała prawie nigdy, ale z ust jéj płynęły natchnione słowa dziękczynienia i błagania. Tyle lat, w tém miejscu, z zamkniętego przed światem swego serca, wyléwała tyle łez i skarg! Teraz, o szczęściu i nadziejach swoich opowiadała duchowi Andrzeja, w którego związek z własnym duchem, w miarę upływającego czasu, coraz mocniéj wierzyła.

Działo się to przed cztérema laty. Dziś, prawie pięćdziesięcioletnia, p. Andrzejowa wyglądała na daleko młodszą, niż była. Kibić jéj zawsze okazała, w ostatnich latach wypełniła się jeszcze i zmężniała. Biła z niéj niepospolita siła i powaga. W wielkiéj czystości i regularności prawie zakonnego życia, niby w kryniczném wodzie, blada jéj cera zachowała delikatność i gładkość, drobnemi zmarszczkami gdzieniegdzie tylko mąconą. W pięknym pokoju, któremu kształt okrągły i ściany obrazami okryte nadawały pozór kaplicy, na tle wielkiego okna, za którém rozléwało się morze zieleni, osłoniona ciężkiemi fałdami żałobnéj sukni, miała postać malowniczą i szanowną. Regularny jéj profil ocieniały koronki czarnego czépka i dwa ciemne pasma złotawych włosów, zrzadka jeszcze srébrnemi nićmi przetkanych. Piękne, białe ręce na zwoje grubego płótna opuściła. W samotności nawet, gdy była bezczynną, zachowywała najcharakterystyczniej-

szą cechę swojéj powiérzchowności: głowę miała podniesioną i spuszczone powieki.

Jednak w wyrazie téj niemłodéj, lecz pięknéj i szlachetnéj twarzy niewieściéj, nie widać było teraz ani szczęścia, ani spokoju. Cicha promienność, która ją przed cztérema laty okrywała, bez śladu znikła. Zamyślenie jéj nie było pogodną kontemplacyą rzeczy miłych i pomyślnych, lecz niespokojną zadumą nad czémś niezrozumiałém i groźném. Parę razy dłonią po czole powiodła, westchnęła, z piersi wydała dźwięk do cichego okrzyku zdziwienia podobny; palce jéj, szybkim, nerwowym ruchem, kłóły igłą grubą tkaninę, kolana jéj okrywającą. Nie wyglądała na kogoś, w kogoby już uderzył cios bolesny i wszystkie jego nadzieje rujnujący, ale na kogoś, kto możliwość takiego ciosu jeszcze zdaleka spostrzega i przyczyny jego odgadnąć usiłuje. Od dwóch lat zresztą, prawie od czasu gdy Zygmunt ożeniony do Osowiec wrócił i stale w nich zamieszkał, obcy nawet ludzie ten niepokój i gryzącą, choć żadném słowem nigdy nie wyjawioną troskę w niéj spostrzegli.

Przed kwadransem zobaczyła była przez okno młodą parę ludzi, ścieżkami parku dążącą ku owéj łące, ujętéj w trójkąt dwóch rzék i wzdymającéj się łańcuchami małych, sztucznych pagórków. Miejsce to stanowiło przed kilku miesiącami ulubiony cel przechadzek jéj syna; roz-

począł był w niém archeologiczne poszukiwania, które przez parę tygodni gorączkowo go niemal zajmowały. Teraz, szedł tam znowu, w wykwintném ubraniu, które czyniło go podobnym do obrazka z żurnalu mód wyciętego, z giętką laską w ręku, z twarzą ocienioną szérokiemi brzegami fantastycznego nieco kapelusza. Pod jedném ramieniem trzymał sporą tekę rysunkową, u drugiego zwieszała się mała, przedziwnie zgrabna, w lekką, jasną tkaninę ustrojona kobiéta. Twarzy tych dwojga ludzi pani Andrzejowa nie dostrzegała; ile razy przecież wychyliwszy się zza zieleni drzew przebywali widną część ścieżki lub trawnika, widziała dokładnie, że młodziutka kobiéta tuliła się do boku męża, strojną głowę ku niemu podnosiła, szczebiocząc, przymilając się, wszystkiemi, zda się, siłami serca i wdzięków usiłując, niby iskrę z krzemienia, wykrzesać z niego jedno słowo serdeczne, lub jedno wesołe spojrzenie; on zaś szedł obok niéj mierzonym krokiem salonowca, może znudzony, może roztargniony, to zaś pewna, że milczący i obojętny.

Tak przeszli część parku, przepychem starannie uprawianéj roślinności otoczeni, blaskiem letniego słońca oblani, lecz dla troskliwie śledzącego ich oka ani szczęśliwi, ani nawet spokojni. Wreszcie na jednym z białych mostków, wdzięcznie nad szémrzącą rzeczułką zawieszonych, Klotylda gwałtownym ruchem wysunęła rękę z pod

ramienia męża, i na chwilę, gestem gniéwu czy żalu, obie ręce do oczu podniosłszy, szybkim biegiem puściła się ku domowi. On, nie oglądając się i kroku nie zmieniając, poszedł daléj, w przeciwną stronę, ku wiodącéj na łąkę fórtce ogrodowéj. Jedyną oznaką wzruszenia, którego doznał, było parokrotne muśnięcie giętką laseczką rosnących przy ścieżce krzewów. Wkrótce zniknął za gęstym klombem akacyj.

Klotylda biegła wciąż po trawnikach i ściéżkach parku, do blado-różowéj chmurki podobna. Parę razy stanęła i obejrzała się, jakby miała nadzieję, że ten, z którym rozstała się przed chwilą, obejrzy się także za nią, lub ją ku sobie przywoła. Za każdym jednak razem czyniła ręką gest zniechęcenia czy oburzenia, aż przystanąwszy u wspaniale pośród trawnika wyrastającego modrzewia, czoło o gruby pień jego oparła, a po ruchach jéj pleców poznać było można, że gwałtownie zapłakała. Potém, jak rozżalone dziecko, wstrzymując nerwowe drgania rozognionéj twarzy, skręciła w ciemną aleę, wprost już ku jednym z wchodowych drzwi domu prowadzącą. Wkrótce pani Andrzejowa usłyszała lekkie kroki synowéj, przebiegające szybko wschody i parę salonów; drzwi jakieś zamknęły się ze stukiem, zdradzającym rękę rozgniéwaną, albo zrozpaczoną — i wszystko ucichło.

Tak było oddawna, więcéj niż od roku; tak było ciągle. Dlaczego? Nieskończoną już ilość razy pani Andrzejowa zadawała sobie to pytanie, ale głośno nie wymówiła go jeszcze ani razu. Powielekroć już chciała iść do synowéj, do syna, zapytywać, zwierzenia wywołać, może coś poradzić i czémuś zapobiedz, ale powstrzymywała się zawsze. Widziała, czuła ranę życia tych dwojga ludzi, a lękała się jéj dotknąć przez obawę sroższego jéj zaognienia, przez delikatność uczuć, szanującą uczucia i tajemnice choćby własnego dziecka. I teraz także powstała, zwróciła się ku drzwiom prowadzącym do salonów, oddzielających jéj pokój od pokoju młodéj synowéj, ale wnet przy stole książkami i dziennikami spiętrzonym stanęła.

Był to okrągły stół, pośrodku pokoju umieszczony i fotelami staroświeckiego kształtu otoczony. Pośród książek i dzienników stała tam pięknie oprawiona dość duża fotografia Zygmunta, wystawiająca go w téj jeszcze porze życia, gdy jako dwudziestopięcioletni młodzieniec przebywał w stolicy sztuki malarskiéj, w Monachium. Wizerunek ten był jednym z ustępów jego życia, które rysowane, malowane, fotografowane napełniały pokój jego matki. W postawie trochę niepbałéj, a trochę wyszukanéj, wsparty o zrąb kolumny, ukazywał twarz młodzieńczą, z rysami dość pięknemi, bez uśmiéchu, bez ognia w spoj-

rzeniu, z kapryśném zagięciem warg cienkich i elegancko zaostrzonym wąsem ozdobionych. Z samego układu stóp jego, u dołu kolumny skrzyżowanych, można było wyczytać, że z uczuciem własnéj wyższości nad wszystkiém co było na ziemi, opiérał je o ziemię.

Pani Andrzejowa splecione ręce na stół opuściła, i długo wpatrywała się w ten portret syna, który przed sześciu laty wzbudził w niéj doskonałe zachwycenie i wzniecał cudowne nadzieje. Dziś, nagle, w tych ściągłych, ładnych rysach dostrzegła chłód i uderzył ją wyraz kaprysu, te wargi otaczający. Uczyniła ręką ruch taki, jakby natrętną marę, nie wiedzieć zkąd zjawiającą się przed nią, odegnać chciała. Ale ta mara wysuwała się nie z próżni urojenia, lecz z długich spostrzeżeń i uwag, które od czasu stałego osiedlenia się Zygmunta w Osowcach, nakształt roju ostrych żądeł, kąsały jéj duszę. Osłupiałemi oczyma wpatrywała się wciąż w portret.

— Nie kocha jéj! po dwóch latach małżeństwa już jéj nie kocha! Czy on naprawdę kogokolwiek i cokolwiek kocha?

Pytanie to, dla téj kobiéty, która sama tak niezmiernie i wiernie kochać umiała, posiadało wagę ogromną. Zawarta w niém wątpliwość, była dla niéj taką, jaką ludzie uczuwają u śmiertelnego łoża swoich najdroższych. Nie z większą boleścią, nad złożonym ciężką chorobą synem, za-

pytywałaby siebie: „Wyżyje, czy nie wyżyje?“ Ona widziała ludzi umiérających z wielkich miłości, i czciła ich jak świętych; człowiek bez miłości choćby małych, powszednich, wydawał się jéj trupem.

Wzrok podniosła na jednę ze ścian, w połowie prawie okrytych rysunkami i malowidłami syna, w różnych dobach życia jego wykonanemi. Widokiem tym chciała może upewnić siebie, że posiada on nie tylko to, co poczytywała za życie człowieka, ale i to, co jest życia płomieniem i skrzydłami. Artystą był przecież, kochał sztukę! Ale to, na co patrzyła, było tylko pacholęcemi próbami, tu, przy tym stole, pod jéj okiem dokonywanemi. Gdzieniegdzie zaledwie, wśród tych dziecinnych prawie zabawek, ukazywały się roboty dojrzalszego wieku, z dalekich krajów przesłane lub przywiezione: jakaś główka kobiéca, jakieś studyum martwéj natury, jakiś drobny pejzażyk, z niewolniczą wiernością z kawałka obcéj ziemi zdjęty. Były to drobnostki, zdradzające bladość wyobraźni i wielkie wysilenie nie rozgrzanéj ręki. Nicość pomysłów, mozolność, a przecież i niedokładność wykonania, żadnego śmiałego rzutu myśli, ani oryginalnego uderzenia penzla, — nic osobliwego. I było to już wszystko, oprócz tego jednego obrazka, który przed cztérema laty skrzesał nad jego głową piérwszy promyk sławy. Drugi po nim nie przybył—i nawet

nie zaświtał. Dlaczego? Nie byłże on naprawdę artystą?

Spokojną zwykle tę twarz kobiécą wykrzywił strach i ból; blade jéj czoło zarumieniło się pod uderzającą w nie falą krwi; białe ręce kurczowo ścisnęły kartę rozwartego na stole dziennika. Widać było, że twierdzące odpowiedzi na pytania, które jak przeraźliwe błyskawice umysł jéj przerznęły, byłyby dla niéj gromem...

W pełni słonecznego blasku, który tego dnia sierpniowego świetny, ale łagodny spływał z nieba bez skazy, suchą i niedawno skoszoną łąką szedł Zygmunt Korczyński. Równinę, jak okiem sięgnąć széroką, a jak szmaragd zieloną, przepływały dwie wstęgi rzék, zbiegających się z sobą na dalekim punkcie firmamentu, a usiéwały grupy drzew i krzewiastych zarośli, które łąkę czyniły podobną do parku rozległego, zasadzonego ręką przez bujną fantazyą kierowaną. Pełno tu było blasków i zmroków, rozłożonych na trawach misternych rysunków cieni, złotych dészczów pomiędzy liśćmi, świateł w różnym stopniu natężenia, szczebiotu ptactwa, metalicznego brzęczenia owadów, aromatycznych woni, bijących w powietrze, nabiérające już kryształowéj przejrzystości zbliżającego się początku jesieni.

Pośród tego wszystkiego Zygmunt postępował mierzonym krokiem doskonale przyzwoitego człowieka, który z przyzwyczajenia i z umysłu w zu-

pełnéj nawet samotności nie rozstaje się z umiarkowaniem i gracyą poruszeń. Szedł coraz powolniéj; a gdy w żurnalowém ubraniu, obcisłém i kosztownem, w płytkiém obuwiu, które połyskiwało na słońcu, i w ukazujących się z za niego cielistych kamaszach, z pod mrużącéj się trochę wzgardliwie powieki dokoła spoglądał, — każdy wziąćby go musiał za turystę, zwiédzającego ziemię obcą i ukazującą się mu w postaci bardzo ubogiéj, albo téż za mieszkańca wielkiego miasta, wypadkiem pośród natury dzikiéj i nieznanéj zabłąkanego.

Teka, którą niósł pod pachą, okazywała intencye rysowania. Istotnie, przed kilku dniami spostrzegł tu był o téj saméj godzinie, w pewnéj grupie olch, pewne rysunki gałęzi i efekta światła, jakby stworzone ku rozkoszy i natchnieniu pejzażysty. Tyle uczył się sztuki malarskiéj, tyle razy skierowywał ku niéj marzenia i ambicye swoje, że nie mógł być niezdolnym do spostrzeżenia pięknego zjawiska natury i poświęcenia mu choćby chwil kilku uwagi. Dziś właśnie przed wyobraźnią mignął mu pejzażyk, przed kilku dniami spostrzeżony; uczuł w sobie dawno nieznane ciepło, i coprędzéj udał się na łąkę. Może, może nakoniec przyszła chwila rozpoczęcia po czteroletniéj przerwie nowego dzieła, drobnego wprawdzie, drobnego, ale które stanie się prze-

rwą w nudzie i chłodzie jego życia, a zapewne i szczeblem ku dziełom większym!

Po półgodzinném przebywaniu łąki, kiedy krok jego stawał się coraz powolniejszym, a wzrok coraz wzgardliwszym i bardziéj znużonym, znalazł się tam, dokąd dążył. Stanął i patrzył. Było to zupełnie to samo, co widział przed kilku dniami; te same misterne rysunki liści, te same ciekawe oświetlenia podnoży i szczytów drzew; ten sam ptak, kołyszący się na gałęzi, w głębokim cieniu. Z rana, przez parę minut marzył o tym obrazku; teraz stał przed nim obojętny, samego siebie zapytując: co w nim dojrzéć mógł szczególnego? Drobna iskierka, którą przed parą godzin uczuł był w sobie, zgasła, — i nie czuł już nic, prócz chłodu i zniechęcenia, które gniotły go oddawna. Oglądał się dokoła i myślał, że wszystko tu takie proste, pospolite, ubogie, blade. Światłocienie w tych olchach są wprawdzie dość piękne i mogą posłużyć za materyał do studyum z natury, ale spróbuje przenieść je na płótno potém, kiedykolwiek... Dziś, nie. Znudziła go swoją wieczną czułością i nie milknącym szczebiotem Klotylda, ostudził widnokrąg płaski, ubogi, choć niby dość bogatą roślinnością ozdobiony... Przewiduje nakoniec jednę z najprzykrzejszych dla niego rzeczy: wieczorną rozmowę z rządzcą o gospodarstwie. Przewidywanie to

truje go poprostu, odbiéra mu chęć nietylko do malowania, ale prawie do życia.

Opuścił grupę olch i zmiérzał ku okopom, które łańcuchem nizkich wzgórzy część łąki przerzynały. Jedno z tych wzgórz, széroko rozkopane, zdala świéciło żółtością piasku czy gliny. Stanął przed tym otworem i myślał, jak powolną i nudną jest robota wygrzebywania z ziemi przedmiotów, spoczywających w niéj przez stulecia. Do téj roboty zapłonął był przed parą miesięcy, ale wcale czego innego spodziéwał się od niéj, niżeli otrzymał. W szkole sztuk pięknych od niechcenia przebywanéj, od niechcenia przerzucał starożytnicze księgi, a rysowane na ich kartach wykopaliska, niejednokrotnie wzbudzały w nim ciekawość i przyjemne rozkołysanie fantazyi. Wiedział wprawdzie, że tu, nie po gruncie starożytnéj Hellady lub Romy stąpa; jednak wyobrażał sobie, że znajdzie, jeżeli nie czary, ornamenta i posągi, to przecież zawsze coś szczególnego, co fantazyi jego poda złotą kądziel. Do poszukiwań tych zachęcał go także mąż ciotki, Darzecki, z urzędu wysoce cywilizowanego człowieka, za jakiego się poczytywał, we wszelkich osobliwościach rozlubowany, a w geniusz żoninego synowca, chociażby dla honoru familii, świętą wiarę wyznający.

Przez czas niejaki obaj wytrwale stawali nad wzgórzem, które kilkunastu najemników rozko-

pywało, spotnieli od upału, prawie ślepi od rozpatrywania każdéj wyrzuconéj rydlem grudki ziemi, cieszyli się i nużyli, spodziéwali się i zniechęcali, — ale zniechęcenie i znużenie przemogło i roboty około starych okopów zaniechano. Bo i cóż z nich wyniknęło? Po kilku tygodniach, Zygmunt pomiędzy rupieciami, napełniającemi jego pracownię, umieścił kilkadziesiąt zczerniałych monetek, opatrzonych wpółzatartym herbem Szwecyi, a Darzecki uwiózł do domu rdzą przegryziony i podziurawiony pałasz.

Rzeczy podobnych w okopach mnóztwo zapewne znajdować się musiało i badacz historyi mógłby z nich zrobić niejaki użytek. Dla Zygmunta jednak nie miały one nic ciekawego, ani ważnego. Gdyby to były urny do popiołów ludzkich, łzawnice, dziwnych kształtów naszyjniki, możeby językiem tajemniczości lub malowniczości do wyobraźni jego przemówiły. Stojąc teraz przed żółtym otworem rozkopanego wzgórza, niechętny gest ręką uczynił. Wszystko tu, na téj ziemi, było takie biédne, marne, prozaiczne; nic wcale znaleźć na niéj nie mógł takiego, coby dogadzało jego estetycznym i towarzyskim potrzebom. Marniał tu, poprostu marniał.

Jedyną usługę, jaką oddało mu kilkutygodniowe zajmowanie się temi okopami, było to, że więcéj mając fizycznego ruchu, schudł był trochę. Myśląc o tém, spojrzał po własnéj postaci. Utył

znowu! Rzecz dziwna! od czego on tyć może? Nudzi się, martwi się, tęskni, a jednak tyje! Cerę twarzy ma wprawdzie bladą i znużoną, ale postać jego, szczególniéj w środkowym punkcie, zaokrągla się i pełnieje. Na lat trzydzieści i jeden jest stanowczo zbyt ciężkim; kto w tym wieku tak wygląda, za lat dziesięć najpewniéj będzie otyłym. Myśl ta wprawiała go w rozpacz. Otyłość jest szpetnością, a wszelka szpetność budziła w nim obrzydzenie. Czyliż męczarnie nie przeszkadzają ciału nabywać kształtów prozaicznych? Wprawdzie wyborny osowiecki kucharz mistrzowsko umié łączyć kuchnię francuzką z polską...

Nagle, odskoczył od rozkopanego wzgórza, i daleko żywszym krokiem niż wprzódy z powrotem ku domowi dążyć zaczął. Przyczyną tego szybkiego odwrotu była gromadka ludzi, którzy od strony wsi, na krańcu łąki szarzejącéj, ścieżką pomiędzy zaroślami udeptaną, kierowali się w stronę okopów. Na ich widok, znużone przedtém oczy Zygmunta, piękne, piwne oczy w podłużnéj oprawie, napełniły się wyrazem prawie przestrachu. Może ci ludzie nie ku niemu szli, ale może i ku niemu; a on wolał o wiele zejść im z drogi i skryć się przed nimi w ścianach swego domu, w które bez pozwolenia jego wejść nie mogli. Gotowi byli jeszcze zapytywać go o co, albo prosić, jak się to już niejednokrotnie, ku utrapie-

niu jego, zdarzało. Takie spotkania i rozmowy utrapieniem były mu nie dla tego, aby miał względem ludzi tego rodzaju nienawiść, niechęć, urazę; ale właściwie dla tego, że byli mu tak doskonale obojętnymi, jak naprzykład płynące pod niebem stada obłoków. I więcéj jeszcze: bo obłoki bywają piękne i czasem grze ich świateł i barw przypatrywać się lubił; ci zaś ludzie, z grubemi kształtami i rysami, są zawsze szpetni, a siermięgi ich, czy kożuchy, śmierdzą. Rozmawiać z obojętnymi, rzecz to zwykle fatygująca. Poprostu, lenił się fatygę tę ponosić, i nie widział najmniejszéj przyczyny do zadawania jéj sobie. Wprawdzie, byli to ludzie, ale najpewniéj téż wcale innego niż on gatunku. Że ród ludzki rozłamał się na dwie zasadniczo różne z sobą ludzkości: tę, którą składali tacy ludzie, i tę, do któréj on i jemu podobni należeli, nie było w tém dla niego wątpliwości żadnéj. Zresztą myślał o tém rzadko, przypadkowo, przelotnie i nie wiele go to wszystko obchodziło.

Wchodząc na schody swego domu, spotkanemu lokajowi rzucił krótki rozkaz:

— Śniadanie podawać!

Czuł się bardzo nieszczęśliwym i bardzo głodnym.

Pracownia młodego pana domu w Osowcach była pięknym pokojem, z oknami dającemi tyle i takiego światła, ile i jakiego wymaga praca

malarska. Mnóztwo tam znajdowało się rzeczy różnych. Sztalugi z rozpiętém i białą firanką osłonioném płótnem, stosy tek, rysunków, szkiców, marmurowe i gipsowe posążki, popiersia, grupy, kawałki spłowiałych makat i staroświeckich materyj, kilka oryginalnych kanapek do siedzenia lub do leżenia urządzonych, kilkanaście pięknych roślin w kosztownych wazonach, wszystko to z pozorną niedbałością rozstawione i rozrzucone, nakoniec, w jednym z rogów pokoju, śliczna szafka, świécąca zza szkła różnobarwną oprawą paryset książek. Były to raczéj książeczki niż książki: małe, ozdobne, lekkie. Panowały w nich poezya i powieść, jedna i druga w specyalnym i prawie wyłącznym gatunku: trochę tylko poetów polskich, zresztą zmysłowy Musset, tu i owdzie Wiktor Hugo, wiele rozpaczliwego Byrona, sercowy Shelley, uperfumowany Feuillet, pesymista Leopardi, najniespodzianiéj spotykające się z tym poetą-myślicielem bajki starego Dumasa i awantury bezmyślnéj Braddon, jeszcze coś z dzisiejszych ulubieńców francuzkiéj arystokracyi: Clareti'ego, Craven etc., etc.

Przed tą szafką, śliczną jak cacko, książkami do cacek podobnemi napełnioną, Zygmunt Korczyński stanął po krótkiéj przechadzce wzdłuż i wszérz pracowni odbytéj. Tylko co zjadł był śniadanie w towarzystwie zapłakanéj żony i matki, która wprawdzie z zupełnym spokojem

jaką taką rozmowę przy stole utrzymywała, ale dziwnie bacznie wpatrywała się w niego. Zapłakane oczy żony i przenikliwe spojrzenia matki do reszty mu humor zepsuły. Czuł gwałtowną potrzebę czegoś, coby go rozerwało, pocieszyło, silném jakiémś wrażeniem omdlewającą istotę jego wstrząsnęło. Chciałby malować, — malować chciał zawsze, bo w sztuce, o któréj rojenia pochłonęły mu całą młodość, widział jedynie swoje przeznaczenie i jedyny piedestał, który mógł go umieścić wysoko... Dziś przecież, tak jak od cztérech lat zawsze i codzień, nie mógł wydobyć z siebie nic: żadnego pomysłu, żadnego ciepła, żadnéj energii...

Po krótkim okresie najpiérwszéj młodości, w którym zdawało mu się, że tworzy, i raz nawet coś drobnego, lecz niejakąś wartość mającego utworzył, nastąpiła impotencya ciągła i zupełna. Wiedział o tém, że po widnokręgach sztuki przelatują często meteory natchnień słabych i niedokrwistych, które raz błysnąwszy, nie wracają już nigdy; że w ambitnych szczególniéj głowach bywają miraże natchnień, a wytężona ku jednemu celowi praca sprowadza czasem jeden jakiś wysilony i odradzać się nie mogący owoc. Ale nigdy, ani na mgnienie oka nie pomyślał, że te meteory, miraże, ułudy, do niego ściągać się mogą. O niemotę swego geniuszu oskarżał świat zewnętrzny. Od zewnętrznego świata oczekiwał

wszystkiego i na niego zwalał wszystkie winy. Nie przychodził mu na myśl ani Tasso, wielką pieśń swoję snujący w celi więziennéj, ani Milton, śpiéwający o raju w wiekuistych ciemnościach ślepoty. Nie przychodziło mu na myśl, że w każdéj fali powietrza, światła, woni, w każdym kamyku przydrożnym i każdéj trawie polnéj, w liniach każdego ludzkiego oblicza i westchnieniu każdéj piersi ludzkiéj, tkwi cząstka duszy świata, niewidzialnemi nićmi połączona z duszą artysty i w ruch ją wprawić mogąca, jeżeli tylko naprawdę jest to dusza artysty. On był pewien, jak tego, iż żył i oddychał, że trzeba mu było gór, skał, mórz, puszcz, gorących szafirów niebieskich, nagich modeli, fantastycznych draperyj, gwaru, gorączki, gonitwy, aby czuć, myśléć i tworzyć. Gdyby świat zewnętrzny oblał go jakiém wielkiém bogactwem i ugodził jakiemi piorunami wrażeń... Tu, niestety, niestety! nic nie czyniło na nim wrażenia żadnego... Chodząc po swéj pracowni, obu rękoma, jak nieraz już bywało, pochwycił się za włosy... Był to gest gniéwu, czy rozpaczy, czy obu tych uczuć razem...

Przytém, zjedzone przed chwilą śniadanie uczyniło go nieco ciężkim. Ten kucharz — przed samém ożenieniem się jego do Osowiec przybyły — doskonale gotował. Matka jego poprzestawała dawniéj na starych i trochę już niedołężnych sługach; ale dla młodych państwa wszystko w do-

mu odnowiono i ulepszono. Z takiéj kuchni, jaka tu była teraz, niewidzialnie sączył się w żyły ludzkie ociężający olejek sybarytyzmu. Po półgodzinném łechtaniu podniebienia wybornemi sosami i słodyczami, uczuwało się potrzebę wyciągnięcia ciała na elastycznéj kuszetce, ponętnie ustawionéj wśród palm i dracen.

Zbliżając się do szafki z książkami, Zygmunt spojrzał po swojéj postaci. Tyje, stanowczo tyje! Wina to braku wrażeń. Czémże, jeżeli nie opasłym wołem, stać się może człowiek, wszelkich wrażeń pozbawiony?

Wpół leżąc na elastycznéj kuszetce, przerzucał tomik poezyj Leopardi'ego, którego niezgłębiony smutek zgadzał się z dzisiejszém, od dość już dawna zresztą trwającém jego usposobieniem. Wszystkie westchnienia, łzy, zwątpienia wielkiego pesymisty stosował do siebie. Czytając o nicości i rozpaczy powszechnego życia, myślał o swojém życiu. Nie spostrzegł, że drzwi pracowni otwiérały się parę razy, a zza nich wyglądała i wnet znowu cofała się piękna kobiéca główka, w misterne puchy złocistych włosów i różowe astry ubrana. Parę razy główka ta zajrzała i cofnęła się, aż nakoniec równie cicho jak przedtém drzwi otwiérając, do pracowni weszła Klotylda.

Trochę jeszcze zapłakane jéj oczy nieśmiało i prawie pokornie utkwiły w twarzy męża, który

od kart książeczki wzroku nie odrywał. Na jéj młodziutkiéj twarzy malowało się pytanie: „Podejść do niego, czy nie podejść? Przemówić, czy nie przemówić?“ Wahała się z tém nie dla tego, aby czuła jeszcze gniéw lub urazę... Wprawdzie, nie obdarzył jéj dzisiaj ani jedném serdeczném słowem, lub choćby spojrzeniem, i zdawał się nawet nie słyszéć tego, co ona do niego mówiła; wprawdzie, obojętność ta, którą zresztą okazywał jéj teraz prawie zawsze, rozgniéwała ją i rozżaliła tak bardzo, że przez całe dwie godziny snuła w ciężko zmartwionéj głowie mnóztwo dziecinnych zamiarów wyjazdu, rozstania się, nawet samobójstwa. Ale żyć w nieporozumieniu z nim dłużéj nad dwie godziny, przechodziło jéj siły.

Z natury była łagodną i łatwo przebaczającą. Pragnęła teraz pogodzenia się i choć jednéj godziny pogodnego przestawania z nim sam na sam. Gdyby tylko wzrok podniósł na nię, z okrzykiem radości rzuciłaby mu się na szyję. Ale on, nie spostrzegając, czy udając, że nie spostrzega jéj obecności, patrzył ciągle w książkę. Szafirowe jéj oczy, blaskiem i głębią zdradzające temperament żywy i namiętny, były teraz bardzo strwożone i zmącone. Delikatne ramiona wzdłuż zgrabnéj kibici opuściła i stała chwilę pośród pracowni, wahająca się, nieśmiała, aż na usta jéj wybiegł figlarny uśmiéch. Na palcach, cichutko,

zbliżyła się do sztalug, i odchylając zawieszone na nich płótno, odsłoniła własny swój portret. Posiadać swój portret, ręką męża wykonany, było od dnia zaręczyn z Zygmuntem ciągłém jéj marzeniem. Po roku bezczynnego życia w Osowcach Zygmunt malować go zaczął, lecz dotąd nie skończył, robotę około rozpoczętego dzieła z dnia na dzień odkładając. Przed tym niedokończonym, lecz już dość wyraźnym wizerunkiem swoim Klotylda złożyła naprzód dyg głęboki, a potém przemawiać do niego zaczęła:

— Dzień dobry pani! Dla czego pani dziś taka smutna? Czy dla tego, że ktoś malować pani już nie chce? Ktoś jest bardzo niedobry. Wié on dobrze, że pani go kocha, kocha, kocha, a nie chce zapomniéć małego pani uniesienia i nadyma się, milczy, w książkę patrzy, kiedy pani przyszłaś i z całego serca pogodzić się już pragniesz... Biédna pani! Czy pani już nie kochają? O, nie! niech pani tak nie myśli, bo byłoby to zbyt bolesne... ktoś jest tylko trochę kapryśny, trochę znudzony, ale niestały nie jest... I za cóż miałby przestać panią kochać? Przecież nie zmieniłaś się wcale na gorsze... owszem, trochę wyładniałaś jeszcze, a co do serca, tego nie odebrałaś mu dotąd ani cząsteczki... ani kropelki... ani iskierki...

Łzy kręciły się w jéj oczach, a w głosie drżał śmiéch. W dziecinném jéj figlowaniu czuć było

zaczynające rozdziérać się od zwątpienia serce kobiéce; z ruchów jéj, gestów, mimiki bił niewymowny wdzięk. Przed dwoma laty, ten jéj wdzięk wesoły i pełny gracyi wprawiał Zygmunta w zachwyt; pod jego to wpływem, zarówno jak pod wrażeniem pięknéj gry na fortepianie i śpiéwu Klotyldy, rozpoczął on był małżeństwem uwieńczone staranie się o wypieszczoną i dość posażną jedynaczkę. Ale od tego czasu upłynęły dwa lata. Teraz uśmiéchał się wprawdzie, ale raczéj ze znudzenia i lekceważenia, niżeli z przyjemności.

— Przeszkadzasz mi, Klociu,— przemówił.

Na dźwięk jego głosu frunęła ku niemu i z gracyą przed nim przyklękła.

— Przemówiłeś nakoniec! Widzisz, ja piérwsza, ja kobiéta, przyszłam, aby pogodzić się z tobą. Powinno być przeciwnie, ale mniejsza o to! Kiedy się kocha, nie zważa się na miłość własną. Popatrz na mnie długo, dobrze, serdecznie, jak teraz rzadko patrzysz, i podaj mi rękę...

Nie tylko wziął jéj rękę, ale dość czule ją pocałował.

— Więc nie jesteśmy już pogniéwani?— zawołała z wybuchem radości.

— Ach, nie! tylko... przeszkadzasz mi trochę...

Znowu onieśmielona zaczęła:

— Zdawało mi się, że nic nie robisz, bo przecież przerzucanie téj książki, którą znasz dobrze, nie jest robotą...

— Wiele razy już ci mówiłem, że choć żadną pozytywną robotą zajęty nie jestem, nie idzie za tém, abym nic nie robił. Myślę... marzę... Wszak to materyał do przyszłéj pracy...

— To prawda — z powagą odpowiedziała, — wiém o tém dobrze, ale jestem tak żywą... Czy chcesz zostać zupełnie samotnym? w takim razie odejdę...

Może uległością jéj ujęty, uprzejmie przemówił:

— Owszem. Miło mi zawsze, gdy blizko mnie jesteś...

Twarz i nawet ręce jego osypała pocałunkami, ale wnet zerwała się z miejsca.

— Dobrze. Mój Boże, jak to dobrze! Wezmę sobie książkę i cichutko, tam w kątku sobie posiedzę... Kiedy już będziesz miał czas, razem może poczytamy, a po obiedzie na przechadzkę pójdziemy, znowu razem... la, la, la, la!

Piękny jéj głos napełnił pracownię radosną, krótką gamą; z mozaikowéj płyty stolika wzięła małą książkę i na palcach szła z nią ku kanapce, w przeciwległym rogu pokoju stojącéj, gdy nagle usłyszała głos Zygmunta:

— Tiens! tiens! Clothilde! pokaż mi tę książkę, którą trzymasz... co to?

— Trzeci tom Musset'a, — odpowiedziała trochę zdziwiona.

— Zkąd on się wziął tutaj? — biorąc książkę z rąk żony, badał daléj. — Jakim sposobem mogłem nie spostrzedz go na stole?...

Młoda kobiéta chmurnie na męża popatrzyła. Twarz mu ożywiła się dziwnie nagle, a oczy przygasłe wprzódy błyskały.

— Książkę tę — zaczęła zwolna — odwieziono tu przed kilku dniami z Korczyna... Wzięłam ją sama od posłańca i tu położyłam... Musiałeś jéj pożyczać stryjence, pannie Teresie, czy...

Wyciągnął rękę po ozdobny tomik.

— Daj mi to, a sama do czytania weź co innego. Wszak ci to wszystko jedno...

— Zupełnie wszystko jedno, — odpowiedziała, i podjąwszy tomik Leopardi'ego, który Zygmunt na posadzkę upuścił, usiadła z nim w przeciwległym kącie pokoju.

Wesołość jéj, szczęście, jedném słowem męża obudzone, znikły bez śladu. Domyśliła się komu w Korczynie pożyczoną była ta książka...

Karty książki Zygmunt przerzucał teraz niecierpliwie, prawie gorączkowo, na nich i pomiędzy niemi czegoś szukając. Ta, któréj poezye te przesłał, pragnąc przez nie wspomnienia jéj obudzić i uczucia wskrzesić, odesłała mu je, przy piérwszéj zapewne sposobności, bez słowa odpowiedzi na list, który towarzyszył książce. Może jednak pomiędzy jéj stronnicami znajdzie jaką kartkę, albo na stronnicach jaki wiérsz, wyraz,

przez podkréślenie na znak porozumienia zamieniony. Szukał, nie znajdował nic, ale w zamian Justyna jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią, i dreszcz uczutego wrażenia przebiegł po ciele.

Wtém, w przeciwległym rogu pokoju, głos kobiécy dziwnie ostry i szyderski przemówił:

— Czy słyszałeś o tém, Zygmuncie, że panna Orzelska wkrótce zapewne za mąż wyjdzie?

Prędkim ruchem twarz ku mówiącéj zwrócił.

— Za kogo? — rzucił krótko.

— Za pana Różyca,—odpowiedziała.

Zygmunt wpółleżącą postawę na siedzącą zamienił.

— Quelle idée! — zawołał. — Różyc nie ożeni się z nią nigdy.

— Owszem,—sucho i ostro twierdziła młoda kobiéta.—Podobała mu się odrazu i coraz więcéj się podoba. Elle a de la chance, cette... cette... cette... rien du tout! Pani Kirłowa, która ma wielki wpływ na kuzyna, pracuje nad skojarzeniem tego małżeństwa, i od pana Kirły słyszałem, że zdecydowanie się na nie pana Różyca jest tylko kwestyą czasu.

Z krzywym trochę uśmiéchem, Zygmunt powtórzył:

— Impossible! Co? ona, ten model na silną Dyanę, miałaby wyjść za tego młodego starca?...

Śmiejąc się, niedbale chodzić zaczął po pracowni, ale oczy miał chmurne i błyskające pod ścią-

gającemi się brwiami. Klotylda wodziła za nim wzrokiem, i tym samym co wprzódy, suchym, ostrym, ironicznym głosem mówiła, w nieskończoność mówiła, o nadzwyczajném, cudowném szczęściu, jakiém takie zamążpójście byłoby dla takiéj panny Orzelskiéj... Bo czémże ona była? Córką opasłego, idyotycznego ojca, rezydentką siedzącą na łasce krewnych, prostą, zupełnie prostą dziewczyną, bez układu, wdzięku, dowcipu i jakiegokolwiek talentu. Gra nieźle, ale jak po francuzku mówić zacznie, to aż uszy bolą... Une fille sans naissance, sans distinction... une rien du tout... Niewiadomo nawet co Różyc zrobi gdy się z nią ożeni, i jak ją w świecie będzie mógł pokazać... Chyba przedewszystkiém na pensyą jaką ją odda... Model na Dyanę! Zapewne, zdrową jest i silną, jakby była przebraną chłopką, ale ręce ma wiecznie opalone, jakby nigdy w życiu rękawiczek nie nosiła... Czy malarze wyobrażają Dyanę w postaci rezydentki z wielkiemi, opalonemi rękoma?

Pierś młodéj kobiéty szybko się podnosiła i opadała, gdy z drobnych jéj ust sypały się te wszystkie złośliwe i obelżywe słowa. Roziskrzonemi oczyma nie przestawała ani na chwilę wodzić za mężem, który przechadzając się ciągle, zdawał się nie widziéć jéj ani słyszéć. Pociągnął taśmę dzwonka, i lokajowi, który zjawił się natychmiast, w zwykły sobie sposób, wydał krótki rozkaz:

— Konie zaprzęgać!

Lokaj zniknął za drzwiami. Klotylda porwała się z kanapki.

— Jedziesz? — z żalem zawołała.

Szyderstwo i złośliwość, które wrzały w niéj przed chwilą, znikły bez śladu; czuła już tylko, że mąż odjedzie i cały jéj plan dnia szczęśliwie z nim spędzonego, pierzchnie.

— Muszę, — obojętnie odpowiedział Zygmunt.

— Dokąd? — zapytała znowu.

Ramionami objąć go próbowała, ale on twarzą zwracając się ku oknu, po kilku sekundach milczenia odpowiedział:

— Do Korczyna!

Zbladła i znieruchomiała.

— Zygmusiu...

Głos jéj był teraz cichy, zdławiony.

— Que veux-tu, chère enfant?

— Ty tam nie pojedziesz, Zygmusiu...

Szybko zwrócił się ku niéj i z głębokiém zdziwieniem zapytał:

— Dla czego?

— Dla tego... — zaczęła, — dla tego...

I nie dokończyła. Strwożyła się, czy téż ogarnął ją wstyd.

— Dawno nie odwiédzałem stryja i mam do niego interes. Czy chciałabyś, abym zerwał stosunki ze stryjem.

— O nie, nie! — z wybuchem zawołała,—niech Bóg broni, abym wnosiła niezgodę do rodziny, w którą weszłam!

— Czegoż więc sobie życzysz?

Bladła i rumieniła się naprzemian. Nie mogła, nie chciała być zupełnie szczérą. Duma i skromność usta jéj zamykały. Wreszcie z płaczem prawie wybuchnęła:

— Więc przynajmniéj weź mnie z sobą!

— I to jest niepodobném, — perswadował. — Wiész dobrze o słabém zdrowiu i dziwactwach stryjenki... częstych wizyt składać jéj nie wypada...

— To prawda — szepnęła, mnąc i rozdziérając w palcach cieniutką chusteczkę.

Najmniéj baczne oko spostrzedzby musiało, że bardzo cierpiała.

— Jaki ty masz do stryja interes, Zygmusiu?— zapytała jeszcze, a niespokojne jéj oczy tonęły w twarzy męża z takiém natężeniem, jakby za cenę życia wyczytać z niéj chciała prawdę.

Uśmiéchnął się.

— Zmuszasz mnie do mówienia ci o rzeczach niezajmujących... Poradzić się chcę stryja, co do zmian, jakie zaprowadzić należy, przy zamienianiu gospodarstwa ekstensywnego na intensywne...

Znowu zamknął jéj usta tak, że nic odpowiedzieć nie umiała. Po krótkiém więc wahaniu, zarzuciła mu tylko ręce na szyję, i lgnąc do niego

całém lekkiém, zgrabném ciałem, z błaganiem szeptała:

— Dziś tam nie jedź... o, mój jedyny... tylko dziś... proszę... proszę!...

Zygmunt łagodnie uwolnił się z jéj objęcia, pocałował ją w czoło, dłonią parę razy po włosach jej powiódł, i biorąc z taburetu kapelusz, wymówił:

— Do widzenia! Ne deraisonnes pas, ma mignonne! Za kilka godzin przecież powrócę!

Wyszedł z pracowni. Przed gankiem turkotały już koła powozu. Klotylda stała pośrodku pracowni z obwisłemi na suknię rękami, z przygryzioną wargą, bez kropli zda się krwi w twarzy, i po kilku dopiéro minutach, za głowę się pochwyciła.

— Do niéj pojechał! — zawołała.

Z szybkością strzały przebiegła parę salonów, i wbiegając do pokoju matki męża, wybuchnęła płaczem.

Pani Andrzejowa siedziała na tym samym co przed kilku godzinami fotelu, ale nie nad robotą pochylona. Na kolanach jéj leżała rozłożona książka, a u kolan na nizkim stołeczku siedziało kilkoletnie dziecko, dziéwczynka w grubéj spódniczce i perkalowéj chustce na głowie. Jednćm z zajęć, którym wdowa po Andrzeju Korczyńskim oddawała się od lat dwudziestu kilku, było uczenie wiejskich dzieci. W obszérnym dworze i wsiach najbliższych pełno było dorosłych już te-

raz ludzi, którzy w dzieciństwie swojém, codziennie przez czas jakiś wchodzili do jéj pięknego pokoju i dłużéj lub krócéj u kolan jéj przesiadywali. Zstępować ku nim, mieszać życia swojego z ich życiem, ani mogła, ani chciała. Przechodziło to jéj siły, i oddawna już przekonała siebie, że obowiązkiem nie było. Ale te dzieci czysto, na tę przynajmniéj chwilę, ubrane, czasem ładne, często dobre, nie raziły wcale jéj smaku i przyzwyczajeń; pracując zaś nad niemi, myślała, że spełnia zakon miłości bliźniego, nadewszystko zaś, że łączy się z Andrzejem w tém, co było jego najukochańszą ideą. Myśl o niewidzialnéj łączni, którą przez tę pracę wytwarzała między nim a sobą, sprawiała jéj przejmującą, jakąś mistyczną rozkosz. Oddawna nieobecny i niepowrotny mąż, nie przestawał być dla niéj natchnieniem i celem.

Kiedy drzwi otworzyły się ze stukiem i śliczna kobiéta w blado-różowéj sukni, z nadaremnie tłumionym placzem do pani Andrzejowéj przypadła, dziéwczynka cichutko wysunęła się z pokoju. Po raz piérwszy Klotylda powiérzała matce męża swoje obawy i żale, ratunku i rady od niéj wzywając, a w części za los swój ją odpowiedzialną czyniąc.

Tę odpowiedzialność pani Andrzejowa czuła i uznawała sama. Ona to, na wezwanie Zygmunta, pośpieszyła w strony zamieszkiwane przez ro-

dziców Klotyldy, i wahających się nieco, skłoniła do powierzenia jéj synowi siedmnastoletniego, pięknego, utalentowanego dziecka. Urodzenie, stosunki rodzinne, posag, same nawet muzykalne zdolności, starannie rozwijane, które w przyszłości wzrastać jeszcze mogły, zapowiadały Klotyldzie przyszłość świetną. Miałażby ona teraz, z winy jéj syna, być nieszczęśliwą? Wina jego ciężko spadała i na serce jéj, i na sumienie. Wiedziała aż nadto, że skargi młodéj kobiéty były słuszne, rozumiała wybornie, że cierpienie jéj było dotkliwe i niezasłużone. Drżała na myśl, czém staćby się mogło to dziecko zbytku i pieszczot, gdyby miłość jego dla męża, jedyna, na jaką zdobyć się mogło, nieodwzajemniona, zdeptana, zagasła.

Na swojém, i więcéj niż na swojém, bo na syna swojego sumieniu, czuła odpowiedzialność nietylko już za szczęście, ale i za duszę téj niewinnéj dotąd i kochającéj istoty ludzkiéj. W saméj sobie nosząc wierność niezłomną, syna poprostu zrozumiéć nie mogła. Przed dwoma laty przecież widziała go zakochanym w Klotyldzie. Jednak o wystygnięciu tego uczucia wiedziała z większą jeszcze pewnością, niż sama Klotylda. Przed dwoma miesiącami odprawiła jednę ze swych służących, którą Zygmunt nazywał modelem do Fryny, i w któréj towarzystwie parę razy spostrzegła go była w parku. A teraz te wycieczki do Korczyna? Kochałże on naprawdę

Justynę, a miłość dla Klotyldy byłażby w nim tylko omyłką zmysłów, czy wyobraźni? Ależ gdyby ją kochał prawdziwie i silnie, byłby ją pojął za żonę. Ona małżeństwa tego nie chciała, sprzeciwiała się mu, to prawda, przymusu jednak na jego wolę, gdyby ją był stanowczo objawił, nie wywierałaby nigdy. Sam wahał się, namyślał, chciał i nie chciał, nakoniec odjechał, i zdawało się, że o wszystkiém, co go z Justyną wiązało, zapomniał. Teraz jednak... znowu.. Co to wszystko znaczyło?

Czule, macierzyńsko obejmowała synową, głowę jéj do piersi tuliła, i z łagodnym spokojem pocieszała ją wszystkiém czém mogła; o jéj obawach i cierpieniach poważnie z Zygmuntem pomówić przyrzekała, a na dnie duszy snuła rozpaczliwe myśli i pytania.

Kiedy młoda kobiéta, któréj uczynione zwierzenia, a także pieszczoty i obietnice matki ulgę przyniosły, blada i spłakana, ale już znowu uśmiéchająca się do życia, wyszła do ogrodu, aby swe ulubione kwiaty obejrzéć, pani Andrzejowa powstała i poruszyła stojący na stole dzwonek.

— Dokąd pan Zygmunt pojechał? — zapytała zjawiającego się we drzwiach lokaja.

Miała jeszcze trochę nadziei, że pojechał nie do Korczyna, a usłyszawszy odpowiedź, która jéj tę nadzieję odbiérała, po chwilowém milczeniu rzekła jeszcze:

— Skoro powróci, powiédzże proszę, aby zaraz przyszedł do mnie.

Po odejściu służącego, długo sama jedna stała pośrodku pokoju, z rękami splecionemi i opartemi o stół, zapełniony dziennikami i książkami. Na blade jéj policzki wystąpiły plamy ognistych rumieńców. Tyle w samotności rozważała i myślała, że nawet namiętna miłość macierzyńska nie mogła jéj wzroku utrzymać w bezwiednéj ślepocie. To zaś, co niezupełnie jeszcze dokładnie, ale już spostrzegała, było grubą chmurą, zachodzącą na jéj wszystkie pociechy i chluby.

II.

W ostatnich dniach lipca, kiedy część zboża jeszcze nie zdjęta stała na korczyńskich polach, Witold i Justyna postępowali drogą, wiodącą z Bohatyrowicz do Korczyna. Szli prędko i rozmawiali żywo, tak żywo i z takiém zajęciem, że aż na policzki młodéj panny wybiły się gorące rumieńce, a oczy jéj, zazwyczaj trochę pochmurne, jaśniały radością. Nie zatrzymując się i nawet kroku nie zwalniając, wyciągnęła rękę do młodego krewnego.

— Dziękuję ci, Widziu, z całego serca dziękuję, — z niezwykłém sobie wylaniem mówiła. — Wszystko, co mi powiedziałeś, przejęło mię głęboko. Od niejakiego czasu, te same myśli przechodziły mi przez głowę, tylko ich tak wyraźnie układać nie umiałam. Bo widzisz nie jestem ani uczoną, ani pod żadnym względem wyjątkową... sama jednak nie wiém dla czego, dostrzegłam już w życiu wiele rzeczy marnych i trochę ważnych...

Z wesołym uśmiéchem dodała:

— Nudziłam się okropnie, i może z nudy wymyśliłam sobie to wszystko, o czém ty daleko lepiéj i więcéj wiész odemnie...

Spojrzał na nię z boku i filuternie.

— A teraz nie nudzisz się? — zapytał.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, od niejakiego czasu, nie! Chociaż, przyznam ci się, że jeszcze dobrze nie rozumiém...

Urwała.

— Czego jeszcze nie rozumiész?

Po chwilowém wahaniu się, odpowiedziała z cicha:

— Tego co czuję, i tego co myślę...

— Brak przygotowania — zauważył Witold; ale zaraz dodał wesoło:—wyjaśni się to zapewne, bo i doprawdy, dla czegożbyś nie miała pójść nową drogą?...

Zarumieniła się jeszcze ogniściéj i z żywością szepnęła:

— Nie wiém... nie wiém... może to tylko złudzenie... lękam się...

— Czego? — ciekawie zapytał Witold.

Ale ona spłonioną twarz ku polu zwróciła, i może pod wpływem zakłopotania, jakie jéj ta rozmowa sprawiała, mocno ściskała w dłoni sporą wiązkę snadź tylko co zerwanych floksów, pośród których tkwiła ogromna, czerwona georginia.

— Wcale nie wytworny bukiet, — patrząc na kwiaty uśmiéchnął się Witold. — Rzecz jednak godna uwagi, jak ci ludzie kochają się w kwiatach. Nawet ta prozaiczna Elżusia, która na dwa tygodnie przed ślubem liczy sztuki bydła narzeczonego i myśli o *wekselach*, które wyda jéj ojciec, mnóztwo ich w ojcowskiéj zagrodzie pielęgnuje...

Zwracając się ku towarzyszce, zapytał:

— Czy doprawdy będziesz na tém weselu?

— Naturalnie!—zawołała z żywością.

— Drużką Elżusi?

— Naturalnie.

— A tworzącym dla ciebie parę *drużbantem* będzie pan Kaźmirz Jaśmont, którego cyfry na cieniutkiéj chusteczce wyhaftujesz, i tę chusteczkę ofiarujesz mu w zamian podanych ci przez niego bukietów mirtowych... Tak?... Umiész to zapewne na pamięć, jak i wiele innych rzeczy, których ponauczałaś się w ostatnich czasach. Czy wiész o tém, że wczoraj, kiedy panna Teresa, łzawiąc się z czułości, opowiadała ci radość swoję i mamy z przypuszczalnego twojego małżeństwa z panem Różycem, śmiéjąc się odpowiedziałaś: „Bo to wy wiécie jedno, a ja drugie!“ Gdybym wtedy na ciebie nie patrzył, myślałbym, że to stara Starzyńska mówi! Prościejesz, Justysiu, widocznie prościejesz!..

Śmiał się głośno, wesoło, patrzył na Justynę bardzo przyjaźnie. Nagle zagadnął:

— Czy to prawda, co pani Fabianowa Bohatyrowiczowa, nie Giecołd, mówiła, że już nauczyłaś się żąć wcale dobrze?...

Justyna uśmiéchając się pokazała mu obie ręce, ze stwardniałemi trochę dłońmi i kilku szramami, pochodzącemi od ostrza sierpa.

— Przez cały prawie tydzień po kilka godzin dziennie żęłam... Praca to ciężka, mniéj przecież ciężka niż...

— Niż co?...

Z błyskiem oczu dokończyła:

— Niż wieczne gryzienie siebie popielcową myślą: „Prochem jesteś!“ z dodatkiem: „Nim jeszcze w proch się rozsypałaś!“

— Brawo! Masz słuszność! Są na świecie ludzie, którzy od takich myśli naprawdę z rozpaczy w proch rozsypać się mogą — i ty widać do nich należysz!

Po chwili z powagą zapytał:

— Czy nie przechodzi to sił twoich?

Prostując kształtną i silną kibić, odpowiedziała:

— Czy wyglądam na istotę, co ma taką postać, jakby zaraz do nieba miała się dostać?

Oboje parsknęli głośnym śmiéchem, który przez kilka sekund wtórował ogromnemu, ogłuszającemu ćwiérkaniu świérszczy w przydrożnych trawach. Znajdowali się w téj chwili tuż za stodo-

łą korczyńską, która ze staremi już ścianami, lecz murowanemi słupami i starannie utrzymywanym dachem, zdrowo i silnie wyglądała.

— Trzeba wiedziéć — zaczął Witold, — że ojciec utrzymuje Korczyn w dziwnéj całości i porządku. Pracuje też prawdziwie jak wół, tylko że wół takich kłopotów i niepokojów nigdy nie ma... Dobrze, że mu dziś trochę dopomódz mogłem, bo kiedyśmy się w „okolicy“ spotkali, wracałem właśnie z pola, gdzie mię do robotników był posłał. Biédny, kochany ojciec!

W téj saméj prawie chwili stanął jak wryty, i nagle, ze ściśniętemi brwiami słuchać zaczął. Z drugiéj strony stodoły, na folwarcznym dziedzińcu, rozlegał się głośny, gruby, rozgniéwany krzyk Benedykta. Słów tego krzyku nie można było rozróżnić, ale czuć w nim było groźby i obelgi. Witold rękę podniósł do czoła:

— Jak mię to boli! Boże, jak mię to zawsze boli!...

Krokiem przyśpieszonym rzucił się daléj, zapominając zupełnie o towarzyszce.

Słońce zaszło już było przed kwadransem, i tylko nad zaniemeńskim borem pozostawiło széroki pas jaskrawy, który dachy i szczyty drzew korczyńskiego dworu obléwał, podobném do pożogi czérwoném światłem. Tam, gdzie dziedziniec folwarczny széroko otwiérał się na Niemen, pomiędzy jednym z czworaków, a stajnią, na tle

czérwonych zarzecznych obłoków, postać pana Benedykta rysowała się nakształt czarnéj sylwetki, wysokiéj, ciężkiéj, wąsatéj, któréj rysy znikały w oddaleniu, ale ramiona dokonywały gwałtownych gestów i długie wąsy szamotały się spuszczone na piersi. Naprzeciw téj sylwetki stała druga, również na tle czerwonych obłoków czarna, ale znacznie niższa, z krępemi kształtami i głową, która jeżąc się rozczochraną czupryną, lękliwie wtuliła się w ramiona. Pośrodku znajdowało się jakieś narzędzie rolnicze, zaprzężone we dwa konie, melancholijnie ku trawie dziedzińca łby pochylające. U drzwi czworaku i wrót stajni stały gromadki ludzi, w milczeniu i nieruchomości słuchające krzyków pana domu.

Witold, szybko przebywając dziedziniec, kierował się ku dwom czarnym sylwetkom, przez narzędzie rolnicze i parę nieruchomych koni rozdzielonym. Od pośpiéchu, z jakim szedł, trochę zdyszany, zapytał:

— Co to, ojcze?

Nie było już na nim ani śladu wesołości i szczęśliwego, młodzieńczego uniesienia, z jakiém przed chwilą rozmawiał z Justyną. Ale pan Benedykt na wyraz twarzy syna wcale nie zwrócił uwagi. Rozpaczliwym gestem wskazując mu stojącego o dwa kroki parobka, głośniéj jeszcze niż przedtém wybuchnął:

— Skaranie boże! nieszczęście! zguba prawdziwa z osłami i łajdakami tymi! Żniwiarkę mi zepsuł! Kilka dni z nią po polu pojeździł i już zepsuł! A czy ty wiész, że ja dobrze musiałem sobie głowy nałamać, nim zdobyłem się na jéj kupienie?... Ale co to was obchodzi, że komuś szkodę zrobicie? Czy wy macie serce, albo sumienie, osły, łajdaki, gałgany!...

— Mój ojcze... — spróbował przerwać Witold. Ale Benedykt, jakby właśnie prośbę tę chciał udaremnić, więcéj jeszcze głos podniósł.

— Czy ty myślisz—wciąż do parobka się zwracał,—że ja ci to daruję? Żniwiarkę do naprawy poszlę, ale co za nię w mieście zapłacę, to ci z pensyi wytrącę...

Na te słowa chłop krępy, w siermiędze, po raz piérwszy kudłatą głowę z ramion wysunął i mrukliwie przemówił:

— Nie wytrącajcie, panoczku, bo z czegoż ja z dziećmi żyć będę?...

— Z głodu nie zdechniesz!...— krzyknął Benedykt.—Ordynaryą masz... dach nad głową masz... krowę nawet trzymać wam pozwalam... A gdybyś zresztą i ziemię miał gryźć, wytrącę... jak Boga kocham, wytrącę... żebyś nauczył się, łajdaku, własność cudzą szanować.

— Mój ojcze!— głośniéj niż przedtém przemówił znowu Witold, i wyprostował się z nad żniwiarki, któréj zepsucie bacznie i prędko obej-

rzał. — Mój ojcze, ja się na tém znam trochę... W przeszłym roku, tam, gdzie lato spędziłem, żniwiarki psuły się często, a ja przypatrywałem się, jak je naprawiano. Tę, można będzie naprawić w domu, małym kosztem i prędko... ja sam się tém zajmę... Maksymowi nie trzeba będzie nic z pensyi wytrącać...

Zwrócił się do parobka, który czapkę mnąc w ręku, z nogi na nogę przestępował, wzdychał i coś niewyraźnie mruczał.

— Słuchaj, Maksymie, czy ty rozumiész jak ta żniwiarka zrobiona i jakim sposobem żąć może? Pewno nie rozumiész, i dla tego ją zepsułeś, że nie rozumiész... Otoż, popatrz i posłuchaj: ja ci to zaraz pokażę i wytłumaczę...

Łagodnie, powoli, dobiérając wyrażeń dla chłopa zrozumiałych, z łatwością świadczącą o bliskiém obeznaniu się z ludem, Witold mówił przez dobry kwadrans, części składowe narzędzia i połączenia ich żywemi gestami pokazywał. Parobek, w postawie pokornéj i ociężałéj, słuchał zrazu leniwie i tylko z przymusu, ale po kilku minutach pochylił się, i to na żniwiarkę, to znowu na mówiącego spoglądać zaczął z ożywieniem i ciekawością. Kiwał przytém głową na znak zdziwienia, lub zrozumienia, z cicha pomrukiwał, wskazywanych mu części żniwiarki grubemi i węzłowatemi palcami dotykał.

— No, widzisz — prostując się kończył student, — nic tu takiego mądrego niéma, i tylko w obchodzeniu się z tą machiną trochę trzeba ostrożności i uwagi. Jutro obadwaj wstaniemy o świcie, machinę do kowala zawieziemy, a w jaką godzinę po wschodzie słońca będziesz już mógł w pole z nią wyjechać. Straty nie będzie żadnéj ani nam, ani tobie...

Ostatnie słowa widoczném zadowoleniem okryły ciemną, gęsto obrosłą twarz chłopa. Schylił się, i z głośném cmoknięciem całując rękaw surduta Witolda, z uśmiéchem i głośno przemówił:

— Dziękuję, paniczu! Daj Boże zdrowie!

Poczém lejce z ziemi podniósł i cmoknął na konie, które żniwiarkę ku stajni pociągnęły.

Benedykt, od chwili wmieszania się syna w scenę pomiędzy nim a parobkiem zachodzącą, stał nachmurzony i silnie wąsa w dół pociągał. Po oddaleniu się chłopa, wzrok podniósł na syna.

— Dałeś mi lekcyą obchodzenia się z ludźmi. Teraz widać takie czasy przyszły, że jaja kury uczą. Dziwię się tylko, że od tylu lat nad książką ślęcząc, umiész tak biegle i w sposób odpowiedni z chłopami rozmawiać...

— Jeżeli ci się to nie podoba, mój ojcze — żywo odrzucił Witold, — samemu sobie chciéj winę przypisać. Kiedy dzieckiem pod twojém okiem rosłem, i kiedy następnie ze szkół do domu przy-

jeżdżałem, nie wzbraniałeś mi przestawania z wiejską ludnością...

Zwracając się ku domowi, Benedykt sarknął:

— Na siebie samego bicz kręciłem. Według idyli, która w twojéj dziecinnéj głowie powstała, sądzisz teraz ojca...

— Idyla! — popędliwie zawołał Witold.—Upewniam cię, mój ojcze, że patrzę na rzeczy bardzo trzeźwo i że... na razie... szczytem moich marzeń jest to, aby ludzie nie obchodzili się z ludźmi jak z bezmyślnemi bydlętami... owszem, jak z kamieniami chyba, bo przecież są na świecie takie dziwaczne usposobienia, które i dla bydląt wyrozumiałość i litość mają...

Benedykt zaśmiał się z lekceważeniem.

— Kiedy już sam poturbujesz się dobrze nad gospodarstwem i interesami, będziesz wiedział, jakie różnice zachodzą pomiędzy teoryą a praktyką, między rzeczywistością a sielanką...

Witold wpadł mu w mowę.

— Jeżeli kiedy, mój ojcze, przekonany będę, że teorye moje z praktyką w żaden sposób pogodzone być nie mogą, w łeb sobie strzelę, ale od teoryi nie odstąpię za nic...

Benedykt stanął jak wryty i popatrzył na syna takim wzrokiem, jakby go ujrzał nad brzegiem przepaści. Po chwili przecież uśmiéchnął się.

— Dziecko jesteś... Każdemu zdaje się za młodu, że jeżeli gwiazdy z nieba nie zdejmie,

w łeb sobie palnie, a potém jednak i przy świetle śmierdzącéj łojówki żyje...

— Albo—zaprzeczył Witold — za swoję gwiazdę i aby smrodu łojówek nie czuć, łeb sobie roztrzaskać daje... Ty, mój ojcze, znasz zblizka takie przykłady...

— Nie znam, nie wiém i nic wiedziéć nie chcę! — sarknął Benedykt.

— Stryj Andrzéj... — drżącemi trochę usty zaczął Witold.

Ale Benedykt znowu jak wryty stanął.

— Cicho! — zawołał stłumionym szeptem.

Szybko i z trwogą rozejrzał się dokoła, lecz w pobliżu nie było nikogo.

Na usta Witolda wybiegł uśmiéch bolesnéj ironii.

— Nie lękaj się, ojcze, — zwolna wymówił, — nikt nie usłyszał, że ze czcią imię twojego brata wspomniałem!...

Ciemny rumieniec, od siwiejących gęstych włosów aż po kołniérz koszuli, okrył twarz Benedykta. Zmieszał się więcéj jeszcze niż wtedy, kiedy Witold jego pokorną względem wierzyciela uniżoność zauważył. Złagodniał téż, i w bramie ogrodzenia, które dziedziniec folwarczny z dworskim rozdzielało, mówić zaczął:

— Każdy za młodu ma swoje marzenia i teorye, którym późniéj praktyka kurtę kroi. Łbem muru nie przebijesz, a ci ludzie, gdybyś i miodem

ich smarował, będą zawsze leniwi i nieżyczliwi...

— Cóż dopiéro kiedy się ich pieprzem karmi!— uśmiéchnął się Witold.

— A kto ich tam do dyabła chce pieprzem karmić? — z odradzającém się rozjątrzeniem rzucił Benedykt.

— Naprzód — zaczął Witold — aż nadto nasypało się go im do garnków z przeszłości, a potém...

Stanął, i zwracając się twarzą ku folwarcznemu dziedzicowi, na czworaki wskazał.

— Wszak nie myślisz pewnie, ojcze, że ludzkie energie i uczucia rozwijać się mogą w tych okopconych i przeludnionych izbach? Mówiłeś przed chwilą, mój ojcze, że dach nad głową mają i ordynaryą biorą... w dodatku trzydzieści rubli na rok, które zmniejszają się przy każdéj szkodzie, uczynionéj przez nieoświéconą i niezgrabną rękę... Istotnie, jest to byt, mogący wzniécać i rozwijać gorliwość, dbałość, życzliwość...

— A więc—wybuchając, przerwał Benedykt,— więc wynajdź sposoby na budowanie dla nich pałaców i żywienie ich pasztetami... bo ja i sam ani pałacu sobie nie wystawiłem, ani pasztetów nie jadam... Tak krawiec kraje, jak materyi staje. Kiedy sam z krédką w ręku zaczniesz kroić, przymierzać, łatać i koniec do końca tak ciągnąć, aby je związać, że ci czasem aż ciężkie poty na skórę wystąpią, wtedy przekonasz się, co to jest prakty-

ka, i w ogólności, co to jest w naszych warunkach życie... oj, życie!

Roziskrzonemi oczyma spojrzał na syna.

— Chciałbym — trochę ciszéj dokończył, — chciałbym bardzo, abyś wracając do domu po ukończeniu nauk, mnie już tutaj nie znalazł... abym już wtedy był tam, gdzie... to... tamto... sobie dawno poszedł... to... tamto... Andrzéj! I mnie byłoby lepiéj, i tobie...

— Mój ojcze! — przerażonym głosem chciał przerwać Witold.

Ale Benedykt przerwać sobie nie dał:

— Tak—kończył,— najpewniéj byłoby lepiéj... bo gdybyś miał do mnie przywiązanie...

— Wątpisz o niém, ojcze!...

— Wątpię. Ale ponieważ tego niéma... niéma... no, to gdyby stary grat ustąpił, mógłbyś samowładnie w Korczynie rządzić, i chłopów za pastérzy przebrawszy, razem z nimi położyć się nad strumykiem i w dudkę gwizdać...

Wymówiwszy te słowa, koniec wąsa do ust włożył, i z pochylonym karkiem, ciężko, prędko, szérokiemi krokami ku domowi poszedł. Witold, w bramie ogrodzenia stał jak skamieniały. Tak był wzruszony, że ramię mu drżało, gdy rękę do czoła podnosił.

Po kilku dopiéro minutach, z cierpiącą i bledszą niż zwykle twarzą, młody człowiek wszedł do sali jadalnéj, oświetlonéj lampą, palącą się nad

stołem do wieczerzy nakrytym, i dokoła którego dość liczne grono osób już zasiadało. Z wyjątkiem Kirły, który od kilku godzin bawił w Korczynie i po wieczerzy miał odjechać, było to tylko towarzystwo domowe. Ale, co się nie często zdarzało, pani Emilia dość zdrowa, w ładnym, letnim szlafroczku, przyszła dziś do stołu; obok niéj umieściła się Teresa, z lewą ręką, w któréj czuła bole reumatyczne, na białéj chustce zawieszoną; u końca stołu, Orzelski, błogo uśmiéchnięty, dla lepszego przyjrzenia się ustawionym na stole półmiskom, srébrne swe włosy pod światło lampy wysuwał; przy nim, wyprostowana, z ładną, żółtawą twarzyczką siedziała Leonia; Kirło zaś, ze śnieżystym i wykrochmalonym przodem koszuli, z przymilonym uśmiéchem na kościstéj twarzy, z rąk pana domu przyjąwszy kieliszek wódki, umieścił się naprzeciw Justyny z takim pośpiéchem, jakby się lękał, aby go ktokolwiek w zajęciu tego punktu nie uprzedził.

Od niejakiego czasu Kirło okazywał Justynie uprzejmość z nadskakiwaniem graniczącą, ani ku niéj żartobliwéj i lekceważącéj galanteryi, ani ku jéj ojcu wesołych drwin nie zwracając. Teraz, naprzeciw niéj siedząc, nie tylko poruszenia, ale i spojrzenia jéj śledzić się zdawał. Przytém, z serwetą na szyi zawiązaną i całą pierś mu okrywającą, zajadając ze smakiem kotlety, nieustanną prawie rozmową zajmować usiłował nie zbyt

ożywione towarzystwo. Mówił o Różycu. W ogólności, mówił o tym krewnym swojéj żony tak często i z takiém zadowoleniem, że możnaby go było posądzić o szczycenie się tém pokrewieństwem. Zresztą sam tego nie tail, że się niém szczycił. Tym razem przecież mówił o Różycu nie tylko dla chwalenia się, ale i w innym jeszcze celu.

— Zaręczam państwu—mówił, — że gdyby mu żyłę przeciąć, popłynęłaby z niéj krew tak błękitna... jak naprzykład... jak naprzykład niemeńska woda w pogodę...

Teresa zachichotała.

— Ej doprawdy, pan zawsze żartuje! kto kiedy widział błękitną krew!...

— Tak się mówi, moja Tereniu, o dobrych, starych rodach, — łagodnie wytłumaczyła p. Emilia.

Benedykt zamruczał:

— Doskonałe porównanie... bo czy tam krew ta błękitna, czy nie błękitna, ale że wody w niéj wiele, to pewna...

Witold ze spuszczonemi powiekami dotąd siedzący i nie dotykający wcale jedzenia, wzrok na ojca podniósł, i w twarz jego nad talerzem pochyloną, surową i pomarszczoną, długo popatrzył.

— Zawsze to jednak, panie dobrodzieju — ciągnął Kirło,—rzecz przyjemna... przyjemna... z takiego rodu pochodzić. Wprawdzie tytułu żadnego nie ma... ani książę, ani hrabia... ale takie szlachectwo, jak jego, równa się hrabiowstwu,

a może i jakiemu kiepskiemu księztwu... a jaka parantela... fiu! fiu! z najpiękniejszemi familiami... panie dobrodzieju mój... rodzona ciotka za księciem...

Spojrzał ku Justynie błyszczącemi oczkami, a spostrzegłszy, że potrzebowała soli, z pośpiéchem i przymileniem posunął ku niéj solniczkę. Potém, omletu z konfiturami z półmiska nabiérając, mówił znowu:

— Poczciwy ten Teofilek! Dwadzieścia dwa lata miał, kiedy mu ojciec umarł... matka żyje jeszcze i w Rzymie na dewocyi siedzi... bardzo zacna matrona... a on dwadzieścia dwa lata miał kiedy stracił ojca i w sukcesyi wziął fortunę malutką, maluteczką, ni mniéj, ni więcéj, tylko, panie dobrodzieju, coś tak około miliona rubli, około jednego, jednego sobie milionika rubli...

— O Jezu! — jęknęła Teresa.

Orzelski językiem mlasnął.

— Caca fortunka... caca... Żeby to te... mieć... choć dziesiątą część tego!

— Aha! pewno! — podchwycił Kirło, — żeby to te... ha! dziesiątą część... ze sto tysiączków... Ale pan omleciku jeszcze nie brał... służę panu! Ze słabym zaledwie odcieniem dawnéj żartobliwości, podał ojcu Justyny półmisek.

— Teraz zaś—ciągnął,—w trzydziestym piérwszym roku życia, Teoś posiada już tylko 300,000, bo Wołłowszczyzna, lekko licząc i na najniższą

cenę ziemi, warta jeszcze pewnie 300,000. Przez ośm czy dziewięć lat stracił więc chłopak sześćset tysięcy... malutkie sobie sześćset tysiączków, przez ośm czy dziewięć lat stracił... Ha? jak się to państwu podoba... zuch chłopak, co?

I zaśmiał się dobrodusznie, serdecznie a tryumfującym wzrokiem po obecnych wodził. Kolosalność cyfr wymienianych zachwycała i niejako w dumę wbijała posiadacza malutkiéj Olszynki. Śmiéch uspokoiwszy i z miną smakosza sącząc z kieliszka tanie francuzkie wino, które na korczyńskim stole zjawiało się tylko przy gościach, opowiadał o sposobach, jakiemi owe sześćset tysięcy przez Teofilka stracone zostały. Powtarzał pogłoski i opowiadania, które krążyły po okolicy, od przybycia do niéj Różyca i które mieszkańców tych stron, ciężkiém życiem mniéj lub więcéj stéranych, w zdumienie wprawiały, Sodomę, Babilon i inne tym podobne miejsca nieprawości im przypominając. Łatwiéj byłoby wyliczyć to, czego o Różycu nie mówiono, niż to, co mówiono, a co teraz Kirło, z werwą, okraszoną dowcipami i dwuznacznikami, ze szczególném i widoczném lubowaniem się, powtarzał. Wille w okolicach Wiednia i Florencyi, apartamenta przy paryzkich bulwarach, gry w ruletę i sztosa, głośne przygody z najgłośniejszemi przedstawicielkami półświata, aż w dziennikach opisywane zakłady i pojedynki... Ile w tém wszystkiém mieściło się

prawdy, a ile przesady, trudno zgadnąć; najpewniéj przesady było nie mało, ale i prawdy wiele.

Siedzący przy stole korczyńskim niektóre z opowiadanych szczegółów już znali; innych słuchali z rozmaitemi wyrazami twarzy. Z wyjątkiem przecież Benedykta, który schylał się jeszcze nad talerzem, oraz Witolda, który wciąż blady i smutny powiek prawie nie podnosił, wszystkie spojrzenia zwracały się na Justynę. Kirło, spostrzegłszy że Justyna ku karafce rękę wyciąga, z pośpieszną, lecz i pełną uszanowania galanteryą, do szklanki jéj wody nalał, poczém o wartości i piękności Wołłowszczyzny znów mówić zaczął.

— Pałacyk szyk! zaniedbany teraz, co prawda, ale gdyby go odrestaurować, urządzić... byłaby rezydencya pańska, rozkoszna...

Kirło końce palców swoich pocałował, a Orzelski, który niegdyś przez Wołłowszczyznę przejeżdżał i pałacyk widział, ustami pełnemi omletu cmoknął.

— Caca pałacyk... caca! — zawołał,—i palcem w powietrzu wykręcać zaczął.

— Wieżyczki, balkony, łamańce, wykrętasy... tylko, że z drogi patrzając, zdaje się, iż zaraz to... runie!

Nie runie. Pałacyk nie runie, wyrestauruje się, odświeży, urządzi, gdy tylko właściciel tego zechce... a zechce wtedy, gdy zrobi projekt oże-

nienia się. Ale co grunt, to, że Wołłowszczyzna posiada osiem folwarków ze śliczną glebą, a w tych folwarkach, jak u Pana Boga w spiżarni, wszystkiego pełno: lasy, stawy, ogrody, pachty, młyny, dwie gorzelnie, dawniéj fabryka czegoś tam była i przynosiła dużo, a choć upadła, znów powstać może i dużo przynosić. Wszystko tam, co prawda, podupadło i zrujnowało się, ale podniesioném i wyrestaurowaném być może, gdy tylko Teofilek zechce, a zechce najpewniéj wtedy, kiedy się ożeni; żoneczka rozumna i energiczna do gospodarstwa go zachęci, i pieszczotami, rozumkiem, taktem, swawolnego ptaszka w gniazdku zatrzyma...

Tak mówił Kirło, i wpół żartobliwie, wpół z rzetelną admiracyą, na Justynę patrzył. Filuternie i uniżenie przymilone jego rysy zdawały się do niéj przemawiać: „Uwielbienia godną jesteś już przez to, żeś wzrok jego zwrócić na siebie potrafiła, a gdy to wielkie, cudowne szczęście, które ci prorokuję, posiędziesz, bądź na uniżonego sługę swojego łaskawą!“ I wszyscy zresztą, oprócz Benedykta i Witolda, na Justynę spoglądali; w spojrzeniach i uśmiéchach pani Emilii, Teresy, nawet niedorosłéj Leoni, którą opowiadania Kirły zaciekawiły i ożywiły, wyraźnie malowały się wykrzykniki: „Dziwne, nadspodziéwane szczęście! cud prawdziwy nad biédną dziéwczyną, przez

Opatrzność okazany!“ Pani Emilia myśli te nawet słowami wyraziła.

— Prawdziwy zaszczyt sprawi pan Różyc kobiécie, którą za żonę wziąć zechce... taki ród, majątek...

— Ach, i takie serce! — przerwała jéj Teresa.

— A pałacyk! ach, mamciu, pałacyk! to najmilsze ze wszystkiego! — wykrzyknęła, podskakując na krześle Leonia, która przed niewielu dniami tak gorąco a nadaremnie błagała ojca o posągi i nowe meble do korczyńskiego salonu.

Justyna przez cały ciąg wieczerzy milczała. Nie mogła jawnie odpiérać, ani przyjmować spadających na nię spojrzeń, uśmiéchów, półsłówek, bo nie były jawnie ku niéj zwracane. Rzadko podnosiła oczy, lecz ile razy je podniosła, przebiegał w nich błysk obrazy. Wargi jéj, jak dojrzałe wiśnie, pełne i purpurowe, przybiérały chwilami wyraz dumny i wzgardliwy. Nie wiedzićć dla czego, to co innym wydawało się pochlebném i zaszczytném, ją drażniło i obrażało. Wszyscy wprawdzie wiedzieli o tém, że najwybitniejszą cechą jéj charakteru była duma. Ale właśnie dumna kobiéta powinnaby świetném zwycięztwem nawpół już odniesioném i otwiérającą się przed nią perspektywą, czuć się uszczęśliwioną...

Benedykt, który swoim zwyczajem jadł wiele i długo, a raz w rozmowę słowo rzuciwszy, wię-

céj się już nie odzywał, rozumiał dobrze, iż wszystko, o czém przy stole mówiono, odnosiło się do Justyny. Kiedy poraz piérwszy usłyszał od żony pełne zdumienia i zachwycenia opowiadanie o prawdopodobnych względem Justyny zamiarach Różyca i o staraniach w celu urzeczywistnienia się ich przez Kirłową czynionych, zdziwił się także i ucieszył.

— Daj Boże!—wymówił,—daj Boże! Dla biédnéj dziéwczyny świetna to partya i niespodziéwana... istotnie niespodziéwana!...

Ale późniéj nie wiele myślał o tém. Krewnéj i wychowanicy swéj dobrego zamążpójścia życząc, czynnie do tego pomagać czasu ani ochoty nie miał. Wprzód jeszcze nieraz przychodziło mu na myśl, że gdyby Justyna za mąż wychodziła, musiałby jéj oddać oparte na Korczynie, a do niéj należące pięć tysięcy, coby mu nowych kłopotów przysporzyło. Teraz, przy téj wieczerzy, przyszło mu na myśl, że jeśli ona wyjdzie za Różyca, to kłopotu mu tego oszczędzi, bo dziedzic Wołłowszczyzny natychmiastowego wchodzenia w posiadanie téj sumki potrzebować nie będzie. Więcéj o tém nie myślał wcale; tylko widać, opowiadania Kirły, a szczególniéj brzmiący w nich ton bałwochwalczéj dla bogactwa i użycia chwalby, rozdrażniły go nieco. Kirło zresztą gniéwał go zawsze. Podniósłszy więc twarz z nad tale-

rza i wąsy otarłszy serwetą, jakby do wstawania od stołu, obie ręce o stół opiérając, przemówił:

— Wszystko to bardzo piękne, i ja panu Różycowi ubliżać nie chcę. Młody jest i poprawić się może, bo jak słyszałem i sam spostrzegałem, rozsądek i dobre serce ma... Ale, abym przeszłość jego pochwalał, to nie. Taką fortunę stracić na karty i metresy, rzecz niegodna. Tak tylko łajdaki robią...

— Benedykcie! — z cicha jęknęła pani Emilia.

— A tak, — nie zwracając oczu na żonę, energicznie potwierdził pan Benedykt.—Przytém, tak już nic a nic nie robić, jak ci panowie, to także, powiém prawdę, świństwo. Człowiek, który na świecie jedząc chléb nie pracuje, czy tam w nim błękitna krew płynie, czy popielata, czy czerwona, jest darmozjadem i niczém więcéj... Jeżeli zaś jeszcze i na marcepanach pasie się, a nawzajem dla świata, który mu marcepany daje, palcem nawet pokiwać nie chce, no, to już go mam za...

Wtém przypomniał coś sobie, pomiarkował się i trochę miększym głosem dokończył:

— Ale ja tego nie mówię do pana Różyca... nikomu ubliżać nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem... tylko... te wielkie bogactwa, które takie frukta rodzą, te... te... to... tamto...

Chciał widocznie połknąć wyrazy, które wydziérały mu się z gardła, ale nie dokonał tego. Ręką machnął i dokończył:

— Te wielki fortuny, niechby wszyscy dyabli wzięli!...

Krzesło ze stukiem odsunął i wstał od stołu. Obok niego, ciche jak westchnienia rozległy się jęki.

— Benedykcie! ja nie mogę... o, mój Boże... ja nie mogę wyrazów takich słuchać... ja... takich zdań... o takim człowieku... nie mogę... ja...

Pani Emilia usiłowała podnieść się z krzesła, ale nie mogła. W gardle ją dławić zaczęło, nogi chwiały się pod nią.

— A toż co? — ze zdziwieniem zapytał Benedykt,— co się stało?

Ale już Kirło z troskliwością i współczuciem przyskakiwał do pani domu, ramię jéj podając, a z drugiéj podtrzymywała ją Teresa. Tak we troje przeszli całą długość jadalnéj sali, Benedykt zaś jak wryty wzrokiem za nimi prowadził.

— W imię Ojca i Syna... a cóż złego jéj zrobiłem? Znowu zachoruje, czy co?

Ale w téj chwili, giętkie dłonie ujęły obie jego ręce i przylgnęły do nich gorące usta.

— Mój ojcze — zcicha wymówił Witold, — pocałuj mię... proszę!

Coś dziwnie pociesznego i roztkliwionego mignęło w ponurych źrenicach Benedykta; jednak surowo brwi zmarszczył.

— Cóż? może za to, żem w twoję dudkę zagrał o tym panku mówiąc, raczysz mi winy moje przebaczać?

Witold w dłoniach swoich ręce jego trzymając, powtórzył:

— Pocałuj mię, mój ojcze...

Na bladawém, smutnie przed nim pochyloném czole syna, złożył pocałunek szorstki, ale długi. Uśmiéch, nie wesoły jednak, raczéj gorzki, pod długim wąsem mu przebiegł.

— Gorącą masz głowę — zauważył.

Ale téj dwuznacznéj uwagi Witold może nawet nie dosłyszał. Ze słowami, które ojciec jego u końca wieczerzy wymówił, i z pocałunkiem ojcowskim, wróciła mu cała żywość i wesołość. Pochwycił wpół Martę, która do kredensowéj szafy kompot i resztę wina chowała i kilka razy obrócił ją w kółko, potém, przy wtórze śmiéchu, łajania i kaszlania staréj panny, przyskoczył do stojącéj u okna Justyny.

— Wiész, Justynko,—pięścią jednéj ręki o dłoń drugiéj uderzając, mówił prędko i z błyskającemi oczyma: — ten Kirło, to pasorzyt, pieczeniarz, błazen, czciciel złotego cielca, hipotaurus, mastodont, przedpotopowe zwierzę! Gdybym mógł, tobym takich ludzi jedną ręką brał tak... za włosy, a drugą za gardło i trraf! karkibym im skręcał!

Justyna parsknęła śmiéchem.

— Zrób to naprzód z kurczęciem—zawołała,— a wtedy uwierzę, że mógłbyś zrobić z Kirłą!

— Jak ojca kocham! — srożył się jeszcze student.— Bo to, widzisz, zakała świata! Gdyby nie tacy, jak on, świątby już był daleko... daleko... A nam o to przecież idzie... ty nie masz może pojęcia, jak nam o to idzie... o idee... o ludzką godność, wolność... W ogieńbym za to wskoczył, rodzonego ojca mógłbym się wy...

Wstrzymał się, nie domówił, trochę ochłódł. Nagle w twarz kuzynki przenikliwie spojrzał.

— Czy ty, Justynko, za to dziurawe sito pójdziesz?

Zaśmiała się znowu.

— Masz taki sposób pytania, Widziu...

— Wiész dobrze o kim mówię... No, za tego welinowego człowieka, jeżeli oświadczy się o ciebie, pójdziesz?

Wzruszyła ramionami.

— Mój drogi — zwolna odpowiedziała,— czyżbym mogła odrzucać od siebie tak wielkie, niespodziéwane, cudowne szczęście... taki zaszczyt i łaskę? Sam pomyśl, czyżbym mogła?

Zdawało mu się, że w jéj głosie dosłyszał tłumiony śmiéch, ale twarz miała poważną, surową i niezwyczajnie błyszczące oczy.

Ręką rzucił.

— At! — rzekł,— niczego z kobiétami pewnym być nie można! Zdaje się, żeś rozsądna, a może

i pstro masz w głowie, czy ja wiém? Na Buszmanki was wychowują i wszystko na świecie gotowe jesteście zrobić, byleby was ładnie ufarbowano. Ale tymczasem, nim wielką panią zostaniesz, na wesele Elżusi pójdziesz... wiész? Marynia tam także będzie; już ja to u pani Kirłowéj uproszę, byleby tylko pod opieką cioci Marty, którą także podejmuję się namówić...

W téj chwili drobne jakieś ręce ramię jego objęły, i prawie dziecinny głos tuż przy nim, zawołał:

— Widziu, i mnie weźcie na to wesele... już mnie o niém Zofia tyle nagadała... ona krewna pana młodego i zaproszona... tańczyć będą... i ja chcę potańczyć!

— Z największą ochotą! — zawołał Witold, — choć raz zobaczysz w Korczynie coś więcéj nad dom i ogród!

— Nie żartuj, Widziu, — krzywiąc ładne, blade usta, skarżyła się dziéwczynka: — mnie tak nudno... nudno ciągle u mamy w pokoju siedziéć, albo po tych alejach w ogrodzie chodzić...

— Patrzcie! — sarknął młody człowiek, — od ziemi ledwie odrosła, a już nudzi się! Czy nie zaczynasz już i na nerwy chorować, moja ty... przyszła Buszmanko!...

Dziéwczynka skarżyła się daléj:

— A pewno! Głowa mię boli często! Wiész, Widziu, wolę już być na pensyi, bo tam choć roz-

maitości więcéj... Całe moje szczęście, że dla cioci Marty pantofle wyszyłam...

Tu żółta jéj twarzyczka, zdradzająca niedokrwistość, rozjaśniła się uśmiéchem prawdziwie dziecinnéj radości.

— Śliczne pantofle! — zawołała.—Jutro je cioci oddam! Toż dopiéro będzie rada! rada!

Klasnęła w dłonie, podskoczyła, brata w pół objęła, i znowu żałosnym głosem prosić zaczęła:

— Weź mnie, Widziu, na to wesele... potańczyć chce się... Zofia mówi, że tam wesoło będzie... taką ładną suknię już sobie przygotowuje!...

Witold zamyślił się.

— Mamy o pozwolenie poprosić trzeba...

— Poproś! — błagał podlotek.

— Czemuż sama nie chcesz?...

Dziéwczynka ruchem przestrachu ręce splotła.

— Lękam się... nie mogę... jeszcze się zmartwi i zachoruje... Mama zawsze choruje, jak tylko co się jéj nie podoba... Tobie łatwiéj... ty rozumniejszy...

W godzinę potém, Marta z trzaskiem otwiérając drzwi do swego pokoju, wpadła do niego, i zobaczywszy znajdującą się tam Justynę, wołać zaczęła:

— Awantury! Słowo honoru, arabskie awantury! Na wesele iść z nimi! Przymila się, obejmuje, całuje, prosi... Idź, ciotko, z nami do Bo-

hatyrowiczów na wesele... idź, idź! I śmiéch i złość! co ten chłopiec wymyślił sobie? Stare kości po weselach ciągać! Wieczny śmiéch! a co ja na tém weselu robić będę? Na co ja tam potrzebna! Tfu! zgiń maro, przepadnij! A to przyczepski z tego Widzia! Uf! nie mogę!...

Jak uragan, od łóżka do szafy, to znów od szafy biegała, i trudno było zgadnąć, czy rozgniéwaną była, czy rozśmiészoną, bo śmiała się, łajała, rękami machała... Justyna, szyciem zajęta przy świetle lampy, u otwartego okna stojącéj, przyjazny wzrok na starszą towarzyszkę podniosła.

— Bo téż ciocia pójdzie z nami na to wesele,— rzekła z filuterną przekorą.

— Wieczny śmiéch!—krzyknęła stara panna;— poco ja tam mam iść? naco? dlaczego?

— Naprzód dla tego, że ciocia Witoldowi niczegoby odmówić nie potrafiła, a potém dla tego, że są to przecież dawni znajomi cioci...

Jak słup stanęła pośrodku pokoju, czarne jéj oczy zapłonęły zrazu jak żuzle, a potém zmąciły się wielkiém zmieszaniem. Ciszéj daleko niż wprzódy zamruczała:

— Dawni znajomi! to prawda... i dobrzy niegdyś znajomi!... Ale, kiedy to było! I... krótko to było! A teraz... poco? czy poto, ażeby ludzi straszyć? Jak upiór z tamtego świata przed oczami ich stanąć!... Dawni znajomi! Ale... czy

poznaliby mię teraz? Czy jabym ich poznała?... Wieczny smutek...

Nagle, uciszona, przygarbiona trochę, naprzeciw Justyny, po drugiéj stronie stołu usiadła, i w twarz towarzyszki wlépiając spojrzenie rozgorzałe i razem dziwne, jakby wstydliwe, zagadnęła:

— Jakże to było? Zkąd się to wzięło? Czego dziś córka Fabiana tu przylatywała i gdzie biegałyście razem, jak podsmalone? Czy i Witold tam był? Wieczne dziwy! Czy myślicie przerobić się na chłopów?

Było to tak: Tego dnia, dużo jeszcze przed zachodem słońca, gdy Justyna po parogodzinném wtórowaniu na fortepianie ojcu, przyszła do tego pokoju i w nadchodzący wieczór, jak w pustą jamę patrzyła, czém go zapełnić nie wiedząc, w otwiérających się drzwiach, zasapana trochę od szybkiego biegu, w swojéj odświętnéj, *bordowéj* sukni, stanęła Elżusia. Stanęła, krępą figurkę wyprostowała, zadarty nosek podniosła i zagadała:

— Czy tu przyjmują, czy nie przyjmują? Jeżeli przyjmują, to dobry wieczór; a jeżeli nie przyjmują, to bywajcie zdrowi! Bardzo słusznie. Przyszłam panienkę na świéży miód zaprosić...

Siadając na krześle, podaném jéj przez Justynę, trzepała daléj:

— Ten gamuła Julek, sprzeczał się ze mną, że nie będę miała śmiałości iść do dworu, i z radą wystąpił, żebym koło oficyny szła i w kuchni spytała się, czy do panienki można?... Ale ja nie taka! Czy to ja pies, żeby koło kuchni chodzić? Bardzo słusznie. Poszłam sobie prostą drogą, przez ganek, do sieni, aż tu nie wiém gdzie iść... na prawo, czy na lewo?

Na szczęście, do sieni weszła panna Marta, taka sroga, ale ona nie zlękła się jéj wcale, bo i czegoż lękaćby się miała? Nie przyszła przecież kraść i nie jest psem, aby ją można było wypędzać! Bardzo słusznie. A gdyby i samego pana Korczyńskiego spotkała, nie zlękłaby się również, choć on jest arystokrat. Ale on sobie, a ona sobie. U ojca rodzonego mieszka, cudzego chleba nie jé i nikt na nię żadnego postrachu, ani pośmiéwiska wywiérać nie ma prawa. Jednego tylko Boga lęka się, po Bogu ojca, a więcéj to już chyba takiego człowieka na świecie niéma, któregoby ona lękać się mogła.

Ciekawie rozejrzała się po ścianach i sprzętach pokoju.

— Nic osobliwego — zauważyła, — w naszéj świetlicy może jeszcze i piękniéj. Na dole, to prawda, że pokoje piękne, ale nie nadmiar, chyba ot, że podłogi błyszczą jak szkło, i to jest bardzo ładnie. Ale dziw wielki, że u króla żonka piękna! Bardzo słusznie.

Prawdę powiedziawszy i pod sekretem, ojciec kazał jéj iść do dworu i spróbować, czy téż panna Justyna do chaty ich przyjść zechce. — „Idź i niby to na miód zaproś!“ Bardzo słusznie. Kto spólnie z nami pracował, niech z nami i zabawi się; kto naszéj gorzkości spróbował, niech i słodkości pokosztuje. Ale ona wié dobrze, o co jéj ojcu idzie. Zachichotała.

— Ociec ambicyant taki, że już i przenieść nie może, aby w sąsiedztwie państwo bywali, a u niego nie. Powiedziéć, za nic tego przed nikim nie powié, ale już ja wiém, że jemu to smętliwie... A teraz i z tym procesem, co go z panem Korczyńskim zaprowadził, wielką alteracyą ma. Słyszę, w miasteczku mu powiedzieli, że adwokat apelacyą, czy co tam takiego nie w czas podał i że wszystko przepadnie... Może ociec myśli, że przyjdzie z panem Korczyńskim pojednać się i orędowników u niego chce miéć. Bardzo słusznie.

Ale i na tém wszystkiém nie koniec. Elżusia zachichotała znowu, zarumieniła się, oczy na chwilę spuściła i wnet potém śmiało wypowiedziała:

— Najwięcéj, że ociec żąda oświadczyć, że wielkiém dla nas wszystkich szczęściem to będzie, jeżeli panna Justyna i pan Witold na mojém weselu będą.

Gdy już obie w drodze były, pomiędzy dworem i okolicą Justynie powiedziała, że narzeczony ze swatem dziś do nich przyjechali. Swatem jest pan Starzyński, Janka ojczym. Justyna tedy narzeczonego jéj pozna.

— Młodzieńki i mileńki bardzo, a taki pokorny, że zdaje się, baranek...

Sposób, w jaki to mówiła, okazywał wyraźnie, że była narzeczonym zachwyconą. Jednak i o praktycznéj stronie małżeństwa nie zapominała. Podobało się jéj bardzo, że Franuś Jaśmont miał dobre konie i krów aż sześć, i spory kawał łąki. Gdyby to jeszcze ojciec mógł jéj gotówką cały posag wypłacić! Ale gdzie tam! Połowę tylko wypłaci, a na połowę *weksele* wyda. Na ten proces z panem Korczyńskim wielkie koszta położył, i teraz dla rodzonego dziecka kurczyć się musi. Żeby te procesa licho wzięło!

Kiedy wchodziły do zagrody Fabiana, słońce rozścielało po jéj trawach złoty kobierzec, a mnóztwem tajemniczych i ruchliwych świateł napełniało gaj śliwowy, w którym stérczało kilkanaście starych ulów, brzęczały pszczoły i na zabój śpiéwały szczygły. Za śliwowym gajem, łankiem dojrzałego owsa i zagonami warzywa, u których kresu iskrzyły się krzaczaste floksy i czerwone georginie, dom ku ogrodowi bokiem a ku małemu podwórku gankiem zwrócony, stał pod srébrnemi topolami, które na jego strzechę i je-

dyny komin lać się zdawały nieustanny dészcz srébrnych kropel. Wszystko tu było tak prawie jak u Anzelma i Jana, jednak daleko ciaśniéj i biédniéj. Ule były staréj konstrukcyi i niepomalowane, stodoła mniejsza i lasem chwastów dokoła obrosła, ściany domu od starości trochę wykrzywione, strzecha miejscami od porastającego ją mchu zielona, miejscami żółtą słomą połatana. Z drzew owocowych, oprócz śliwowego gaju, tu i owdzie pośród zagrody stało tylko kilka prawie zdziczałych grusz i jabłoni.

Ale z ławy, stojącéj pod wykrzywionemi ścianami domu, z pod dwu otwartych okien o małych i mętnych szybach, na widok wchodzącego do zagrody gościa, bardzo poważnie podniosła się para ludzi i bardzo ceremonialnym krokiem naprzód dążyła. Mężczyzna, do rydza ze stérczącemi wąsami i błyszczącemi oczyma podobny, jedną rękę opiérał na kłębie, drugą, w któréj trzymał wytartą czapkę, spuszczał u boku. Kobiéta, cienka, mizerna, w krótkiéj spódnicy, przedwiecznéj, rozwiéwającéj się mantyli i *kornecie* czyli białym czépcu, z obfitém i sztywném wygarnirowaniem, szła cała w takich uśmiéchach i krygach, jak gdyby zaraz do dygającego menueta stanąć miała. Na ścieżce, pomiędzy owsem i zagonami buraków wydeptanéj, Fabian głośny pocałunek złożył na ręce Justyny, a wnet potém, obie już ręce na kłębach opiérając, zaczął:

— Bardzo jestem kontenty i najuniżeniéj dziękuję, że otrzymać mogłem tę promocyą, któréj tak często sąsiedzi moje doświadczają. Bo choć oni troszkę i bogatsi odemnie, ale ja również sam sobie pan jestem, i znacznym nie będąc, mogę być zacnym. Proszę pani dobrodziejki naprzód postąpić... z ukontentowaniem proszę!

Fabianowa zaś, usta sznurując, dygała i w wyciągającą się ku niéj dłoń Justyny wsunęła rękę kościstą, do pomarańczowéj prawie barwy ogorzałą, od spracowania twardą. Trochę była zakłopotana i bardzo zajęta tém, aby okazać się nie tylko przystojną, ale i dworną, nad to, co ją otaczało, nieco wyższą. Za mężem powtarzała:

— Proszę... z ukontentowaniem proszę!

I po zagonach buraków idąc, stopą w gruby trzewik obutą, zrzucała suche gałązki ze ścieżki, którą szła Justyna.

— Śmiecie u nas,— tłumaczyła się,— zwyczajnie jak na małém gospodarstwie... pani do tego nie przywykła i ja niegdyś insze życie i uzwyczajenia miałam. Giecołdówna z domu jestem, ociec mój na takiéj zagrodzie nie siedział, ale po dzierżawach chodził... późniéj już, kiedy Pan Bóg nie pobłogosławił, pożary i mory na bydło nawiédziły, na ekonomię zszedł...

Westchnęła i chudy policzek na dłoni oparła.

— Jeszcze i teraz, rodzonego mego brata syn, Józef Giecołd, dzierżawę trzyma... może pani

słyszała?... od Korczyna niedaleko... A drugi Giecołd w biurze...

Ale przerwał jéj mąż:

— A u imości wiecznie tylko Giecołdy w pamięci zasadzone! Wczas jużby było znacznemu gościowi zarekomendować przyszłego naszego zięcia. Franuś! panie Franciszku! proszę tu do nas!

Pod ścianą domu, z ławy powstali znowu dwaj ludzie, z których jeden, co najmniéj dziwnie wyglądał. Dość wysoki, od karku do stóp jednostajną grubość mający, w zielonym jak trawa surducie, a z czérwoną, dobroduszną, śmiéjącą się twarzą, podobny był do równo okrzesanego krzaku, z zasadzoną u wiérzchu piwonią. Drugim był młodziutki dwudziestoparoletni chłopak, nizki, szczupły, w czarnym surducie, z twarzą nieładną, ogorzałą, trochę głupowatą i bardzo łagodną.

— Pan Starzyński, ze Starzyn, mąż dawniejszéj pani Jerzowéj... A to Alżusi kawaler, Franciszek Jaśmont...— zarekomendował Fabian.

Elżusia, która dotąd w cichości szła za towarzystwem, zza ojca wyskoczyła i zagadała:

— Jezu! a toż to pan Starzyński! Bardzo słusznie! A ja myślałam, że to taki wielki krzak piwonii pod naszemi oknami zakwitnął!

Starzyński, powiódł wzrokiem po swoim surducie i zaśmiał się najgłębszym basem, a tak serdecznie, że aż mu tłuste policzki trzęsły się i łzy do małych oczu nabiegły.

— A to mnie tak moja imość wystrychnęła,— śmiać się nie przestając mówił; — utkała sukno i kazała je na zielono pofarbować... Ja do niéj: „Czy ty, babo, rozum na drodze straciła?“ A ona: „Niech jegomość mnie podziękuje, bo zielony kolor najmilszy, nadzieję oznacza...“ Co robić? Kiedy choć stara a romansowa! Wszystko równo! co człowiek wdzieje na siebie, to wdzieje... byle było co do gęby włożyć!

Elżusia, do ucha Justynie szepnęła:

— Zdaje się, że dobry, a taki skąpiec, że niech Pan Bóg broni... od gęby sobie i dzieciom odejmuje, a pełną szufladę w komodzie ma asygnatek...

Jednak tusza i barwa twarzy Starzyńskiego nie zdawała się świadczyć, aby miał sobie bardzo od gęby odejmować.

Przed ławą pod ścianą domu stojącą, na niedużym zydlu, stała spora misa z pięknym, złotawym, tylko co z plastrów wyciekłym miodem, a przy niéj leżał wielki bochen razowego chleba i széroki nóż w kościanéj oprawie.

Piérwszą po przyjściu do domu czynnością Elżusi było zdjąć trzewiki. Boso teraz po trawie biegała, wydając narzeczonemu rozkazy.

— Panie Franciszku! proszę przynieść krzesło dla panny Justyny!

Chłopak w mig ku chacie się rzucił. Fabian kroił chléb, którego spód, tak jak u Anzelma,

okrywały wyraźne rysunki klonowych czy lipowych liści.

Przez parę minut panowało trochę kłopotliwe milczenie, przerywane tylko wykrzyknikami Elżusi, która narzeczonego posyłała to po osobną miseczkę dla Justyny, to po łyżkę, to mu rozkazywała przepędzać psa, na widok chleba zbliżającego się do zydla, musztrując go przytém i niby wyśmiéwając że powoli chodzi, to że niezgrabnie przyniesione przedmioty umieszcza, a wszystko to głośno, rezolutnie, białemi zębami w uśmiéchach błyskając, a imponująco zadarty nosek podnosząc. On zaś, milczący, pokorny, ze zmieszania niezgrabny, spełniał wszystkie jéj rozkazy i komenderówki, a ilekroć na nię spojrzał, z podziwu czy zakochania usta otwiérał i na podobieństwo słupa nieruchomiał. Miodu jeszcze ani skosztował, tak go Elżusia ustawicznie pędzała i musztrowała. Za to, wszyscy inni, po kolei nóż w kościanéj oprawie brali, miód nim na chléb kładli, i kęs jego odgryzłszy, porcye na zydlu składali, powoli ze skrzyżowanemi na piersi lub opuszczonemi na kolana rękami przeżuwając.

Fabianowa przewlekłym głosem opowiadała o pasiece, którą miał ojciec jéj Giecołd, kiedy jeszcze po dzierżawach chodził.

— Dzień po nocy, a noc po dniu następuje — śpiéwała, — tak i ja... z dostatków takich na to małe gospodarstwo przyszłam; jak robotna pszczo-

ła, całe życie przepracowałam, i ot... czego dobiłam się!...

— Mruczydło z imości — sierdzisto przerwał Fabian;—ze wszelakiéj rzeczy materyą do lamentów wyprowadzisz. Wiadomo, im gorsze koła, tém więcéj skrzypią!

Starzyński śmiał się znowu tak, aż mu łzy do oczu nabiegały, Fabian zaś nagle wzrok utkwił w ścieżce od bramy ogrodzenia przez ogród wiodącéj, prostować się zaczął, z ławy wstał i rękę na kłębie oparł.

Od wielkiego zadowolenia, jakie uczuł, rumiane policzki mu zadrgały i poruszyła się kępka twardych wąsów.

— Wesoły nam dziś dzień nastał!—gromko zawołał.—Drugiego już znacznego gościa Bóg nam prowadzi!...

Drugim tym gościem był Witold, który od kilku minut, niepostrzeżony przez nikogo, za nizkiém ogrodzeniem stał, przypatrując się zdaleka gronu osób siedzących pod ścianą domu, aż nieprzezwyciężoną widocznie ochotą zdjęty, ku niemu dążyć zaczął. Czarny Mars biegł za nim. Podając rękę gospodarzowi zagrody, młody Korczyński przepraszał, że psa za sobą wiedzie. Ale Fabian z uprzejmością niezmierną i szérokiemi zarówno jak nizkiemi ukłonami wykrzykiwał:

— Nic to! Nic to! Z ukontentowaniem witamy... z ukontentowaniem, spólnie z pieskiem, wi-

tamy... A co to szkodzi! Kto pana kocha, ten i jego psa głaszcze. Pies dobry lepszy, niżeli zły człowiek!

Łagodnego wyżła gładził po grzbiecie, a Fabianowa z ławy powstawszy, w rozwiéwającéj się mantyli, najpiękniejsze ze swoich krygów przed nowym gościem wykonywała. Ale nic jéj więcéj uszczęśliwić nie mogło nad to, gdy Witold o zdrowie jéj zapytał. Upatrywała w tém, naprzód okazane jéj uszanowanie, a potém była to na młyn jéj wyborna woda. Uśmiéchając się więc od radości, żałośliwym jednak tonem mówić zaczęła:

— Skrzypię... ciągle skrzypię, ale to nic: skrzypiącego drzewa dłużéj! My z panem dobrodziejem nie od dzisiaj znajomi... takim malutkim jeszcze przybiégał do nas, a i potém, z klas do mamy i papy przyjeżdżając, czasem nawiédzał... Pan dobrodziéj wié od czego moje zdrowie na suche lasy poszło... Harowałam, wodę na górę ciągałam... ta krwawa woda najwięcéj mnie zgubiła... przytém, nie do tego urodziłam się... uzwyczajenia z początku nie miałam... bo pan dobrodziéj przypomina pewno sobie, że Giecołdówna jestem, tego Giecołda, co po dzierżawach chodził... Brata mego syn jeszcze i teraz dzierżawę trzyma, a drugi w biurze...

— Toż baba terkota! — mruknął Fabian, i mowę żonie przebijając, począł gościa o żniwa korczyńskie rozpytywać.

Starzyński, który także młodego Korczyńskiego znał od dzieciństwa, wmieszał się do rozmowy, prawiąc o gospodarstwie, urodzajach i różnych glebach téj okolicy, i często rozmowę basowym, dobrodusznym, nieskończonym, zda się, śmiéchem przerywając.

Elżusia tymczasem, nieco zdaleka, u węgła domu, narzeczonemu do ust po odrobinie miodu łyżką wkładała, a on, za każdym razem, czerwoną jéj rękę z głośném cmokaniem ust całował.

— Niech pan Franciszek tego cmokania zaprzestanie, a poludzku ze mną pogada, — zakomenderowała.

Jak machina posłuszny, całowania zaprzestał, a w zamian szeptać z sobą poczęli, lub raczéj, ona szeptała, on zaś z pokornym wzrokiem wszystkiemu, co mówiła, potakiwał.

Wtém, u ogrodzenia z desek rozdzielającego zagrody Anzelma i Fabiana, coś zaszeleściło. Była to Antolka, która ze szczytu ogrodzenia zsunęła się na ziemię, wywdzięczając się tym sposobem sąsiadce, tą samą drogą nieraz do niéj w odwiédziny przybywającéj, tylko że gdy tamta spadała jak pulchna kluska, ta, wysmukła i lekka, zlatywała jak piórko. Była w codziennym stroju, bo i dzień był powszedni, a tylko u Fabia-

nowstwa, z powodu odwiédzin narzeczonego, stał się świątecznym.

Spostrzegłszy Justynę, obie ręce podniosła do głowy:

— Oj, Bożeż mój, Boże!—zawołała,—toż Jankowi zgryzota będzie, że dziś go w domu niéma! Po siano na łąkę pojechał... aż o dwie mile...

Naiwny ten wykrzyk dziéwczęcia, purpurą okrył twarz Justyny, któréj właśnie Fabianowa opowiadała o najlepszych sposobach moczenia i suszenia lnu, i o lnie mówiąc, zupełnie o Giecołdach zapomniała. Witold nachylił się do ucha kuzynki.

— Czegoś się tak zarumieniła? — szepnął z filuterną przekorą.

Antolka, widokiem wielu naraz osób onieśmielona, zbliżała się powoli. O, ta nie potrafiłaby pewno rozkazywać narzeczonemu i do musztry go układać! Lękliwa była, łagodna i dziwnie delikatna w kształtach i ruchach. Ale téż i ten młody mężczyzna, którego dymkowy surdut najpiękniejszą kanarkową barwą w téj chwili błysnął w bramie zagrody, pewno nikomu nad sobą przewodzićby nie pozwolił. On także jeździł po siano na łąkę, którą o dwie mile ztąd wspólnie z kilku sąsiadami dzierżawił, ale przed godziną już powróciwszy, kanarkowy surdut przywdział, i tam, gdzie go serce ciągnęło, pośpieszył. Może z drogi zobaczył ukochaną, przez płot do sąsia-

dów wskakującą. Z podniesionym do góry wąsem i śpiczastą bródką, w wysokich butach i zgrabnéj czapeczce, szedł śmiało i szérokiemi krokami, a gdy już doszedł do śliwowego gaju, za drzewo się ukrył i po całéj zagrodzie rozległ się głośny, do złudzenia wiernie z natury naśladowany, śpiéw słowika.

— Jezu! — krzyknęła Antolka.

Po raz to piérwszy pewno na świecie, słowicze trele młodą dziéwczynę tak przestraszyły. Nie spostrzegła nadchodzącego Michała i zlękła się teraz bardzo, bo wyglądało to tak, jakby zmówili się tu przyjść jednocześnie...

— Ciach, ciach, ciach... la... la... la... la... — w śliwowym gaju wyśpiéwywał słowik.

Starzyński, brał się za boki od śmiéchu. Fabianowa chichotała, Elżusia śmiała się na całe gardło, a narzeczony wiernie jéj wtórował. Nakoniec, elegant wynurzył się z gaju, a zmieszana Antolka, rezonem nadrabiając, zawołała:

— Pan Michał niewiadomo co dokazuje, a lepiéj powiedziałby, czy Janek prędko przyjedzie?

Odpowiedział, że Janek dziś na łące nocować będzie, bo wszystkiego siana jeszcze nie zebrał.

Witold znowu figlarnie na ucho kuzynce szepnął:

— Czegoś tak posmutniała, Justynko?

Wesoło przed chwilą rozmawiała z dziéwczętami, ale odpowiedź Michała mowę jéj przecięła.

Spłonęła znowu, i parę minut na sapiéżankę, z drugiéj strony ogrodzenia széroko gałęzie rozkładającą, z zamyśleniem popatrzyła. Fabian sąsiada o Adasia zapytywał, który także z odległéj, wydzierżawionéj łąki siano zbiérał, a według wieści Michała, tak jak i Jan wrócić miał ledwie nazajutrz. On, Michał, najprędzéj swoje skosił. Zmachał się tak, że mu i teraz jeszcze w krzyżu trzeszczy. Ale, cóż robić? Komu pilno, temu pilno! Przy ostatnich słowach na Antolkę spojrzał i z fantazyą poprawił u szyi błękitną chustkę, w którą, pomimo trzeszczenia krzyża, ustroić się nie zapomniał.

Dokoła zydla z misą, która zamiast miodu, napełniła się teraz muchami, siedzący i stojący toczyli rozmowę gwarną, z któréj najgłośniéj wybijały się narzekania na brak łąk i pastwisk. Mała to rzecz, o dwie mile po siano, i to, gdybyż na swoję, ale na wynajętą łąkę jeździć! Już i koniczynę sieją i pola z zielsk wszelkich ogałacają, a zawsze srogi niedostatek cierpią. Zresztą, nie ta jedna biéda ich gniecie. Fabiana twarz zmarkotniała i okryła się mnóztwem zmarszczek. Powoli tracił butę, i ze zgryźliwością, markotnie wynurzać się zaczynał:

— Języka w czarce nie moczyłem i much po drogach nie ścigałem, a co z tego! Tyle tylko, żem duszę w ciele utrzymać zdołał, a chaty nawet nowéj zbudować nie mam za co...

Ręką ku zagrodzie Anzelma rzucił.

— Tym dobrze! Więcéj niż dwadzieścia morgów gruntu mają i we troje żyją... a u mnie i dwudziestu morgów nie ma, a dzieci pięcioro. Co ja z synami zrobię, jak wszyscy wyrosną, a żenić się zechcą? Dawniéj w obowiązki szli i podczas dorabiali się czego, teraz i to trudno. Dzierżawkę, żeby i miał który za co wziąć, także trudno, bo na wielkie nie wystarczy, a małych naokolutko tak jak prawie niéma... Jedném słowem, ani tędy, ani sięgy... Ani ty człowiecze na prawo nie pójdziesz, ani na lewo... nijakiéj drogi i nijakiego przyrobku niéma. Choć zgiń, człowiecze, choć na śmierć zapracuj się, a poprawy losu swojego nie otrzymasz.

— I ziemi przykupić, — odezwał się Starzyński, — żeby kto nawet siły do kupy wziąwszy na piéniądze i wzmógł się, dla inszéj przyczyny nie można...

— A nie można, — potwierdził Fabian, — ni w czém rozszérzenia i ni w czém postępowania dla nas niéma, zewsząd otoczyła nas rola bogaczów, a my ledwie ścieżeczką wązką przecisnąć się możemy...

W elegijny ton popadł i na wzór żony, która już oddawna z twarzą na rękę opuszczoną kołysała się to w tył, to naprzód, policzek na dłoń opuścił. Gorzki uśmiéch przebiegł mu pod szorstkiemi wąsami.

— O jednego syna to już i nie mam po co głowy suszyć... W sołdaty za trzy miesiące pójdzie, a choć za pięć lat i powróci, to ja tymczasem bez niego chyba potem do mogiły ściekne. Najstarszy, pracowity, posłuszny, choć do mnie przyrodziwszy się, gniéwliwy. Drugiego mnie Pan Bóg bałwana dał, co tylko po Niemnie orać i kosić umié, a tamte dwa to jeszcze niodostałe trawy... ledwie do pasienia koni lub bronowania zdatne...

Tak wyskarżywszy się, uczuł wracającą mu dumę i zuchowatość. Głowę podniósł, chwilowego rozczulenia się zawstydził.

— At! — wykrzyknął,— szczęśliwe powodzenie robi szkodliwe ubezpieczenie. Może Pan Bóg dla tego nas grzésznych ludzi doświadcza i w gardło nieprzyjacielskie oddaje, abyśmy się na tym świecie nie fundowali, ale ojczyzny wiecznéj szukali...

— Cierpliwość w niebo wwodzi,— wtrącił Starzyński.

— Bóg mnie ubij na ciele i na duszy, jeżeli nie to samo zawsze myślę! — wykrzyknął Fabian; — tylko jak podczas nieścierpliwe bole zdejmą, to człowiekowi trzy po trzy naplecie się w gębie...

— Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył, i koniec i kwita! — wąsa w górę podnosząc, zakończył Michał, który bardzo poważny brał udział w rozmowie toczącéj się dokoła zydla, a do Antolki, wobec tylu osób, nie zbliżył się ani razu,

to zapewne na względzie mając, aby dziéwczyna na ludzkie języki nie padła.

Starzyński z basowym śmiéchem zauważył, że Fabian Panu Bogu za starszych synów dziękować powinien. Z młodszych, to nie wiadomo jeszcze co będzie, ale starsi obadwaj poczciwi i dobrze prowadzący się kawalerowie. Choć on w téj „okolicy“ nie mieszka, ale wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Widoczném było, że Fabian pochwałami synom jego oddawanemi czuł się uradowanym, ale obojętność i nawet niezadowolenie udawał. Głową lekceważąco potrząsł, ręką machnął.

— At! osobliwa pociecha! Jeden kiep, drugi dureń, a obadwa błazny!

Wkrótce potém odchodzących gości, z szérokiemi ukłonami i długiemi przemówieniami na wesele córki zapraszał. Kiedy kłaniał się powielekroć i nizko, a wnet potém prostował się i dłonie na kłębach opiérał, mówił o swojéj ubogiéj chacie i wnet dodawał, że mu o jéj ubóztwo bynajmniéj! bo sam sobie jest panem, i znacznym nie będąc, może być zacnym, kiedy z przymileniem i prawie uniżonością patrzył w twarz młodego Korczyńskiego, a przy wzmiance o procesie z jego ojcem, którą nieuważnie uczynił Michał, wąs najeżył i czoło groźnie zmarszczył, widać w nim było naturę pełną cech z sobą sprzecznych, którémi były: głębokie dla wyższego w świe-

cie stanowiska poważanie i butna z własnéj niezależności duma, popędliwa gniewliwość i przebiegła filuterya, skołatanie troskami i trudami ubogiego życia, a w facecyach, przysłowiach, powieściach wytryskująca jowialność.

— Łazarz mizerny — prawił — o bogaczowych pokojach wyśpiéwywał: „Stołów, stołków obficie, i na ścianach obicie!“ W mojéj chacie także pięknych pokojów niéma, ani „złotnych“ materyj na ścianach, ale mnie o to bynajmniéj! I przed takimi znacznymi gośćmi, nie powstydzę się swego ubóztwa, jeżeli przyjdą dziéwczynie mojéj, w dzień jéj ślubu, szczęścia życzyć, a za wielką promocyą i osobliwą łaskę będę to sobie miał. Bo to każdy ptak podług swego nosa śpiéwa, a w małym garnku barszcz tak samo w górę kipi, jak i w wielkim...

Fabianowa zaś menueta tańczyła na trawach ogrodu, krygując się i dygając, przyczém o Giecołdach nie zapominała.

— Józika Giecołda żonka, swanią na Elżusiném weselu będzie, pan Starzyński swatem, a panna Justyna piérwszą drużką, do pary z panem Kaźmirzem Jaśmontem, którego Franuś na piérwszego drużbanta zaprosił...

W chude ręce klasnęła i z ukontentowania jakieś niby menuetowe entrechat wykonała.

— Widać już Pan Bóg mojéj Alżusi takie szczęście dał, że taką chwalebną asystę będzie miała!...

A Elżusia floksy dla Justyny zrywając, narzeczonemu rozkazywała, aby najpiękniejszą georginią zerwał.

— Nie ta! — wołała, — tamta, wielka taka, czerwona... czy pan Franciszek ślepy, kiedy nie widzi, na co ja palcem pokazuję? Ej! pan Franciszek widać do zrywania kwiatów zdatny, jak wół do karety!

— Ale za to może w kochaniu zgrabniejszym się okaże! — jak grzmot potoczył się śmiéch Starzyńskiego.

Kiedy Justyna i Witold, pod blednącém wieczorném niebem, przy wielkim krzyku koników polnych, przerzynanym ostremi głosami chruścieli i melodyjném wołaniem przepiórek, do domu wracali, młodzieniec ze zwykłą sobie zapalnością zajęty losami, charakterami i obyczajami ludzi, których przed chwilą opuścił, po raz piérwszy mówił do młodéj krewnéj o myślach i celach, którym własną przyszłość poświęcić przyrzekał.

Przed kilku miesiącami Justyna nie zrozumiałaby go może, albo obojętnie słuchała o tych rzeczach, jako o zbyt dla niéj odległych i niedostępnych, aby po nie sercem czy współudziałem sięgnąć mogła. Teraz, idee z szérokiego świata, z dobrych serc i umysłowych trudów ludzkich,

z powszechnego oddéchu ludzkości ku niéj przylatujące, o pierś jéj biły rozpalonemi skrzydły, a świetlistemi pasami przerzynały umysł. Wydało się jéj, że to, co w drodze pomiędzy zagrodą Fabiana a korczyńskim dworem mówił jéj Witold, niewidzialną nicią łączy się z godziną, którą spędziła na Mogile. Oderwane dotąd jéj spostrzeżenia i wrażenia wiązać się zaczynały w całokształt myśli i uczuć, nad któremi zastanawiała się długo, gdy opowiedziawszy już Marcie wszystko, o czém ta wiedziéć chciała, i lampę zagasiwszy, samotna i cicha stała w otwartém oknie, patrząc na wieczór gwiaździsty, a uchem ciekawém, może tęskném, łowiąc ostatnie szmery otaczającego Korczyn życia natury i ludzi.

Nazajutrz, przed południem, przez wpół uchylone drzwi pokoju Marty i Justyny, zajrzała utrefiona główka Leoni.

— Czy ciocia tu jest? — zadźwięczał głosik śmiéchem nabrzmiały.

— Jestem, kotko, jestem!—odpowiedział z pokoju głos gruby, lecz także uradowany. — A co chcesz, robaczku? Może kotlecika, albo piérożków z „czernicami?“ Gotowe już... doskonałe!...

Dziéwczynka weszła w draperyach i falbankach sukni, wyprostowana, uroczysta, z tysiącami uśmiészków na twarzyczce ładnéj, roztropnéj, niedokrwistéj. W rękach niosła dwa kawałki kanwy, włóczkowemi różami i floresami okryte.

— Pantofle własnéj roboty, kochanéj cioci ofiaruję, i proszę je przyjąć tak... tak... jak ja...

Miała widać coś bardzo długiego i pięknego wypowiedziéć, ale widząc twarz Marty tak drgającą, jakby ją w mnóztwo miejsc naraz komary kąsały, nie dokończyła, tylko z podskokiem na szyję staréj panny szczupłe ramiona zarzuciła, i małą, ciemną, pomarszczoną, drgającą twarz pocałunkami okrywała.

Rzecz była drobna, a jednak Marta śmiała się i razem płakała, dziéwczynkę nad ziemię unosząc, do piersi ją przyciskając i w nieskończoność szepcąc, wykrzykując i wykaszlując:

— Kotko, ty moja... robaczku... słowiczku... rybko!

Przyglądała się potém pantoflom, wychwalała je, do wielkiéj swéj nogi przymierzała, z uszczęśliwieniem, które dziwne w niéj sprowadzało zmiany, czyniąc ją jakby młodszą, lżejszą, cichszą. Nakoniec Leoni znowu piérożki z „czernicami“ (czarnemi jagodami) ofiarowywała. Ale dziéwczynka z lekkością metalowéj turkawki na jednéj nodze okręcała się dokoła pokoju, przyczém klaskała w dłonie, wołała i wyśpiéwywała.

— Mama już wstała i kakao pije... Widzio poszedł już prosić, aby mnie pozwoliła na wesele pójść z nim, z ciocią i Justynką... poszedł... poszedł... poszedł prosić!

Wtém ze stukiem otworzyły się drzwi, i ukazała się w nich młoda, wystrojona panna służąca, wołając:

— Pani zachorowała i panny Marty do siebie prosi!

Marta piorunem ze schodów zbiegła; za nią, przelękła, zasmucona, znów sztywna, schodziła na dół Leonia. Przez sień, szérokiemi kroki przechodził Benedykt, wąsa rozpaczliwie w dół ciągnął i spotykanych osób śpiesznie zapytywał:

— Co się stało? Znowu zachorowała? Czy po doktora posyłać trzeba?

W progu salonu rozminął się z synem, który pośrodku sieni Leonię za rękę pochwycił.

— Buszmankę z ciebie zrobią, jak ojca kocham, Buszmankę! — ze wzburzeniem zawołał i w głąb domu pobiegł.

W sypialni p. Emilii działy się straszne rzeczy, których przyczyną najważniejszą, ale nie jedyną, była dzisiejsza rozmowa matki z synem. Już wczoraj, po wystąpieniu przy wieczerzy Benedykta, położyła się do łóżka z biciem serca i duszeniem w gardle. W nocy, nagabywały ją zlekka żołądkowe kurcze, które uspakajała lekarstwami i słuchaniem, prawie do wschodu słońca, głośnego czytania Teresy. Kiedy wszyscy w domu i dokoła domu pogrążali się już w ruch i zachody pracowitego dnia letniego, ona usnęła. Na krótki czas przed południem, zdrowsza nieco, chociaż od

smutnych na rozpoczynający się dzień przewidywań nie zupełnie wolna, w śnieżnych puchach peniuaru, ułożyła się na ponsowym szezlągu, po jednéj stronie mając filiżankę wzmacniającego kakao, po drugiéj książkę, którą wczoraj czytać rozpoczęła i niedawno téż rozpoczętą włóczkową robotę. Tuż przy niéj, z ręką na chustce zawieszoną, Teresa piła kawę, bo kakao jéj nie służyło, i z opowiadaniem o śnie dzisiejszym, łączyła przewidywanie bolu zębów, przeciw któremu już użyła lekarstwa jednego, a drugie właśnie przygotowywała, gdy przez wpółotwarte drzwi buduaru zajrzał Witold i o pozwolenie wejścia zapytał.

Pani Emilia nie tylko synowi wejść pozwoliła, ale gdy w rękę ją całował, kilka razy w czoło go pocałowała, i łagodnym ruchem pociągnąwszy ku poblizkiemu krzesłu, o złéj dzisiejszéj nocy i w ogóle o swojém sfatygowaniu i zdenerwowaniu powoli, z uśmiéchem cierpliwym i smutnym, opowiadać mu zaczęła. Trwało to dobry kwadrans, po którym Witold prośbę, z którą tu przyszedł, wypowiedział. Pani Emilia najzupełniéj zrazu niezrozumiała o co synowi chodziło, i była pewna, że słowa jego źle usłyszała.

— Gdzie? czyje wesele? Dokąd Leonia ma jechać? — zcicha i łagodnie zapytywała.— Przepraszam cię, Widziu, ale tak jestem osłabiona... z osłabienia mam szum w uszach...

Kiedy nakoniec dokładnie słowa syna wyrozumiała, osłupiała z razu od zdziwienia, a potém, żądaniu jego oparła się stanowczo. Stanowczość ta była cicha, łagodna, ale niezłomna. Rzecz cała zresztą wydawała się jéj tak niesłychaną, że nie uważała nawet za potrzebne przyczyn oporu swego wypowiadać.

— Ja — mówiła cicho i łagodnie — na takie dziwactwa zgodzić się nie mogę... Bardzo mi smutno, Widziu, że odmówić ci muszę, ale matką jestem i prowadzenie Leoni jest moim świętym obowiązkiem... Kiedy złożycie mię do mogiły, będziecie z nią postępowali jak się wam będzie podobało; ale dopóki ja żyję, moja córka nie może bywać w niewłaściwych dla siebie towarzystwach, psuć sobie układu i patrzéć na rzeczy, których nigdy widziéć nie powinna...

— Owszem, moja mamo, powinna ona wszystko widziéć i słyszéć, aby znać ten świat, którego przecie mieszkanką i obywatelką będzie, — przerwał Witold, jak tylko mógł najcierpliwiéj; poczém, parę minut jeszcze, jak tylko mógł najcichszym głosem, przekonywał matkę o konieczności dania Leoni więcéj fizycznego ruchu, a umysłowéj wiedzy o naturze i ludziach, pośród których upływać miało przyszłe jéj życie.

Pomimo jednak powściągliwości, z jaką mówił, kilka jego wyrażeń boleśnie panią Emilię dotknęło. Wzięła je za przymówkę do jéj własnéj cho-

rowitości i bezużyteczności. Zamiast więc współczucia, znajdowała u syna krytykę i przyganę! Jednak tego syna kochała. W dzieciństwie pieściła go więcéj niż córkę, hałasować mu tylko w blizkości siebie nie pozwalała; a gdy dorósł, z lubością nieraz przypatrywała się jego wysmukłym kształtom i delikatnym rysom, które jéj w rozrzewniający sposób przypominały takiego Benedykta, jakim był w młodości i jakim niestety! tak prędko i bezpowrotnie być przestał. Wielki żal do tego syna, który ani kochać nawzajem, ani rozumiéć jéj nie mógł, wzbiérał w jéj piersi i łzami napełniał ciemne, piękne, cierpiące oczy. Żadne przecież słowo gniéwu lub urazy z ust jéj nie wyszło. Z wyrazem męczennicy, na los swój zrezygnowanéj, wszystkiego co mówił Witold wysłuchała, i wtedy dopiéro, kiedy o niezłomności oporu matki przekonany, w rękę ją na pożegnanie całował, uczuła odnawiające się i tym razem gwałtowne kurcze żołądka.

W kilka minut potém wiła się po szezlągu w istotnych i dojmujących męczarniach. Straszna gadzina hysteryi tę formę dziś przybrała, aby ją przeszyć swojém żądłem. Na nieszczęście, Teresa, z ręką ubezwładnioną i zębami, które od alteracyi srodze się już rozbolały, pomocną jéj być nie mogła. Do jednéj chustki, na któréj wspiérała rękę, dodała drugą, którą sobie twarz obwiązała, i skurczywszy się w kątku pokoju,

płakała nad cierpieniami przyjaciółki i swoją niemożnością przychodzenia jéj z pomocą; płakała, tłumiąc łzy połykaniem saliceli i morfiny — nadaremnie. Zawołano panny służącéj; okazała się jeszcze potrzeba przywołania Marty; w bieganinę około choréj wtrąciła się i Leonia. Atoli pani Emilia długo żadnéj ulgi uczuć nie mogła, przeważnie dla tego, że ciężkie stąpania i głośny oddech Marty drażniły ją i irytowały. Irytacyi téj niczém nie objawiała, ale cierpienia jéj uspakajały się daleko powolniéj, niż to bywało przy lekkiém fruwaniu i ptaszęcym szczebiocie Teresy. Daremnie Marta, na palcach nóg stąpać usiłując, najciszéj jak tylko mogła, kołysała w powietrzu swoję wysoką i ciężką postać; daremnie tłumiła oddech i dławiła się powstrzymywanym kaszlem: sam jéj szept nawet, gruby i świszczący, drażnił nerwy choréj. Spostrzegała to wybornie, i zgryzota, którą nad tém uczuwała, oblekała jéj twarz wyrazem dotkliwego cierpienia.

— Nigdy jéj dogodzić nie mogłam i nie mogę, — cichutko, jak się jéj zdawało, szepnęła do Teresy, i z głębokim wyrzutem saméj sobie czynionym, dodała: — Nie wiém, słowo honoru, poco żyję i chléb na tym świecie jém! Wieczna niedola!

Jednak po lekarza posyłać potrzeba nie zaszła. Benedykt, po kilku minutach, w pokoju żony spędzonych, wszedł do swego gabinetu, i już brał za

czapkę, aby udać się w pole, gdy przeze drzwi otwarte w drugim pokoju zobaczył syna.

— Witold!—zawołał—pięknieś postąpił. Zirytowałeś matkę, która teraz przez ciebie choruje. Czy do waszych teoryj i idei należy także sprzeczanie się z babami i sprowadzanie im nerwowych ataków?

— Szło mi o siostrę—cichszym niż zwykle głosem wymówił młodzian, z krzesła powoli wstając i książkę, którą przerzucał, kładąc na stole.

Benedykt, próg rozdzielający dwa pokoje, przestąpił.

— Matka miała zupełną racyą—zaczął.—Leoni po zebraniach i weselach chłopskich ciągać nie trzeba. Nie rozumiém nawet, zkąd ci do głowy przyszło, męczyć matkę sielankowemi swemi pomysłami?

Witold milczał. Ręce w tył założył, powieki miał spuszczone i usta szczelnie zamknięte.

— Czemuż nie odpowiadasz? — rzucił Benedykt, którego milczenie syna drażniło.

Nie zaraz i z widoczną niechęcią odpowiedział:

— Myślałem o tém, ojcze, dla czego mnie nigdy, ani w dzieciństwie, ani kiedym dorósł, sielanek tych nie wzbraniałeś?... owszem... nieraz mię sam zachęcałeś do nich?

— Facecya! czy masz mię za ostatniego głupca, abym miał chłopca w puchach chować i na obłokach kołysać! Ale Leonia jest dziéwczyną,

a co chłopcu idzie na zdrowie, dziéwczynie może zaszkodzić. Ty pewno i z tém się nie zgadzasz? co?

Witold milczał. W twarzy jego, poraz piérwszy Benedykt spostrzegł coś nakształt zaciętości, zdradzającéj silne postanowienie wytrwania w milczeniu.

— Cóż?—wymówił,— czy nie uważasz mię nawet godnym rozmowy z sobą?

Nie podnosząc powiek, młodzieniec odpowiedział:

— Pozwól mi, ojcze, milczéć, i tym sposobem nie ranić ciebie i siebie...

— Nie ranić! — powtórzył Benedykt. — Masz słuszność! Nie nowych ran spodziéwałem się od ciebie, ale może zagojenia tych... które...

Ręką machnął.

— Ale—dodał—to już na świecie tak! Przeciw komu Pan Bóg, przeciw temu i wszyscy święci! Niech jeszcze i to...

Porywczym ruchem czapkę na głowę włożył i wyszedł.

Witold stał długo na miejscu, w ziemię wpatrzony, do krwi prawie wargę sobie przygryzając. Ale kiedy pod gankiem tętent konia usłyszał, szybko do okna podszedł i nie opuścił go dopóty, dopóki odjeżdżający ojciec, na drodze, długim szlakiem ciągnącéj się za bramą, z oczu mu nie zniknął. Niespokojny, nad czémś namy-

ślający się, z czémś wewnętrznie walczący, chodził czas jakiś po pustéj sali jadalnéj, aż przeszedł sień i salon, u drzwi matczynego buduaru stanął i na ich klamce rękę położył. Stał tak chwilę w nieśmiałéj i wahającéj się postawie, potém cichutko drzwi otworzył, ale zaledwie głowa jego ukazała się w przyćmionym pokoju, gdy nagle, wszystkie, prócz pani Emilii, znajdujące się w nim osoby, obu rękoma ku niemu machać zaczęły. Przed chwilą właśnie chora uspokoiła się nieco, i zdawać się mogło, że zadrzémała. Ujrzawszy zaglądającego do pokoju Witolda, Marta, Teresa, Leonia i panna służąca, w najgłębszém milczeniu i z największém przerażeniem, ramionami ku niemu zamachały. Miało to znaczyć, aby coprędzéj odszedł i spoczynku choréj nie przerywał.

Odszedł, a w kilka minut potém widać go było z fuzyą na ramieniu, z czarnym Marsem i książką, wyglądającą z kieszeni surduta, idącego w kierunku Olszynki.

Nigdy jeszcze nie widywano Benedykta tak ponurym i rozjątrzonym, jak tego lata, w którém na głowę spadł mu nowy majątkowy kłopot, a na serce tajemny i niespodziéwany smutek. Ten smutek niemal z każdym dniem wzmagać się zdawał. Stosunki jego z synem były na pozór dobre, ale tylko na pozór. Chodzili razem po korczyńskich polach, rozmawiali o nauce agronomii, w któréj

Benedykt niegdyś, a Witold teraz żywe miał zamiłowanie, lecz obaj czuli, że to ich zetknięcie było zupełnie zewnętrzne, że dusze ich coraz więcéj oddalały się od siebie. Od tego wieczoru, kiedy Benedykt w bramie folwarcznego dziedzińca rzucił synowi bolesne wyrazy, pragnienie rychłéj śmierci objawiające, Witold zamknął się w niezłomném milczeniu o wszystkiém, co z najpowszedniejszemi sprawami związku nie miało. Chętnie rozmawiał z ojcem o przedmiotach codziennych i obojętnych, śpiesznie pochwytywał każdą sposobność dopomożenia mu w pracy lub oddania jakiéjkolwiek przysługi, ale o przekonaniach swoich, o tém, co mu się podobało lub nie podobało, o własnéj także przyszłości nie mówił z nim nigdy. Ilekroć przewidywał, że wydarzyć się to może, na twarzy jego zjawiał się ten sam wyraz zaciętego postanowienia, który już raz dotkliwie rozjątrzył Benedykta.

Jątrzył go zawsze ten cichy upór, i jątrzył coraz bardziéj. Wolałby już był otwarte, nawet zawzięte sprzeczki, niż to zamykanie się przed nim duszy, któréj wybuchliwą otwartość znał, więc sztuczną skrytość coraz więcéj raniącym go przyczynom przypisywał. Bywały dni, w których nawzajem zdawali się siebie unikać i prawie wcale nie widywali się z sobą; bywały inne, w których, nie szukając się z pozoru, spotykali się jednak na każdym kroku, na wspólne przechadzki

wychodzili i długie prowadzili rozmowy. Ale w tych rozmowach każda nóta serdeczna, każdy początek zwierzania się czy wylania, urywały się prędko, ustępując przed tajoném ze strony jednéj, a w gorzkich i porywczych słowach wybuchającém z drugiéj, rozdrażnieniem.

Jednego z dni takich, całą może godzinę rozpatrywali razem książki naukowe Witolda, z których młody człowiek czerpał temata do opowiadania ojcu o różnych nowych pracach na szérokim świecie, w dziedzinie agronomii dokonywanych.

— Do dyabła!—zawołał Benedykt,— kiedy teraz pomyślę, że i ja niegdyś tyle książek czytałem i mądrości zjadałem, oddziwić się temu nie mogę. Teraz, panie, tak odwykłem, że jak tylko co drukowanego do ręki wezmę, zaraz zadrzémię!...

I na przywieziony ze szkoły synowski księgozbiór—wcale nie duży—tak wystraszonemi, prawie przerażonemi oczyma patrzył, że Witold zrazu parsknął wesołym śmiéchem, a potém, zaraz, coś jakby litość czy rozrzewnienie wzrok mu napełniło. Wziął rękę ojca i do ust ją przycisnął.

— Widziu — niepewnym trochę głosem wymówił, — mam do ciebie prośbę!

— Ty, ojcze, do mnie? prośbę? Rozkazuj tylko.

Istotnie, widać było po nim, że gotów był w téj chwili rzucić się w ogień, lub na skraj świata skoczyć.

Długi wąs na palce motając i wzrokiem mijając twarz syna, Benedykt mówić zaczął:

— Za trzy tygodnie wyjedziesz z Korczyna... trzeba przecież, abyś wizytę pożegnalną ciotce oddał. Otoż, wiész dobrze, jaki mam kłopot z tym długiem Darzeckich... Gdybyś do nich pojechał, o przedłużenie mi terminu lub rozłożenie wypłaty na lat kilka ciotki poprosił, przymilił się do niéj, zjednał ją sobie... Same córki tylko mając, ona za synami braci przepada, a Zygmuś, kiedy siedział za granicą, ciągnął z niéj, ile sam chciał... Możeby więc i dla ciebie teraz tę łaskę zrobiła... Wprawdzie Darzecki sam interesami rządzi, ale ona ma nad nim wpływ wielki, i przytém to człowiek próżny, który za jeden nizki ukłon, za jedno pocałowanie ręki, wiele uczynić może... Cóż? zrobisz to dla mnie, Widziu?

Ciężka chmura okryła rozjaśnioną przed chwilą twarz młodzieńca. Milczał. Benedykt trochę podejrzliwie, a trochę wstydliwie na niego spojrzał.

— Cóż? zrobisz to, o co cię proszę? — grubiéj już nieco zagadnął.

— Nie, mój ojcze... boli mnie to bardzo... ale nie... — stłumionym głosem odpowiedział Witold.

— Dla czego? Raczże mi przynajmniéj wytłumaczyć...

— Pozwól mi, ojcze, milczéć!

— Znowu! — krzyknął Benedykt, i twarz jego od włosów do szyi zalała się szkarłatem.

Chciał coś mówić, długo jednak nie mógł, aż ze stukiem odsuwając krzesło, na którém siedział, zawołał:

— Dobrze. Milczmy obaj. Chcesz mi być obcym? Zamykasz się przedemną jak przed wrogiem? Dobrze. Bądźże łaskaw uważać mnie od tego czasu za swego znajomego, który tém tylko różni się od wszystkich innych, że weźmiesz po nim sukcesyą!

Tym razem Witold bardzo blady, drżał cały, a z oczu sypały się mu iskry. Uczynił zrazu ruch taki, jakby miał za odchodzącym ojcem poskoczyć, i w zamian otrzymanéj obelgi, z ust cisnąć grad gorzkich wyrzutów. Ale nie uczynił tego. Było w nim coś, co nakazywało mu powściągnąć się, i raczéj wszystko znosić, niż stargać do reszty łączący go z ojcem węzeł. Upadł tylko na krzesło, w obie dłonie wziął czoło i zawołał:

— Okropność! okropność! Porozumiéć się niepodobna! Błędne koło!

Łatwiéj zapewne porozumiéćby się mogli, gdyby obadwaj nie byli krewcy i wybuchliwi; gdyby nadewszystko nieustanne rozjątrzenie, w którém od lat dwudziestu kilku żył ojciec, nie przeszło

drogą odziedziczenia i niejako zaszczepienia w krew i nerwy syna. W krwi i nerwach obudwóch, gorzkim warem płynęły z jednéj strony przebyte, a z drugiéj widziane i odczute cierpienia.

Raz jednak, wkrótce po skończeniu żniw, Benedykt z sąsiedniego miasteczka do domu powracający, siedział na bryczce z tak raźną i wypopogodzoną miną, jakiéj oddawna już nikt u niego nie widział. Zapominając nawet o gdéraniu siedzącego na koźle stajennego chłopca, filuternie uśmiéchał się do siebie, i co mu się niezmiernie rzadko zdarzało, zamiast w dół pociągać, w górę czasem podkręcał wąsa.

Gdy na dziedziniec wjeżdżał, zobaczył odjeżdżający od ganku i nieco z boku w cieniu jaworów zatrzymujący się zgrabny koczyk, cztérema pięknemi końmi założony, ze stangretem w liberyi. Na ganku zaś stał tylko co tym koczykiem przybyły Zygmunt. Z parokonnéj, trzęsącéj, na żółto pomalowanéj bryczki wyskakując, Benedykt uprzejmiéj niż zwykle synowca powitał.

— W szczęśliwy dla mnie dzień przyjechałeś, Zygmusiu! Jakbym na sto koni wsiadł, taki rad jestem!

Zygmunt milcząc, szedł za stryjem w głąb domu, a Benedykt, znalazłszy się już w gabinecie swoim, zdjął płaszcz płócienny, czapkę na krzesło rzucił i z kieszeni surduta list jakiś wyjął.

Był to list otrzymany na poczcie w miasteczku, pisany przez prawnika, któremu pan Benedykt prowadzenie procesu z Bohatyrowiczami powierzył, a który uwiadamiał go, że strona przeciwna, w podaniu skargi do instancyi wyższéj terminu uchybiła, że zatém wygrana pozostaje przy nim, łącznie z przyznaną mu przez piérwszą instancyą znaczną sumą, koszta procesu wynagrodzić mu mającą. Listem o dłoń uderzając i szérokiemi krokami chodząc po pokoju, Benedykt wołał:

— Na swojém postawiłem! I przegrali, i będą jeszcze musieli kieszenie wypróżnić! Dla nich to suma ogromna, a i dla mnie także nie mało znaczy... szczególniéj teraz. Ot, lament podniosą! Ale nie daruję! Jak Boga kocham, ani grosza nie daruję! Jeżeli dobrowolnie nie oddadzą, licytować będę... konie, krowy, graty i choćby poduszki zlicytuję, a swoje odbiorę! Niech nie zaczynają! I mnie przecież ten proces kosztował, nie tyle wprawdzie, ale zawsze kosztował. A fatyga i zgryzoty czy za nic poczytywać się mają? Dla nich to dobra lekcya, a dla mnie taka sumka... fiu, fiu! nie piechotą chodzi!

Prawnik zapytywał w liście, czy ma czynić starania o wyegzekwowanie z bohatyrowiczowskiéj „okolicy“ przyznanego mu przez sąd zwrotu kosztów. A jakże! Naturalnie! Natychmiast musi odpisać, aby usilne, najusilniejsze starania o to czynił. Egzekwować będzie należną mu sumę,

egzekwować bez żadnego na nic względu. Na żadną nawet zwłokę nie pozwoli, ściśle stosując się tylko do litery prawa, a jeżeli nie oddadzą prędko i dobrowolnie, na licytacyą wystawi, — wszystko co mają na licytacyą... tak!

— Idź ty, Zygmusiu, na jakie pół godzinki do bab, a ja tę odpowiedź zaraz napiszę... Dziś wieczorem poczta z miasteczka odchodzi, umyślnego zaraz wysłać potrzeba, ażeby nie spóźnić się...

Od dobrego już dziesiątka lat, do napisania każdego listu przybiérał się długo i z niechęcią. Dziś przecież już przed biurkiem siedział, papiér z szuflady wydostawał i ręce zaciérał. Widocznie, przy zdarzeniach podobnych, nic mu już, tak jak dawniéj, we środku nie płakało.

Zygmunt, jak zawsze, żurnalowy i trochę sztywny, z kapeluszem w ręku przez pustą salę jadalną przeszedł, ale po chwilowém wahaniu, zamiast udać się do pokojów pani Emilii, skierował kroki na wschody, z sieni na górę prowadzące. Dom ten znany mu był od dzieciństwa, a chwilowe wahanie sprawiła mu tylko myśl, że na górze mieszkała nie tylko Justyna, ale także i Marta. Przez okno przecież zobaczył starą pannę, z kluczami i dziéwką folwarczną, idącą ku oddalonym budynkom. Drzwi pani Emilii były, jak zwykle, szczelnie zamknięte, salon zupełnie pusty; z góry dochodziły dźwięki skrzypiec. Wszedł na

wschody; na wązkim i wpół ciemnym kurytarzyku oblały go fale muzyki Orzelskiego; otworzył drzwi prowadzące do pokoju, w którym, gdy był dzieckiem i dorastającym młodzieńcem, bywał dość często. Zamieszkiwała go wtedy Marta; teraz, wiedział dobrze, iż znaleźć tam może Justynę.

Istotnie, na widok wchodzącego, młoda panna podniosła się u otwartego okna, i robota, którą w ręku trzymała — jakaś biała chustka z wyhaftowaną już jedną literą — z rąk jéj na stół upadła. Trochę zbladła, potém zarumieniła się i zaledwie końcami palców dotykając dłoni, którą ze wzrokiem natarczywie w nię utkwionym wyciągnął ku niéj przybyły, stłumionym nieco głosem zapytała:

— Czemu przypisać mam, kuzynie, odwiédziny twoje... w moim pokoju?

Zamiast odpowiedzi, wpatrzył się w nię jeszcze uparciéj i z żartobliwą pieszczotliwością wymówił:

— Niegościnna! siadać mnie nawet nie prosi!

— Owszem, usiądź, kuzynie, proszę!

Posunęła ku niemu krzesło i sama na uprzedniém miejscu usiadła, obojętna z pozoru, ale ze ściągniętemi nieco brwiami i migocącém w dalekiéj głębi oczu zatrwożeniem. Usiadł tak, że końcem stopy, obutéj w cielisty kamasz i błysz-

czący trzewik, prawie dotykał jéj sukni. Spojrzał w otwarte okno.

— Dość malowniczy widoczek... — zaczął.

— Znasz go oddawna, kuzynie, — zauważyła obojętnie i z oczami na robotę spuszczonemi.

Obok znajdującéj się już na chustce litery jednéj, zaczynała właśnie haftować drugą.

— Przez co mam rozumiéć — podjął Zygmunt, że nie potrzebuję wcale przyglądać się mu przez okno twego pokoju. Uprzejmą jesteś, kuzynko. Zresztą, masz w części słuszność: nie posiadam sztuki zachwycania się widokami rodzinnéj natury, może dla tego, że silne wrażenie wywiérać na mnie może to tylko, co jest nowém, oryginalném, niespodzianém... Jakże można porównać taki, choćby jak ten ładny widoczek, ze wspaniałemi, zachwycającemi scenami natury...

Tu, z wielkim istotnie wdziękiem słowa, wytwornie i malowniczo mówić zaczął o Renie, Dunaju, Alpach, jeziorach szwajcarskich, morzu Adryatyckiém... Może po części myślał o podbiciu ucha słuchaczki, bo głosowi swemu nadawał miękkie, muzykalne modulacye; ale widać téż było, że wszystko, o czém mówił, budziło w nim niegdyś szczére zachwycenie, a teraz tęsknotę. Mówiąc, nieustannie patrzył na pochyloną nad robotą głowę Justyny. Wzrok jego przesuwał się po jéj kruczym, lśniącym warkoczu, po czystych liniach śniadego czoła, po spusz-

czonych i frendzlą czarnych rzęs otoczonych powiekach, aż utkwił w ponsowych, pełnych, zupełnie w téj chwili spokojnych ustach, i spłynął z nich na kibić, któréj świéże i silne kształty rysowały się pod ciemnym stanikiem, a piersią poruszał oddech powolny i głęboki.

Mowa jego stawała się téż powolniejszą, kilka razy zająknął się, ręką dotknął czoła, aż nagle, w połowie zdania przerywając opowiadanie, z rumieńcami wytryskającemi mu na blade policzki, ciszéj przemówił:

— Spodziéwam się, że nie myślisz, kuzynko, abym tu przyszedł w celu opowiadania ci o lądach i wodach tego świata...

Nie zmieniając postawy, oczy na niego podniosła:

— Gdy tu wchodziłeś, zapytywałam się właśnie, kuzynie, o przyczynę...

— Przyczyna taka: Chciałem się zapytać, czy to prawda, że pan Różyc stara się o ciebie i czy... ewentualnie... masz zamiar poślubić tego, już teraz wszechstronnie chudego milionera?

Mówił śpiesznie i głos jego był trochę świszczący. Ona ręce z robotą na kolana opuściła i głowę podniosła.

— Jeżeli zechcesz powiedziéć mi, kuzynie, jakiém prawem zapytujesz mnie o to, wówczas na pytanie twoje odpowiem...

Powściągając się widocznie, znowu zapytał:

— A ty sama tego prawa nie domyślasz się, czy... nie uznajesz?

— Nie domyślam się,— odpowiedziała.

Pochylił się i chciał ująć jéj rękę, ale ona krzesło swe cofnęła i ramiona u piersi skrzyżowała.

— Jest to najświętsze ze wszystkich praw na ziemi... prawo miłości! — zawołał.

Justyna szybko powstała z krzesła i daléj jeszcze ku otwartemu oknu cofając się, zawołała:

— Proszę cię, o! proszę cię, kuzynie, idź ztąd!

Ale on tuż przed nią stanął.

— Nie lękaj się, Justyno, nie lękaj się niczego... Ta miłość, o któréj słuchać nie chcesz, jest tak czystą, wzniosłą, idealną, że obrażać cię nie może... Wiém dobrze, co powiedziéć mi możesz. Sam dobrowolnie utraciłem to, czego teraz wszystkiemi siłami pragnę... Ale przebaczże mi chwilę słabości... Przypomnij sobie wiérsz, który oboje tak lubiliśmy dawniéj: „Ils ont péché, mais le ciel est un don; ils ont aimé, c'est le sceau du pardon!“ Bądź wspaniałomyślną i zwróć mi swoje serce, swoję ufność, przyjaźń... swoję duszę!... Niczego więcéj nie chcę, niczego więcéj nigdy od ciebie nie zażądam, tylko duszy twojéj, Justyno!

Przy ostatnich słowach, z rozgorzałemi oczyma obie już ręce jéj pochwycił.

Po jéj twarzy przebiegły ironiczne drgnienia. Ręce swe z dłoni jego wysuwając, zapytała:

— Czy to dusza moja, Zygmuncie? Te moje ręce, które w swoich chcesz trzymać, czy to moja dusza?

Potém, znowu ramiona na piersi krzyżując, z podniesioną, trochę pobladłą twarzą, mówić zaczęła:

— Dobrze, powiém wszystko i niech się to już raz skończy. Kochałam cię, kuzynie, do tego stopnia, że po latach niewidzenia i kiedy już poślubiłeś inną, jeszcze nie mogłam obojętnie słuchać twojego głosu, a przy każdém twojém zbliżeniu się do mnie czułam, że wszystko wraca... wszystko, cała przeszłość moja do mnie wraca! Boże! jak ja cierpiałam! Kiedy przyjeżdżałeś do Korczyna, nie chciałam cię widziéć, i nieraz jak szalona ku brzegowi rzéki biegłam... z myślą że śmierć jest lepszą, niż taka walka i taka trwoga...

— Justyno! Justyno! — z nowym wybuchem rzucił się ku niéj Zygmunt.

Ale ona rozkazującym gestem usunęła go od siebie, i daléj mówiła:

— Taka trwoga! Bo nie tyle żałowałam tego, co miałam niegdyś za najwyższe dla siebie szczęście, ile lękałam się... ach! jak lękałam się jakiéjś złéj chwili... jakiéjś okropnéj chwili... w któréjbym sama .. któraby... któraby mię wtrąciła w ostateczne już poniżenie. Poniżyć się nie chciałam... Tak, kuzynie, chociaż byłam bardzo

upokorzoną, chociaż i ty kuzynie i inni uczyniliście wszystko, coście uczynić mogli, aby mi dać poznać moję małość, moję nicość... ja jeszcze byłam dumną... owszem, wtedy dopiéro stałam się dumną i lękałam się tego, co mi się wydawało ostatniém, najgłębszém poniżeniem... Duma moja, kuzynie, duma moja kobiéca czy ludzka, nie wiém, odtrącała mię wtedy od ciebie, broniła mię od ciebie, wypędzała mnie z domu, kiedy przyjeżdżałeś... Czy wystarczyłaby ona zawsze?... O, pewno, pewno! ale znalazłam inną jeszcze pomoc, silniejszą!... Wtedy, pamiętasz? kiedy przy wielu gościach, do mnie mówiłeś... twoja żona, kuzynie, patrzyła na mnie, na ciebie, i w oczach jéj łzy stanęły. Co mi ta kobiéta złego uczyniła, aby miała przezemnie płakać? Ja nie chcę, aby ktokolwiek przezemnie płakał! Wtedy, kuzynie, zlękłam się nie tylko już poniżenia i wstydu, ale nikczemności. Pomiędzy mną a tobą stanęły łzy, które zobaczyłam w oczach twojéj żony. Pomiędzy mną a tobą stanęło moje sumienie!

Mówiła to profilem do niego zwrócona, i nie na niego, ale w otwarte okno patrząc. Wyznania, które czyniła, zawstydzały ją i mieszały.

On, z tego jéj zmieszania, z samych nawet wspomnień o przebytych z jego przyczyny cierpieniach, czerpał nadzieję i śmiałość. Tuż za nią stojąc, w samo ucho prawie, pieszczotliwie i z rozmarzeniem jéj szeptał:

— Czy podobna, aby Justyna, moja dawna, marząca, poetyczna Justyna, przywiązywała wagę do światowych praw i przesądów, albo do zabobonnych skrupułów?... Łzy Klotyldy? Ależ upewniam cię, że quand même uszczęśliwić ją potrafię! Sumienie? Rzecz względna! Inna dla natur niewolniczych i poziomych, a inna dla wyższych i niepodległych! Najświętszém prawem na ziemi jest miłość, najwyższą cnotą brać i dawać szczęście...

Chciała mu przerwać, ale on, roznamiętniony i nadziei zwycięztwa nie tracący, mówił, a raczéj szeptał daléj:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy... zdaje mi się, że wszystko we mnie zamarło. Nie mam żadnego bodźca do życia... Nie mogę tworzyć. Ty jedna możesz mię wskrzesić i przywrócić szczęściu, życiu, sztuce... Opuść ten dom, zamieszkaj w Osowcach... ja tam teraz jestem panem. Moja matka wszystko dla mnie uczyni, Klotylda jest dzieckiem, które uszczęśliwić można cackami, a oślepić drobną monetą czułości... Będziemy żyli razem, nierozłączeni... nie lękaj się! nigdy nie obrażę i nie poniżę cię niczém! Będziesz tylko moją muzą, mojém natchnieniem, towarzyszką i siostrą mojéj samotnéj duszy... Co świat podejrzliwy i brudny mniemać będzie o tém, że u boku mego staniesz, cóż nas to obchodzi, nas, któ-

rzy przebywać będziemy w krainie ideałów, wyżsi i czystsi od świata?...

Tchu mu zabrakło, z roziskrzonym wzrokiem i wilgotném czołem chciał w oczy jéj spojrzéć i już kibici jéj dotknął ramieniem. Ale ona, gibkim i oburzonym ruchem, cofnęła się o parę kroków, i z twarzą tak prawie białą, jak leżąca na stole chustka, przez kurczowo zaciśnięte zęby wymówiła:

— On, ona i trzecia! Zupełnie jak we francuzkich romansach, których niegdyś tak wiele czytywaliśmy razem!...

Nagle, z wybuchającém uniesieniem zawołała:

— Za kogo mnie masz, kuzynie? O czém mówiłeś? Ależ ty chyba sam tego nie rozumiész! Jakto! kogoś niewinnego, kogoś, co nam nic złego nie wyrządził, krzywdzić w tém, co jest jego szczęściem, honorem, może życiem; codzień, co godzina, co chwila kłamać i oszukiwać, wiecznie chodzić w masce, czując pod nią trąd i plamy... Boże! i ty mi takie życie ofiarowywać śmiałeś!... Jakiém prawem! Co ja ci złego zrobiłam? Jak śmiałeś? O! jakież to szczęście, że ja cię już nie kocham! Ale, nie! Gdybym cię nawet jeszcze kochała, gdybym cię jeszcze tak jak dawniéj kochała, przestałabym w téj chwili... z gniéwu, z obrazy, z ohydy...

Teraz, gdy drżała i mięła w dłoni leżącą na stole chustkę, gdy pierś jéj podnosiła się szybko,

a oczy, w których jednocześnie przebiegały błyskawice i łzy, śród bladéj twarzy świéciły jak czarne dyamenty, poznać można było, że nie różaną wodę bynajmniéj w żyłach swoich miała, ale krew gorącą, popędliwą, dumną. Nigdy tak piękną nie wydała się Zygmuntowi. Z zachwyceniem, z żądzą, ale zarazem i z urazą na nię patrzył.

— Myślałem, że miłość wszystko obmywa i uświęca...— zaczął.

Ale ona mu przerwała:

— Zmień nazwę, kuzynie, zmień nazwę... to nie jest miłość, ale...

Zawahała się chwilę, zawstydzenie czoło jéj rumieńcem oblało, prędko jednak daléj mówić zaczęła:

— To jest romans... pełno go we francuzkich książkach... pełno go w życiu... O! znam go, znam go od dawna. Był on przekleństwem mego dzieciństwa, kiedy zabijał mi matkę, a dla ojca szacunek odbiérał... Spostrzegłam go i potém pomiędzy ludźmi, a wszędzie, zawsze zaczynał się od gwiazd, by skończyć się w błocie. O! muzy, siostrzane dusze, czyste uczucia, krainy ideałów... Boże! ile słów! ile pięknych, poetycznych słów! czy wy, używając ich kłamiecie, czy niemi oszukujecie samych siebie? Ale ta poezya jest tylko wstępem do wielkiéj, wielkiéj prozy... Miłość uniewinnia i uświęca wszystko! Być może, ale

nie taka, co kryje się pod ziemię i wstydzi się saméj siebie. Powiedziałeś, że prawa miłości są najświętszemi ze wszystkich praw świata. O, tak! Ale o jakiéj miłości, ty, wykształcony mężczyzna i artysta, mówiąc to, myślałeś? Nie o téj, najpewniéj nie o téj, któréj świtanie od niedawna ja uczułam w sobie... Idź na mogiłę ojca, kuzynie, idź na mogiłę ojca...

Nagle urwała. Do ostatka widać myśli swoich wypowiadać nie chciała. Zygmunt stał przed nią z pochyloną twarzą i zaciśniętemi zębami.

— Filozofka! — syknął,—rezonuje, waży, rozważa, rozróżnia...

— Nie — odpowiedziała, — o filozofii dokładnego wyobrażenia nawet nie mam. A za zdolność do rezonowania i rozróżniania tobie przedewszystkiém, kuzynie, obowiązaną jestem...

Ze zdumieniem i niedowierzaniem patrzył na nię.

— Ależ to być nie może, abyś ty, Justyno, tak ognista niegdyś, poetyczna, zrobiła się nagle taką zimną, przesądną, poziomą! Nie! ty chcesz przemocą stłumić uczucia swoje! Dumną jesteś i przed samą sobą chcesz odegrać rolę bohatérki.

Wzruszyła ramionami i zimno już odparła:

— Powiedziałeś, że mamy oboje natury wzniosłe i niepodległe. Proszę cię, kuzynie, abyś zdanie swoje o mnie zmienił. Upewniam cię, że je-

stem kobiétą zupełnie zwykłą i podległą zupełnie zwykłéj uczciwości. Oto wszystko.

— Wszystko! i nic mi więcéj nie powiész? nic? nic?

— Owszem,—śpiesznie odrzekła; — koniecznie nawet potrzeba, abym ci powiedziała stanowczo i raz nazawsze, że z uczuć, które miałam niegdyś dla ciebie, nie pozostało we mnie nic wcale, prócz prostéj zresztą życzliwości, którą mam dla wszystkich na świecie ludzi, i że przedmiotem moich myśli i marzeń jest coś, czy ktoś... może zarazem coś i ktoś, z tobą żadnego związku nie mający...

— Zapewne pan Różyc i łes beaux restes jego milionów,—syknął Zygmunt.

— Być może, — odpowiedziała.

Zmieszany, obrażony, rozczarowany, a jednak przez chwilę jeszcze ciekawego wzroku od niéj oderwać nie mogący, wziął z krzesła kapelusz, oddał jéj zdala ceremonialny ukłon i wyszedł z pokoju.

Było już po zachodzie słońca, kiedy ładny koczyk wtoczył się z turkotem pod kryty i brukowany ganek osowieckiego domu. Pani Andrzejowéj na odgłos ten zadrżały trochę ręce, w których trzymała książkę. Siedząc na jednym z foteli, otaczających wielki stół z książkami i dziennikami, podniosła głowę, spuściła powieki i ze spokojnemi rysami syna czekała.

W sali, znajdującéj się na dolném piętrze domu, Klotylda grała na fortepianie. Jednocześnie z zaturkotaniem kół u ganku, muzyka jéj umilkła, potém ozwała się znowu i znowu umilkła, aż brzmiéć zaczęła burzliwie, bezładnie, czasem żałośnie, czasem hucznie... Była to gra istoty drżącéj, niespokojnéj, czasem prawie bezprzytomnéj, a umilkła zupełnie w chwili, gdy Zygmunt do pokoju matki wchodził. Czuć było, że to dziecko, które tam, na dole wielkiego domu, grało z biegłością utalentowanéj uczennicy muzycznych mistrzów, rozmowa, mająca odbyć się na górze, przejmowała nieznośną boleścią i trwogą.

Kiedy wchodził do pokoju matki, od piérwszego spojrzenia poznać można było, że w drodze z Korczyna do Osowiec zajmowały go buntownicze myśli, i że pod ich wpływem powziął jakieś energiczne postanowienie. Obok znudzenia i niesmaku, jakieś stanowcze zdecydowanie się na coś, malowało się w jego twarzy. Pocałował rękę matki i naprzeciwko niéj siadając, zaczął:

— Powiedział mi Wincenty, że mama życzyła sobie widziéć się ze mną, gdy tylko do domu wrócę. A ja także, w ten piękny wieczór z Korczyna wracając, postanowiłem bardzo poważnie pomówić dziś z mamą o rzeczach, mających dla mnie wagę wielką, niezmierną...

Spojrzała na niego, w oczach jéj zamigotał niepokój.

— Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

— Wątpię — odpowiedział, — jestem nawet pewien, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczéj o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiéchnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem, i schyliwszy się znowu, piękną, białą rękę na czarnéj sukni spoczywającą, pocałował.

— Parions—zażartował,—że propozycyą moją mama będzie zdumiona... nawet oburzona... Oh, comme je te connais, ma petite, chère maman!... Ale po namyśle i spokojnéj rozwadze, może...

— Słucham cię—powtórzyła, a piękne jéj oczy, których blask łzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłonym wyrazem powściąganéj czułości spoczywały na téj pochylonéj ku jéj kolanom głowie, na którą, Boże! ileż nadziei, ileż jéj cudownych marzeń i namiętnych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w poufnéj i razem coś pieszczotliwego mającéj w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając, mówić zaczął:

— Nie prawdaż, najlepsza mamo, że u stóp twoich i u twego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała la belle au bois dormant, słodko drzémiąca w kryształowym pałacu, wśród zaklętego lasu,

którego nigdy nie dotykała jéj stopa i z którego przychodziły do niéj tylko wonie kwiatów i śpiéwy słowików? Nie prawdaż, chère maman, że usuwałaś mię starannie od wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nie prawdaż?

— Prawda, — odpowiedziała.

— I to także jest prawdą, moja mamo, że przeznaczałaś mię do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich... a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mamo?

— Tak, — odszepnęła.

Z powstrzymywaną ciągle czułością, któréj głucha obawa zwalczyć nie mogła, słuchała jego mowy płynnéj, pełnéj wdzięku, i czuła na swojéj ręce pieszczotę jego ręki miękką, delikatną. Takim, jakim wyglądał w téj chwili, łagodny, rzewny, na skrzydłach poezyi kołyszący się, Zygmunt czarował ją zawsze, i nie tylko ją jednę, bo i tę także duszę kobiécą, z którą rozstał się przed godziną, a która długo, jak ptak upojony, kąpała się w tym czarze, i tę inną, prawie dziecinną jeszcze duszyczkę, która teraz, na dole tego domu, tonęła we łzach i trwodze, i wiele może innych, na szérokim świecie.

— Nie prawdaż, mon adorée maman, że potém sama wysłałaś mię w świat széroki, gdzie wiele lat spędziłem wśród najwyższych wykwintów miast wielkich, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki... że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszéj szarości i pospolitości, do których zresztą nigdy przyzwyczajony nie byłem, żyjąc w twoim idealnym świecie, jak zaklęta księżniczka żyła w swoim kryształowym pałacu? Nie prawdaż moja najlepsza, najrozumniejsza mamo?

— Prawda. Ale do czego zmierzasz?

— Zmierzam naprzód do tego, aby ci, ma chère maman, powiedziéć, że za wszystko co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięczen...

Tu, pochylony znowu, ustami dotknął jéj kolan.

— Następnie do tego, że przecież jest rzeczą niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiéj jak moja przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodół, obór... que sais-je?... do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klekotać nad głową o gospodarstwie... do tych... tych... que sais-je?... zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów... Czyż to podobna? Moja droga mamo, czyż ktokolwiek, po takiéj jak moja przeszłości, w obec takich jak moja ambicyj i potrzeb, może wymagać tego odemnie?

Ręce széroko rozpostarł, oczy mu się trochę szérzéj niż zwykle rozwarły, zmarszczka przerznęła czoło. Mocno, do głębi był przekonany, że wymaganie, o którém mówił, byłoby absolutnie niemożliwe i niesprawiedliwe.

Pani Andrzejowa myślała chwilę. Do pewnego stopnia nie odmawiała słuszności skargom syna, pamiętała wybornie o swoich własnych wstrętach i nieudolnościach. Po chwili, z namysłem mówić zaczęła:

— Ciernie twojego położenia rozumiém dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie trudniejszemi, niż bywają dla innych. Jednak, moje dziecko, niczyje życie na téj ziemi nie może być wolne od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych...

Prędko z krzesła wstając, mowę jéj przebił:

— Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. J'en ai assez!

— Gdybyś był wyjątkiem... Ale... wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi...

Stając przed matką zapytał:

— Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jéj czuć było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

— Niéma na świecie matki, któraby dziecko swoje nieszczęśliwém widziéć chciała; ale ja dla

ciebie pomiędzy nizkiém szczęściem a wzniosłém nieszczęściem, wybrałabym drugie.

— Któż tu mówi o szczęściu nizkiém?—zarzucił;—czyż przyjemności wyborowych towarzystw, piękności wspaniałéj natury, rozkosze sztuki, stanowią nizkie szczęście?

— Najpewniéj nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz...

— Dla czego muszę? — przerwał, — dla czego muszę? Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszéj, droga mamo, do punktu, na którym umieszczę moję propozycyą.. nie! moję najgorętszą prośbę...

Zawahał się przez chwilę, potém znów przed matką siadając, znowu pochylił się ku jéj kolanom i rękę jéj wziął w swoje dłonie. Znowu téż, pieszczotliwie, z wdziękiem, z odcieniem rzewności i poetyczności mówić zaczął:

Mówił o tém, aby sprzedała Osowce, które były dziedziczną jéj własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencyi, albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. Kapitał osiągnięty ze sprzedaży Osowiec, w połączeniu z tém, co Klotylda posiada i jeszcze w przyszłości od rodziców otrzyma, wystarczy im na życie, nie zbytkowne wprawdzie, ale dostatnie i bardzo, przyjemne. Zresztą, on może jeszcze kiedyś i bardzo bogatym zostanie, gdy w otoczeniu sto-

sowném, artystyczne natchnienia i zdolność twórczą odzyska. Żyć i podróżować będą zawsze razem, przyjemności wysokich używać, wszystkie marzenia swoje spełniać, tylko trzeba, aby wydostali się ztąd koniecznie, aby koniecznie i co najprędzéj wynurzyli się z tego morza pospolitości, nudy i powszechnych złych humorów.

Z lekka żartować zaczął:

— Nie prawdaż, moja złota mamo, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś, albo po czémś płaczą, zbiédzeni, skłopotani, polękli... Ztąd wynika melancholia, qui me monte à la gorge, i dławi mię jak *globus hystericus* tę biédną panią Benedyktową... Raz tylko wyjeżdżałaś za granicę, droga mamo, i to dawno... jeszcze z ojcem. Nie znasz więc różnicy atmosfer... nie wyobrażasz sobie, ile znalazłabyś tam rzeczy pięknych, ciekawych, wzniosłych, prawdziwie godnych twego wykształcenia, smaku i rozumu...

Milczała. Z głową podniesioną i spuszczonemi powiekami siedziała nieruchoma, nie odbiérając mu swojéj ręki, która tylko stawała się coraz zimniejszą i sztywniejszą. Nakoniec, cicho, ale stanowczo przemówiła:

— Nie uczynię tego nigdy...

Porwał się z krzesła.

— Dla czego? dla czego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy, odpowiedziała:

— Dla tego właśnie, co powiedziałeś... Dla téj właśnie melancholii...

— Ależ to jest wściek... pardon! krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamo! Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można; przyrastać do zapadłego miejsca nakształt grzyba, dla tego tylko że inne grzyby siedzieć w nim muszą,—to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

Patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

— A ty, Zygmuncie, czy nie jesteś idealistą?

On! ależ naturalnie! Uważa się on za idealistę, i nie przypuszcza nawet, aby go ktokolwiek o materyalistyczne zasady albo dążności mógł podejrzéwać. Ale w tém właśnie tkwi dla niego niemożność pozostawania tutaj. Spragniony jest ideałów i wyższych wrażeń, a otacza go sama pospolitość i monotonia. Idealistą zresztą będąc, do ascetyzmu skłonności nie posiada. Fakirem, ani Kamedułą, zostać nie może. Jest on człowiekiem cywilizowanym, i posiada zaszczepione w niego razem z cywilizacyą potrzeby uciech i rozrywek pewnego rzędu, tu do znalezienia niepodobnych. Nie mogąc pracować dla braku wrażeń, nie ma także żadnych przyjemności, a całe dni przepędzać bez pracy i bez przyjemności, jest to życie prawdziwie piekielne, od którego oszaléć można, nie tylko już ze zmartwienia i tęsknoty, ale z saméj nudy...

Unosił się. Oddawna już pracujące w nim niezadowolenie i zniecierpliwienie, teraz, wobec oporu matki, grożącego ruiną jedynemu jego ratunkowemu planowi, nadwerężało w nim nawet zwykłą wykwintność form. Wyglądał daleko mniéj żurnalowo niż zwykle... Przebiégał pokój z rękoma w kieszeniach surduta; kilka razy gniéwnie i niespokojnie własną swoję postać obejrzał.

— Tu każdy—wołał — choćby największy idealista, najgenialniejszy artysta, przemienić się musi w opasłego wołu... Ciało prosperuje, a duch upada. Czuję w sobie okropną degrengoladę ducha... Prawdziwie i głęboko nieszczęśliwym jestem... marnieję, ginę, wszystko co jest we mnie wyższego, idealnego, przemienia się w żółć i tłuszcz!

Przy ostatnich światłach kończącego się dnia, pani Andrzejowa ścigała wzrokiem gwałtowną przechadzkę syna po pokoju, i wtedy dopiéro, gdy przerwał się na chwilę potok jego wpół zgryźliwéj, wpół żałosnéj mowy, głosem, który z dziwną trudnością wychodził z jéj piersi, zauważyła:

— Czy zachęty do téj pracy, któréj pragniesz, i do téj, któréj nie lubisz, niejakiego przynajmniéj wynagrodzenia braków, na które się skarżysz, nie możesz znaleźć w uciechach serca?... Ja niegdyś je posiadałam, znam więc ich moc i wa-

gę. Jesteś, Zygmuncie, bardzo szczęśliwie ożeniony.

— Nie bardzo, — sarknął.

Tak cicho, że zaledwie mógł jéj dosłyszéć, zapytała:

— Czy nie kochasz Klotyldy?

Zakłopotany trochę, przechadzkę przerwał, stanął:

— Owszem... owszem... mam dla niéj przywiązanie... dużo nawet przywiązania... ale nie wystarcza mi ona... Do duchowych moich potrzeb nie dorosła... Ta wieczna jéj czułość i nieustanne paplanie...

Matka z żywością mu przerwała:

— Jest to dziecko; piękne, utalentowane, namiętnie cię kochające dziecko, które w słońcu twojéj miłości i przy świetle twego umysłu, dojrzéć i rozwinąć się może... Nie tylko za szczęście, ale i za jéj moralną przyszłość odpowiedzialny jesteś...

— Pardon!—przerwał,—na pedagoga nie miałem powołania nigdy i do kształcenia żony mojéj nie obowiązywałem się przed nikim. Ce n'est pas mon fait. Jest się dobraną parą, lub się taką nie jest. Voilà! A jeżeli w tym wypadku są jakieś nierówności, ofiarą ich z pewnością jestem ja.

Plecami do pokoju zwrócony stanął przed oknem, za którém słońce, już niewidzialne, zapa-

lało nad drzewami parku széroki pas różowy. Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał stłumiony głos pani Andrzejowéj. Czuć w nim było, zdejmującą ją niewysłowioną trwogę.

— Zygmusiu, chodź do mnie... chodź tu... bliżéj!

A gdy o parę kroków od niéj stanął, szeptem prawie mówić zaczęła:

— Na wszystko, co kiedykolwiek nas łączyło, co kiedykolwiek kochałeś, proszę cię, abyś mi odpowiedział szczérze, zupełnie szczérze... Zlękłam się, widzisz, niezmiernie myśli, która do głowy mi przyszła... Uczułam niezmierny ciężar na sumieniu... Jednak pragnę wiedziéć prawdę, aby módz jasno rozpatrzéć się w położeniu, i co jest jeszcze do naprawienia naprawić, czego uniknąć można uniknąć... Czyżbyś prawdziwie i stale kochał Justynę? Czyżby to uczucie było przyczyną tak prędkiego zobojętnienia twego dla Klotyldy? Czy... gdybym... zamiast zrażać, zachęcała cię była do ożenienia się z Justyną, i gdyby ona była teraz twoją żoną, czułbyś się szczęśliwszym, mężniejszym, lepiéj do życia i jego obowiązków uzbrojonym?

Zapytań tych wysłuchał z trochę gorzkim, a trochę lekceważącym uśmiéchem, poczém, z rękami w kieszeniach i podniesionemi trochę ramionami, przechadzkę po pokoju znowu rozpoczynając, odpowiedział:

— Bardzo wątpię. Wié mama, że rozczarowałem się do niéj zupełnie. Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiéra jakieś pozy bohatérki czy filozofki... Przytém, dziś właśnie zauważyłem, że ma takie zgrubiałe ręce i w ogóle wygląda więcéj na prostą, hożą dziéwkę, niż na pannę z dobrego towarzystwa... Już téż Klotylda daleko jest dla mnie stosowniejszą... bo delikatniejsza. staranniéj wychowana i posiada wcale ładny talent do muzyki... wcale ładny... Tylko, że ja dziwnie łatwo oswajam się ze wszystkiém, a jak tylko oswoję się, zaraz mię nudzi... Ça dépasse toute idée, jaki ja mam głód wrażeń... Prawdziwie pod tym względem nienasycony jestem, i dla tego właśnie w tutejszéj monotonii ginę, marnieję, przepadam...

Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach: naprzód o tém, że przez Justynę odtrącony został; następnie, że żadnéj z tych dwóch kobiét prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać? Powoli, powoli, wyniosła kobiéca głowa, żałobnym czépkiem okryta, chyliła się na pierś, w któréj wzbiérała hamowana jeszcze burza uczuć, i podniosła się znowu wtedy dopiéro, gdy Zygmunt kroki swe przed nią zatrzymując, raz jeszcze ze zmieszaniem prośby i wyrzutu, pieszczotliwości i zniecierpliwienia

pytać zaczął: czy cierpienia jego nie skłonią jéj do wykonania planu, który ułożył? czy po namyśle, zimno na rzeczy spojrzawszy, nie zgodzi się na to, czego on pragnie i dla podtrzymania swoich twórczych zdolności, dla uniknięcia ostatecznéj degrengolady ducha, koniecznie potrzebuje?

Wtedy pani Andrzejowa głowę podniosła znowu, i głosem, w którym brzmiała zwykła już jéj wyniosłość i energia, odpowiedziała:

— Nigdy na te rzeczy zimno patrzéć nie będę. Dopóki żyję, nigdy na téj piędzi mojéj rodzinnéj ziemi, nigdy w tych ścianach obcy ludzie... obce bogi...

Nagle wybuchnęła:

— Wielki Boże! Ale po mojéj śmierci ty to uczynić jesteś gotów... tak! ty to pewno uczynisz, gdy tylko ja oczy zamknę... Jak tchórz uciekniesz z szeregów zwyciężonych... jak samolub nie zechcesz łamać się chlebem cierpienia... Kawał Chrystusowéj szaty rzucisz za srébrnik, ażeby kupić sobie życie przyjemne... Boże! Ależ ty chyba w chwili uniesienia... w dziwnym jakimś śnie okazujesz się takim... Zygmuncie, o! mój Zygmuncie! powiédz mi, że naprawdę inaczéj myślisz i czujesz...

Syn spokojny i zimny, nie dając się unieść jéj wybuchowi, jakby jej prawie nie słuchając, mówił:

— Niech się mama nie unosi! Ależ, moja droga mamo, proszęż się tak nie unosić! Któż tu mówi o samych tylko przyjemnościach życia? Mnie idzie o coś wyższego, ważniejszego... o moje zdolności... natchnienia...

— Czyż dusza artysty — zawołała — musi koniecznie być tylko motylem, na swawolnych i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? Czy tu słońce nie świéci? Czy tu królestwo trupów, że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?... że nic cię zachwyceniem, czy bolem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i natchnąć nie zdoła? A ja marzyłam... a ja marzyłam...

Tu głos jéj drżéć zaczął powściąganemi z całéj siły łzami.

— A ja marzyłam... że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnéj natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniéj w tobie przemówią... że raczéj tu właśnie najpotężniéj przemawiać do nich będzie każda roślina każda twarz ludzka, każde światło i każdy cień... że właśnie soki téj ziemi, z któréj i ty powstałeś, jéj łzy i wdzięki, jéj słodycze i trucizny, najłatwiéj wzbiją się ku twojéj duszy i najpotężniéj ją zapłodnią...

Stojąc przed nią w postawie zbiédzonéj, prawie skurczonéj, ręce gestem zdumienia rozkładał i prawie jednocześnie z nią mówił:

— Ależ ja tego wszystkiego nie znam... ja, ma chère maman, z temi światłami, cieniami, słodyczami, truciznami etc., etc., od dziecinnych dni nie przestawałem... nie zżyłem się... nie przywykłem do nich... wcale do czego innego przywykłem... Nie możnaż z cywilizowanego człowieka przedzierzgnąć się na barbarzyńcę, z powodu... z powodu soków ziemi, z któremi się do czynienia nie miało!

Powoli, obu dłońmi opiérając się o stół, bo może nogi posłuszeństwa jéj odmawiały, matka powstała i zapłakała tak, jak płakała zwykle, bez łkania, bez najlżejszego skrzywienia rysów, kilku grubemi łzami, które powoli stoczyły się po jéj policzkach.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!— powoli wymówiła.—Zbłądziłam. Pomiędzy tobą a tém, co powinno być najwyższą twoją miłością, nie zadzierzgnęłam dość silnych węzłów. Mówiłam ci wprawdzie o téj miłości zawsze, wiele... ale słowa, to widać siew nietrwały... Zbłądziłam... Ale, dziecko moje...

Tu, białe ręce modlitewnym gestem na staniku żałobnéj sukni splotła.

— Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny... o, mimowolny! bo myślałam, że czynię jak najlepiéj... Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojéj miałeś być gwiazdą piérwszéj wielkości, nie zaś

pospolitą świécą, wodzem nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historyą swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać sił, męztwa, moralnéj wielkości? Twój ojciec, Zygmuncie, oprócz wielu innych rzeczy nie codziennych, kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświécania...

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój napełniać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wymówił wyraz:

— Bydło!

O, Bóg niech będzie jéj świadkiem, że pomimo wszystkich swoich instynktownych odraz i niedołężności, nigdy tak nie myślała, nigdy na wielkie zbiorowisko ludzi, najbliższych jéj w świecie ludzi, takiéj obelgi, w najgłębszéj nawet skrytości myśli swéj nie rzuciła; że zbliżyć się do tego zbiorowiska, przestawać z niém, pracować nad niém nie umiejąc, sprzyjała mu serdecznie, i dla najnędzniejszéj nawet istoty ludzkiéj miała jeszcze życzliwość i choćby bierne współczucie. O, Bóg tylko jeden widział burzę przerażenia, którą w niéj wzniecił ten jeden wyraz, z obojętnie wzgardliwych ust jéj syna spadły, bo on téj burzy, która jéj głos odebrała, ani krédowéj bladości, twarz jéj obléwać poczynającéj, nie spo-

strzegł, i stając przed nią, jakby z milczenia jéj chciał korzystać, mówić zaczął:

— Bardzo dobrze rozumiém, o co kochanéj mamie najwięcéj idzie. I jakże nie rozumiéć? Soki ziemi, chléb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud... słowem... jak mówi stryj Benedykt, to... tamto!... Nigdy o tém mówić nie chciałem, ażeby kochanéj mamy nie gniéwać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególniéj tak bezinteresowne, o! tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczérego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otoż przykro mi to bardzo, j'en suis désolé, ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielam. Tylko szaleńcy i krańcowi idealiści bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzéć umiém i żadnych pod tym względem iluzyj sobie nie robię... a nie mając żadnych iluzyj, nie mam téż ochoty czynić z siebie całopalenia na ołtarzu widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycyi, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzye pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacya powszechna, europejska cywilizacya... Ja przynaj-

mniéj uważam się za syna cywilizacyi, jéj sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą zżyłem się; nic więc dziwnego, że bez niéj już żyć nie mogę, i że tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób... w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogę...

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia z pod stóp się jéj usuwała, bo obie jéj dłonie mocno ściskały krawędź stołu.

— Boże! Boże! — kilka razy zcicha wymówiła, a potém jednę rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, zdławionym głosem zaczęła:

— Idź na mogiłę ojca, Zygmuncie, idź na mogiłę ojca! Może z niéj... może tam...

— Mogiła! — sarknął, — znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję... przedemną życie, sława...

— Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec... tam...

— Mój ojciec! — wybuchnął Zygmunt,— niech mi mama przebaczy... ale mój ojciec był szaleńcem...

— Zygmuncie!—zawołała, a głos jéj dźwięczał zupełnie inaczéj niż zwykle: przeraźliwie i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwéj krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

— Tak, szaleńcem! — powtórzył,—bardzo szanownym zresztą... ale do najwyższego stopnia szkodliwym...

— Boże! Boże! Boże!

— Tak, moja mamo. Niech mi mama przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tém, ja, który nie mogę zająć przynależnéj mi w świecie pozycyi, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższym jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni...

— Wyjdź! wyjdź ztąd! — nagle głos z piersi wydobywając, zawołała. — Wyjdź co najprędzéj, o! co najprędzéj... bo lękam się własnych ust... o!...

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, któréj krédowa bladość w ramie czarnego czépka odbijała na tle zmiérzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

— Ależ pójdę! pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać niepodobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedye! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? za co? dla czego? Gdyby o tém gdzieindziéj opowiadać, niktby nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i pocichu drzwi za sobą zamknął.

Są ludzie, którzy płakać umieją tylko nad mogiłami drogich im ludzi, czém zaś jest rozpacz nad śmiercią uczuć i ideałów doznawana, nie wiedzą. Lecz ta wspaniała kobiéta, która z twarzą jak opłatek białą stała śród zmroku, niby w kamienną kolumnę przemieniona, czuła teraz, że na drodze jéj życia i na dnie jéj serca wznosi się druga mogiła, rozpaczniejsza jeszcze od piérwszéj, bo nic już po sobie nie pozostawiająca. W tę drugą mogiłę kładły się na wieki i bezpowrotnie ją żegnały najdroższe jéj uczucia i nadzieje; rozkładała się w niéj, niby ciało w retorcie śmierci na marną parę przerabiane, wiara jéj w geniusz i szlachetność syna... Wydało się jéj nawet, że czuje zapach trupa, i że ten trup znajduje się w niéj saméj, zalega dno jéj własnéj piersi, którą zdjęło śmiertelne zimno. Byłażby to agonia jéj wielkiéj miłości dla syna? Czyżby go kochać przestawała?

Pierś jéj stygła, jakby w niéj zagasał jedyny płomień, który utrzymywał jéj życie. Ona rozumiała co tam gaśnie, i obie dłonie mocno przyciskała do serca, chcąc może zatrzymać to, co z niego ulatywało. Czuła, że razem z zanikaniem jéj miłości i wiary, niezgłębiona próżnia otwiéra się przed nią, kruszą się same podstawy jéj bytu, jakiś nóż ostry i nielitościwy podcina same korzenie jéj życia. Z postawy jéj, ruchów rąk i drżenia rysów widać było nieznośną mękę,

która bolesne prądy rozsyłała od kończyn do kończyn jéj ciała, siłą cierpienia zda się wywlekając z niéj duszę.

Wtém oczy jéj oślepiło jakieś wielkie, jaskrawe światło. Był to ów pas na niebie przed chwilą różowy, a teraz krwawo zaczerwieniony, który za drzewami ogrodu i nad niemi pozostawiło zaszłe już słońce. Széroki, równy, gdzieniegdzie zbałwaniony, podobny był do rzéki krwi, po któréj przepływały kiry fioletów i nad którą niby rozwiéwna glorya ulatywały złotawe pary. To zjawisko przyrody, dla kobiéty, która patrzyła na nie, wydało się jakimś symbolem i uderzyło jéj w oczy jakiémś przypomnieniem. Z miejsca, na którém stała, widziała tylko wązki, daleki rąbek błękitu, do promienia ideału, do wiecznéj, chociaż dalekiéj nadziei podobny, lecz więcéj nic, nic, prócz téj rzéki krwi, ciemnemi kroplami, jak ciężkiemi łzami usianéj, złotawą parą buchającéj. Patrzyła, patrzyła, aż dłonie podnosząc do skroni, jak ktoś, co przed gwałtownym wichrem ostać się nie może, okręciła się na miejscu i z jękiem na ziemię upadła. Kolana jéj i ręce splecione z głuchym stukiem o posadzkę uderzyły. Po pokoju rozlegać się zaczął szept to gwałtowny, to znów tak cichy, jak gdyby z konającéj piersi wychodził:

— Widziałeś? Ciebie znieważył! Pamięć twoję, grób twój!... Ideały nasze, wiarę, pragnienia

zdeptał! Andrzeju! czy ty słyszysz? czy ty przebaczasz? Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Ale ja tego nie chciałam... Śmierci, o! śmierci!

Ale śmierć nie byłaby okrutną, gdyby przybywała ku tym, którzy już żyć nie pragną. Silne jéj ciało zwycięzko opiérało się targającéj niém rozpacznéj burzy.

Przed oknem, zasłonioném czerwonością nieba, długo twarzą przy ziemi leżała, aż gdy podniosła ją i spojrzała w górę, wyraz niemego, osłupiałego zachwycenia napełnił jéj oczy. Po raz drugi doświadczyła wizyi, któréj pragnęła i wzywała zawsze. Widziała Andrzeja. Kształty jego zaledwie rozróżniać mogła, bo owijały je złotawe pary, ale wypukłe rysy, w ciemnéj gęstwinie włosów, z krwawiącą się plamą na czole, bladością swoją odbijały na tle krwawego obłoku. W te rysy wpatrzyła się ze stokroć większą jeszcze miłością, niż w owym dniu dalekim, gdy ukochany zdejmował z jéj skroni welon oblubienicy. Cisza głęboka, taka jaka na ziemi bywa tylko przed wejściem jutrzenki, dokoła niéj zaległa. Najlżejszy szmér ucha jéj nie dolatywał; nie czuła też twardości ziemi, na któréj klęczała, ani przestrzeni, rozdzielającéj ją z zawieszoném pod niebem zjawiskiem.

— Czy mi przebaczasz? — szeptała drżącemi usty.

On, złotawą gloryą owinięty, leżał na krwawym obłoku, cichy, smutny, w daleki rąbek błękitu zapatrzony. Zdało się jéj tylko, że z mglistych obsłon wydobyte, przejrzyste jego ramię, na mgnienie oka wyciągnęło się nad jéj głową.

— Bez ojca wzrósł—szeptała,—bez ojca... bez ciebie!

Lecz na krwawym obłoku żeglująca kropla fioletu zbliżała się, rosła, wydłużała, i powoli, rys po rysie, zasłaniała oblicze blade, ciche i niby w promień ideału, lub w wieczną chociaż daleką nadzieję aż do końca zapatrzone w wązki, daleki rąbek błękitu.

III.

Dzień był znowu świąteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednéj strony w lesiste pagórki, z drugiéj w półkoliste koryto Niemna ujęta, wcale inną miały postać, niżeli w świetne, skwarne, mozolne dni ubiegłego już lata. Miała wcale inną postać, bo było to święto wesołe i rzeźkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającéj się jesieni stojące.

Zamiast świéżości, blasku i wrzątku wezbranego życia, unosił się teraz nad tą równiną łagodny smętek natury omdléwającéj zwolna i z wdziękiem. Na spasionych miedżach, gładkich i pustych, gdzieniegdzie stérczały nagie łodygi cykoryi, ciemną czerwienią iskrzyły się bujne kity końskiego szczawiu, drobne puchy kotków i żółknące dzięcieliny trwożnie przypadały ku stwardniałym krawędziom zagonów. Jak okiem zajrzéć, zdeptane przez trzody ścierniska, zmartwiałą żółtość swoję mieszały z ciemną szarością zora-

néj gleby i więdniejącą zielenią kartoflisk, a wszystko to razem wyglądało jak kobierzec o barwach przygasłych i spłowiałych, na którym tu i owdzie łanki dojrzałéj gryki kładły rdzawo różowe plamy, a majową zielonością odbijał na korczyńskich polach bujający, wysoki gaj końskiego zębu. Ścieżki tajemniczo przedtém na dnie zbożowéj puszczy utopione, widocznemi teraz, chociaż mdławemi skrętami przepływały ciemniejszą od nich rolę, któréj spulchnioną powierzchnię gęsto osiadywały wrony, w zadumanych postawach spuszczając ku ziemi żéru szukające swe dzioby. U skraju ściernisk, pod laskami, wzbijały się z małych ognisk pastuszych, nizkie, nikłe, sinawe dymy; polne grusze, topole i wiérzby stały jeszcze w zieleni gęstéj, lecz zczérniałéj i bez blasku, a kiedy niekiedy, nie wiedziéć zkąd się biorąc, żółty liść przelatywał już powietrzem i gdzieniegdzie na polnych krzakach mlecznie bielały płatki pajęczyny. Zamiast upajającéj woni kwitnących ziół, skoszonych traw, świéżo zżętéj słomy i z drzew ulatniającéj się żywicy, czuć było naokół jeden tylko mocny, wilgotny, razowe pieczywo przypominający zapach ziemi, głęboko przez pługi wzruszonéj. Zamiast ogłuszających śpiéwów ptactwa i niezliczonych w rozmaitości swéj brzęczeń owadów, panowała wszędzie cisza, — cisza nie śmierci jeszcze, ale wielkiego uspokojenia się istot i rzeczy, wśród

któréj jednak odzywały się w górze ostre krzyki żurawi i klekot bociani, a w dole, na mdlejących skrzydłach przelatywały spóźnione motyle, pszczoły nad łankami gryki brzęczały, a powyżéj drzew dzwoniła ciągle niewidzialna struna nadwodnych muszek.

W dni powszednie, rozlegały się tu jeszcze przewlekłe i posępne, lub ochocze i krótkie wołania oraczy; widać także było szybko przesuwające się pługi, z cichym chrzęstem po zoranéj roli wlokące się brony, i powoli, równo, w prostych liniach, z wyprostowanemi postaciami postępujących siewców, których ręce, rytmicznemi prawie ruchy, rzucały na zagony obfitą rosę ziaren. Nad tém zaś wszystkiém, nad zaściełającym ziemię kobiercem przygasłym i spłowiałym, a gdzieniegdzie tylko rdzawą różowością lub majową zielenią rozweselonym, nad pociemniałemi drzewami, u których stóp wiły się nikłe dymy, nad rozsianymi zrzadka oraczami i siewcami, świéciło śród czystych, lecz bladych błękitów, ciche, przygasłe, blado-złote słońce. Zdawać się mogło, że przez długie wylewanie na ziemię zapładniających ogniów, wywabiło ono z szaty ziemi świetne jéj barwy i samo pobladło, a teraz, na piękną jeszcze, lecz uciszoną i smętną, spoglądało smętném, uciszoném okiem. Tak jak ziemia, która uśmiéchała się jeszcze, lecz już nie wybuchała radością, ogrzéwało ono jeszcze, lecz już nie paliło,

łaskawie zarzucało na wszystko płaszcz z bladego złota, lecz nigdzie nie rozniécało ognisk płomieni i iskier. Od pozbawionego tych ognisk, bladego błękitu nieba, do spłowiałego kobierca ziemi, stało powietrze niepokalanie przejrzyste, nieco chłodną rzeźwością przejęte, przypominające blizkie już, pajęczynowe, babie lato — do umieszczonego nad światek kryształowego dzwonu podobne.

Pospołu ze zmienioną postacią natury, bohatyrowicka okolica, nieco odmienną postać przybrała. Nie był to już, jak przedtém, gęsto zbity i dla oka prawie nierozwikłany pas roślinności, wśród którego, zblizka tylko i ułamkowo rozpoznawać było można granice zagród i ich domowstwa. Teraz tylko wszystkie płoty i ściany budynków do połowy niemal tonęły w przedziwnie wybujałych, z niesłychanym gwałtem wzdymających się gęstwinach. Były to gęstwiny, a raczéj wzdęte rzéki, dzikie puszcze chwastów. Były to niby księgi natury, o gęsto zbitych i coraz innych kartach.

Z wysokiéj, szérokolistnéj, puszystéj dla oka, a twardéj dla ręki pościeli olbrzymich łopuchów, babek, chrzanów, bujały tam wysoko niezliczone osty, u wierzchołków ubrane w różnobarwne, misterne, kolcami zjéżone kwiaty, mieszające się ze śnieżnemi koronami krwawników, z ciemną czerwienią końskich szczawiów, z zaroślami psich ję-

zyczków, których podługowate liście wysuwały się zewsząd, jakby chciały swą ostrą powierzchnią lizać odzież przechodniów; gdzieindziéj krzaczysty, grubiański żywokost, mnóztwem białych guziczków osypany, rozpiérał się tak széroko, że nic już przy nim wzrastać nie mogło, oprócz upartych mięt i piołunów, rozléwających naokół mocne i gorzkie zapachy; gdzieindziéj jeszcze, zdziczałe spiree, ogołocone z kwiatów malwy, przekwitłe i trującemi makówkami zwieńczone psianki, tworzyły wysoką i nieprzebytą plątaninę, któréj spodem kładły się krwiste liście więdnącéj dzikiéj lebiody, złociły się żółte szelestuchy, puszczą rosły chwoszcze, ruty i pokrzywy.

Ale działo się tak tylko u płotów, stodół i stajeń; gdzieindziéj rozwidniło się, rozszérzyło, poprzestronniało. Najlżejszy pył, po niedawno spadłych dészczach, nie podnosił się z ziemi; w przejrzystém więc powietrzu, za ogrodami, z których zdjęto owsy, konopie i fasolę, domy i drzewa stały w wyraźnych, pełnych zarysach. Pozostałe w ogrodach nizkie tylko warzywa nic sobą nie zasłaniały, a na dziedzińcach i uliczkach, od płotu do płotu i od budynku do budynku, słały się już tylko nizkie, zdeptane trawy. Wiśniowe i śliwowe gaje przerzedziły się i u dołu pustemi przestrzeniami przeświécały; stare lipy, grusze, topole i jawory, błyskając tu i owdzie zżółkłemi lub zarożowionemi liśćmi, nabrały u szczytów koron-

kowéj prawie przezroczystości. Kwiaty, bardzo już rzadko, pod gankami i oknami domów ukazywały się w postaci nikłych floksów, albo drobnych astrów; w zamian, przez puste przestrzenie gajów i koronkowe gałęzie drzew, widać było rozłożone na trawach brunatne lny, bielały pod blaskiem słońca rozciągnięte płótna i niewidzialne przedtém, nakształt skrawków drogiéj materyi, tu i owdzie przebłyskiwały błękitne smugi Niemna.

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił gwar niezwykły. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały się powitalne wykrzyki. Ze wszystkich dróg przerzynających równinę, ku Fabianowéj zagrodzie zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatyrowieckich zagród. Nakoniec, kilkanaście niewyprzężonych żółtych i zielonych, jedno i dwukonnych bryczek napełniło podwórko zagrody i kilka jeszcze najbliższych podwórek; kilkanaście osiodłanych koni stanęło u różnych płotów; może sto osób różnéj płci i wieku, pstrą i ruchliwą falą okryło ogród, zieloną pomiędzy ogrodem i śliwowym gajem ulicę, i rozlało się aż na drogę, białym pasem u pustego pola sunącą.

Na kilka mil w około powszechnie wiedziano, że byli to *weselniki*, przez Fabiana na gody małżeńskie jego córki pospraszani. Széroko w po-

wiecie słynęła ambicya, mowność, tak do ochoczéj zabawy, jak do zuchwałych zadziérek skłonność Elżusinego ojca, więc chętnie ci i owi. przez szacunek, ciekawość, a najbardziéj nadzieję wesołych tańców i zalotów, dążyli do człowieka, który choć był ubogim, pokrewieństwa i koneksyj posiadał bez liku, a gdyby i z głodu miał mrzéć nazajutrz, przy „okazyi“ wystąpić musiał hucznym sobie panem.

Naturalną było rzeczą, że na weselu Bohatyrowiczówny i Jaśmonta, Bohatyrowiczów i Jaśmontów znajdowało się najwięcéj. Jednak przy powitalnych okrzykach, przy wzajemném przywoływaniu się znajomych, wiele innych nazwisk rozlegało się w powietrzu, i nad trawami lecąc, sięgało spokojnéj, przezroczéj wody Niemna, za którą je echa powtarzały i niosły aż w głębiny boru.

Starzy i młodzi, przybyli tam licznie Zaniewscy ze spokojnych i w dobréj glebie siedzących Zaniewicz i z zaniemeńskich Obuchowców, Obuchowicze, złą sławę mający, bo choć dostatnie i pracowite chłopy, chętniéj od innych awantur szukali, do bójek skłonni, a do maczania języków w czarkach niewstrętliwi. Z za Niemna także przyjechali Osipowicze z Tołoczek., po włosach jak krucze pióra czarnych, i twarzach, jak u posągów kształtnych, rozpoznawać się dający, i Łozowiccy z Soroczyc, hardo w górę podnoszący wąsa, mali a zwinni, z rodzinnéj zgody znani, bo po

cztérech i pięciu w jednych chatach siedząc, zwadami nie obrażali Boga i nie gorszyli ludzi. Staniewscy ze Staniewicz jaśnieli w tłumie wysokiemi czołami, których wczesne łysiny przypominały podgalane głowy pradziadów; a byli tu także z piaszczystych Glindycz ubodzy Glindowie, i z najbliższych Samostrzelnik stateczni Strzałkowscy. Ze Starzyn swat Starzyński przywiózł trzech swoich synów i dwie tylko córki, lecz wzrostem i pełnią krwi ponsowéj za cztéry stanąć mogące, a z Siemaszek przybyli, jak trzy lwy, trzej Domunci, tutejszéj Jadwigi stryjeczni, szérokością bar i obfitością czupryn tak przenoszący wszystkich, jak od wszystkich obecnych niewiast mniejszemi i szczuplejszemi były, przybyłe z dwoma braćmi, dwie Siemaszczanki, delikatne, bladawe, nieśmiałe dziéwczynki, w zatrwożeniu swém ciągle trzymające się razem i po przezroczystéj zieloności gaju przesuwające swe perkalowe sukienki, w błękitne i białe paski. Był tam jeszcze, z dorosłemi dziećmi, stary Korcza, dawno już z zagrodowca na właściciela osobnego folwarczku wyszły; i z wyszukaném imieniem Albin Jaśmont, ekonom z Osowiec, który z rotowym śmiéchem o młodym swoim panu dziwne dziwy rozpowiadał; i Józef Giecołd, mały dzierżawca, z zapadłemi policzkami i zbiédzoną miną, którego małżonka w stérczącym kwiatami kapeluszu i z długim ogonem u wełnianéj sukni, z bryczki wysiadając wy-

soko ukazała grubą nicianą pończochę, a wnet potém zapaliła papierosa, i tak już z zapalonym papiérosem, oczy mrużąc i na nikogo nie patrząc, wyższość swą w pełni uczuwająca, przez ogród do domu dążyła.

Rzeczą zresztą widoczną było, że wszyscy tu zgromadzeni dbali wielce o to, aby odzienie ich było weselu przystojne, ale że pod tym względem nie krępowała ich żadna wcale moda, ani żaden despotyczny zwyczaj. Na sukniach dziéwcząt ukazywały się gdzieniegdzie szczupłe draperye, niejaką pretensyą do elegancyi roszczące, ale powszechnie były to bardzo skromne spódniczki i staniki, kolorowemi paskami objęte, jesienne kwiaty w gładkich warkoczach, gdzieniegdzie złoto udający pierścionek na palcu, a u szyi szpilka z błyszczącém szkiełkiem, u wędrownego przekupnia nabyta.

Mężczyźni prawie różnobarwniejszy przedstawiali widok, niżeli kobiéty. Czarne tużurki mieszały się tutaj z surdutami z białego płótna, obok szarych kurt samodziałowych jaśniały ubrania z kanarkowéj dymki, wśród ciemnych, długich kapot, które nosili najstarsi, nakształt równo ociosanego krzaku zieleniał trawiasty surdut Starzyńskiego. Wszystkiemi barwami świata iskrzyły się na szyjach fantazyjnie związane chustki i krawaty, a tylko u piersi śnieżne przody koszul i po kolana wysokie buty z wpuszczo-

nemi w nie spodniami, ujednostajniały w części ten lud rosły, ogorzały, jednostajnie także karki prosto, a głowy śmiało trzymający.

Był to lud wiejski, ale lud, który nigdy nie podpiérał strasznego gmachu przymusowéj pracy, ani twarzami w dół nie upadał pod piekielną obelgą chłosty. Był to lud, ale lud, za którym w dalekiéj przeszłości jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw, aż dotąd w dusze i na drogi życia kładnące mu zbladłe, lecz jeszcze nie zgasłe promienie. Był to lud namiętnie, niepohamowanie, do waśni zgryźliwych, aż do występku czasem chciwy téj ziemi, którą nakształt kreta kopał w cichości i nizko, ale lud z tą ziemią jak z matką spojony i wszystkie pulsy jéj życia i losów we własnych żyłach i losach czujący. Był to lud ogorzały, w obfitym pocie skąpany, z grubą skórą na twarzach i rękach, ale z gładkiemi i prostemi plecami, wielką siłą ramion i okiem, które, acz na ciasne widnokręgi, patrzyło śmiało i bystro.

Gdziekolwiek stanęła ich większa nieco gromada, tam zdawać się mogło, że z ziemi wyrastał las dębów. Gdziekolwiek żywo i tłumnie zagadali, tam, zda się, przelatywały echa téj mowy, która brzmiała wówczas, gdy Rej z Nagłowic, nad kuflem piwa i zrazem baraniéj pieczeni, gościł w Czarnolesie. Gdziekolwiek zaśmieli się, z pomiędzy warg rumianych błyskały rzędy jak

śnieg białych zębów; gdy zdjęli czapki, ukazywali czoła od policzków bielsze i czupryny płowe, złociste, rudawe, czarne, lecz zawsze jak las obfite i z fantazyą, mającą pozór dumy, odrzucone w górę.

Ale tak wyglądali tylko młodzi. Starsi, niezbyt nawet starzy, chód miewali powolny, mowę rozważną, choć często obfitą, śmiéch rzadki, oblicza zorane. Widać było, że życie, jakie wiedli, bardzo prędko uciszało ich, gasiło, z twarzy im wywabiało rumieńce, a nogi obciążało niewidzialnemi brzemiony. Grubobrzucha postać folwarcznika Korozy i żywa cera Starzyńskiego, stanowiły tu wyjątki. W zamian, chudością ciała przy wysokim wzroście i wyrazem cierpliwego zmęczenia na twarzy, u któréj wisiały długie, czarne wąsy, uderzał Walenty Bohatyrowicz, siedmiorga dzieci ojciec, a właściciel dziesięciomorgowego grunciku; drugi zaś Bohatyrowicz, dla gorliwéj pobożności swéj apostołem oddawna przezwany, wielkiemi ciemnemi szkłami osłaniał zaognione i wpół ślepe oczy.

Podstarzałe lub stare kobiéty, tak samo jak rówieśnicy ich mężczyźni, najczęściéj chude, czasem drobne i delikatne, stérane miały twarze i powolną, choć czasem i w zapalczywość wpadającą mowę, — a jedną tylko posiadały cechę, któréj nie posiadali mężczyźni: ceremonialność obejścia się i poruszeń. W suto wygarnirowanych

kornetach lub nowożytniejszych czépkach, często nawet w prostych chustkach na głowach, w luźnych kaftanach i staroświeckich mantylach, z szérokiemi kołniérzami u szyi i rękami pomarańczową prawie barwą odbijającemi od śnieżnych wygarnirowań rękawów, składały one przed znajomymi układne dygi, wzajem sobie piérwszeństwa na ścieżkach i we drzwiach ustępowały, na górną lub skromną sadziły się mowę.

W całém tém zebraniu, na parę godzin przed południem, uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i *asysta* weselna, jako to: dwaj swatowie, dwie *swanie* i sześć par drużbów, nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze, albo siadali na długich ławach, tu i owdzie ustawionych, na stosie desek pod stodołą, na kamieniach, na nizkich płotkach. Wiedziano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana, i że pora już była wielka wyruszać w drogę do kościoła, lecz brakło jeszcze jednéj z najważniejszych osób asysty, mianowicie: piérwszego *drużbanta*. We wszystkich siedzących, stojących i przechadzających się gromadkach, o tym tylko opóźniającym się, a tak ważnym gościu była mowa.

Nie dziw, że opóźniał się!... taki człowiek! Bogaty, przystojny i z tęgą głową, musiał prze-

cież fanaberyą jakąś okazać i nie dopuścić, aby go za piérwszego lepszego uważano. Mężczyźni mówili o tém, że Kaźmirz Jaśmont, najmniejszym urodzajem ze sto kóp żyta i ze trzydzieści pszenicy na polach swoich użyna, bydła może ze dwadzieścia sztuk posiada i piękne konie hoduje, a potém z zyskiem sprzedaje. Więc téż, dom sobie niedawno zbudował i głośno przed wszystkimi oświadcza, że ożenić się zamyślił, bo mu już kawalerstwo przykrzyć się zaczęło. Lat ma ze trzydzieści dwa, posażnéj sobie upatruje. A jakże! Onby może na to wesele i nie przyjechał wcale, gdyby nie to, że chce mu się Domuntównie z blizkości w oczy popatrzéć. „Aktorka!“ Jedno do drugiego, piękną fortunę we dwoje ufundują. Tylko, że u tego tańca dwa końce. Podobno Domuntówna z kim innym już tak jak prawie jest zaręczona. Pogłosy o tém chodzą, ale może nieprawdziwe.

Podstarzałe zaś kobiéty opowiadały sobie wzajem, jaki to bogacz ten Kaźmirz Jaśmont. Pracować pracuje, bo nikomu ptaki same do garści nie lecą, z pługiem i kosą chodzi, ale dwóch parobków trzyma, złotny zégarek ma, a któréjś niedzieli Michał Zaniewski, za interesem do niego zrana przyszedłszy, w szlafroku go znalazł. W szlafroku sobie siedział, fajkę palił i herbatę pił, jak najpiérwszy arystokrat. Ot jak! Czemu to inszym takie szczęście nigdy nie zaświéci? Ale

widać już Pan Bóg tak chce, żeby jednym były gody, a drugim głody; jednym mąka, a drugim „miękina“ (plewy)!

Dziéwczęta, w ścisłą gromadkę zbite, oczy sobie wyślépiały—na drogę patrząc, a zajmującego kawalera wypatrując. Jedna utrzymywała, że pan Kaźmirz pewno od Jadwiśki dostanie dudka na kościele, bo ona dawno już sobie Jana Bohatyrowicza obrała, i żeby tam niewiadomo co, musi za niego wyjść; druga twierdziła, że pan Jaśmont Janka od Jadwiśki odsadzi, bo daleko, gdzie! może cztéry razy bogatszy; inne chwaliły bardzo oczekiwanego kawalera, mówiąc, że ślicznie tańczy i wiérszami mówi. Delikatne, bladawe, zgrabne Siemaszczanki, trzymając się pod ręce, wsunęły się w grono wysokich i barczystych Bohatyrowiczówien, Jaśmontówien, Zaniewszczanek i Starzyńskich, a że tu obce były i nikogo prawie nie znały, nieśmiało i cichutko zapytywać zaczęły: czy piérwszy drużbant oracyą powié, bo jeżeli taki bogaty, to może téż dumny i oracyi powiedziéć nie zechce. Jedna ze Starzyńskich i dwie Zaniewszczanki od razu mówić zaczęły, że to już od tego zależéć będzie, czy mu się piérwsza drużka upodoba, bo jeżeli nie upodoba się, to może zagrymasi i oracyi nie powié, a jeżeli już powié, to bardzo piękną, bo jego mówienie zupełnie jak woda biegąca, takie płynne, a do tego i wiérszami przyozdabiane. Wysmukła

jak topola, kruczowłosa Osipowiczówna nie wiedziała wcale, kto będzie piérwszą drużką Alżusi, ale Bohatyrowiczówny wiedziały bardzo dobrze, że będzie nią panna Justyna Orzelska z Korczyna, pana Korczyńskiego krewna, i mówiąc o tém, uśmiéchały się do siebie w sposób tak znaczący, że to uwagę wszystkich zwracało.

Wtém, na zielonéj uliczce, od bramy ku domowi wiodącéj, coś rączego, gromkiego, świetnego, zaturkotało, zaparskało, przegalopowało i pod gankiem domu stanęło. Piérwszy drużbant przyjechał. Przyjechał bryczką i jednym koniem, ale jaką bryczką i jakim koniem! Piérwsza świéciła nowiutkiemi okuciami i najpiękniejszą majową barwą; drugi, czarny ogier (weselnicy pomiędzy sobą szeptali, że ze trzysta rubli możnaby było za niego zapłacić i że pochodził z własnego chowu właściciela), kark miał wygięty i sierć aksamitną. Prawie galopem jadąc,—bo sam zapewne czuł, że się spóźnił,—Kaźmirz Jaśmont, w jednéj ręce trzymał rzemienne lejce, drugą nieustannie zdejmował z głowy granatową czapeczkę, tym sposobem wszystkich znajomych witając, a gdy to czynił, oprócz okuć bryczki i aksamitnéj sierści konia, błyskały jeszcze pod słońcem jego złociste, kędzierzawe, w tył od szérokiego czoła odrzucone włosy. Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł,

gdzie kilka minut zaledwie zabawił, poczém znowu na ganek wpadając, gromko zawołał:

— Muzyka!

Na ten okrzyk, z tłumu wypadli trzéj młodzi, széroko na okół znani bracia Zaniewscy, którzy sztukę muzyczną gorliwie uprawiając, na weselach sąsiedzkich, bezinteresownie i tylko dla własnego ukontentowania, a grzecznego sąsiadom usłużenia, do tańca grywali. Od pary już godzin, o ścianę domu stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Amatorowie muzykanci porwali je i z niemi do domu wbiegli. Ku domowi téż pocisnęli się weselnicy wszyscy, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując.

Świetlica Fabiana równie obszérną była jak u Anzelma i Jana, z mniéj tylko gładko otynkowanemi ścianami i starszą podłogą. Zwykłego jéj umeblowania nie było dziś ani śladu, lecz każdy mógł się domyślać, że łóżka z wysokiemi pościelami, komody i skrzynie wyniesiono, dla uczynienia z niéj sali jadalnéj. Pod trzema ścianami stały tam teraz trzy długie stoły, z desek na prędce zbite, białém płótnem ponakrywane, dobrze już napoczętemi pieczeniami, piérogami i sérami zastawione, a zydlami i stołkami otoczone. Pomiędzy stołami, w głębi dość ciasnéj przestrzeni, stali rodzice panny młodéj i rodzice pana młode-

go, dwie swanie i dwaj swatowie. Elżusia, w sukni z białego muślinu i z kawałkiem tiulu, który jéj od włosów aż do ziemi spadał, u boku swego miała narzeczonego, którego szyję obwiązano białym krawatem, tak szérokim i twardym, że najlżejszego nią poruszenia uczynić mu było niepodobna. Daléj plecami do drzwi stało sześć par drużbów: Kaźmirz Jaśmont z Justyną, Witold Korczyński z Antolką Jaśmontówną, Jan Bohatyrowicz z Marylką Zaniewszczanką, Adam Zaniewski ze Stefką Obuchowiczówną, Władysław Osipowicz z Cecylką Staniewską i Michał Bohatyrowicz z Albertą Starzyńską. U drzwi, przy ścianie, stanęła muzyka. Przez otwarte okna promienie bladego słońca, obficie lejąc się do świetlicy, padały na rozstawione po stołach i napoczęte piérogi, pieczenie i séry, na rydzowatą i uroczysty wyraz mającą twarz Fabiana, na śnieżny i krochmalnemi garnirunkami stérczący kornet Fabianowéj, na żółtą twarz i wyfiokowaną głowę Giecołdowéj, na zadarty i od płaczu zaczérwieniony nosek panny młodéj, na czarne i białe surduty drużbów, a białe, błękitne, różowe suknie drużek. Mur takich samych surdutów i sukień, za otwartemi drzwiami świetlicy zaległ sień domu, nieruchomość wszystkich była zupełną, a cisza stała się tak wielką, że wśród niéj słychać tylko było, niby podmuchy wielkiego mie-

cha, w jeden odgłos zléwające się, ciężkie w ścisku oddechy obecnych.

Wtém swania Giecołdowa, ze szczytu swéj wysokiéj i cienkiéj figury z dumą dzierżawczyni na wszystkich patrząca, rzuciła na ziemię niedopalony papiéros i zadeptała go wielką stopą, w prunelowy bucik ubraną. To nagłe przerwanie snadź ulubionéj, lecz z uroczystością momentu niezgodnéj przyjemności, nastąpiło w skutek ruchu przez piérwszego drużbanta uczynionego. Nikt z obecnych głośno nie przyznałby się do tego, ale wszyscy z niepokojem oczekiwali, czy téż wypowié on oracyą, albo jéj nie wypowié, jak to zdarzyło mu się parę razy, gdy zagrymasił i wypowiedziéć jéj nie chciał, dla téj przyczyny, że mu się piérwsza drużka nie upodobała. Jednak, przed kilku minutami, kiedy Fabian, względem nieznającéj się dotąd pary dokonał uroczystego aktu rekomendacyi, wiele osób spostrzegło, że na Justynę bystro popatrzywszy, podaną mu przez nię rękę z nizkim ukłonem i w same koniuszki palców pocałował. Nikt nigdy nie widział, aby komukolwiek w ten sposób się kłaniał. Potém zaś, do towarzyszów drużbantów odwracając się, palcami pstryknął i jak mógł najciszéj zaszeptał:

— Szyk panna! Zdaje się spojrzawszy, miód do gęby kapie!

Jan spłonął cały, i jak zwykle, gdy był wzruszony, w górę spojrzał; inni na znak potwierdze-

nia z cicha cmoknęli, głowami kiwając. Jeden tylko Władysław Osipowicz, któremu czarne włosy, jak krucze skrzydła, unosiły się nad głową, do błękitnookiéj Cecylki, któréj był aspirantem, szepnął:

— Nic ja osobliwego w téj pannie postrzedz nie mogę!

Tymczasem Kaźmirz Jaśmont uczynił poruszenie, które go ze zbitéj w ścisk kompanii nieco wyosobniło, stanął naprzeciw państwa młodych, tuż obok umieszczonéj na stole, wiązkami mirtu piętrzącéj się tacy, rękę w białéj rękawiczce po złocistéj czuprynie przeciągnął, i głosem tak donośnym, że go za oknami i aż w ogrodzie słychać było, mówić zaczął:

— Oto jest wianek, uwity nie z pereł, ani z dyamentów, ale z zielonéj mirty, znak panieński, oku ludzkiemu przypodobujący się, a tobie, panno młoda, w dniu dzisiejszym, chwalebną ozdobą być mający...

Mówiąc to, wskazywał na tacę napełnioną mirtem. Wziął z niéj mały mirtowy wianek i delikatnie go w wyciągniętéj ku państwu młodym ręce trzymając, ciągnął daléj, a coraz dobitniéj i głośniéj:

— Teraz, biérz sobie na uwagę, przenajdostojniejsza paro, te kilka moich myśli, które w następującéj zawrą się formie. Wszak widzisz, panno młoda, że już ostatni przyszedł termin,

w którym ten wieniec, przed oczy twoje reprezentowany, nosić będziesz, bo od dzisiejszego dnia zniknie i nie powróci więcéj na twoję głowę.

Tu, Elżusia zaczęła zcicha chlipać i z wielką trudnością z kieszeni ślubnéj sukni wydobywać chustkę do nosa. Ale drużbant z oczyma w nię wlepionemi, nieprzerwanie ciągnął:

— Ach! piękny to jest laur być panienką! i jakże go nie żałować? Trzeba go oblać rzewnemi łzami, bo jakieżby to było serce téj pięknéj panny, gdyby w dniu dzisiejszym nie płakała? Ale ja tak powiadam, że nic nie ma na świecie przyrodniejszego nad stan małżeński, i że Bóg który utworzył niebo, ziemię i złotne gwiazdy, dla szczęśliwości ludzkiéj i ten stan ustanowił. Niéma tu przyczyny smęcić się i biédować. Bo ty, panno młoda, choć pozbywasz się piastowania matki i ojca, ale nabywasz przyjaciela wiernego, na wiek wieków, aż do końca. A ty, panie młody to weź na uwagę, że Bóg słońcem, a mąż dobrą żoną świat sobie weseli. Gdy tedy już nadszedł ten dzień weselny, od całéj zgromadzonéj asysty i wszystkich tu znajdujących się państwa krewnych, przyjaciół i znajomych, tobie, najdostojniejsza paro, jako wasz piérwszy i najstarszy drużbant, najlepsze życzenia wypowiadam...

Tu, głos nieco zawiesił, a w ścisku, już nawet głośnych oddechów słychać nie było, z takiém wytężeniem oczekiwano dalszych słów drużbanta,

które téż jeszcze dobitniéj i uroczyściej niż przedtém zabrzmiały:

— Niechaj wam życia dzionek wije się jako wianek, w którym jasny kwiat z ciemnym się przemienia, ale wszystkie rozkosz czują, bo się wzajem obejmują. Troski po szczęściu i szczęście po troskach, znosić będziecie w spokojności, jedno od drugiego czerpiąc pocieszenie w przyjaźni i miłości. Cieszcie się, że dnia dzisiejszego w kościele świętym złączy się para, a przez mężczyznę i kobiétę wzajemnie sobie będzie dana wiara. Oto już grzmi muzyka!...

Tu istotnie dwoje skrzypiec i basetla zagrzmiały czémś trochę do hucznego marsza, a trochę do zawiesistego mazura podobném. Tę huczną muzykę głosem przenosząc i tacę mirtem napełnioną w obie ręce ujmując, piérwszy drużbant kończył:

— Czas do kościoła po siódmy sakrament święty jechać, a wprzódy, do kolan rodzicielskich po ojcowskie i macierzyńskie błogosławieństwo upaść. Proszę tedy, panno drużko, niezmarszczoném czołem, wesołém okiem i łaskawą ręką te mirty przyjąć i drużbującym na znak dnia weselnego rozdać!...

Z nizkim ukłonem tacę z mirtem Justynie podawał, ona w zamian położyła na niéj cienką, białą chustkę, z pięknie wyhaftowanemi jego cyframi. Cała twarz wielka, różowa, piegowata,

z szérokiém czołem i zawiesistym wąsem, spłonęła mu zadowoleniem i dumą.

— Gdybym złotny i bryliantowy dar otrzymał, tak ukontentowanymbym nie był, jak jestem z téj pamiątki, rączkami pani przygotowanéj,— wymówił z nizkim ukłonem.

Lecz w téjże chwili, uczuł się pochwyconym w czyjeś ramiona. Był to Witold, drugi po nim drużbant, który nagle i ogniście w oba policzki go pocałował.

— Przepraszam—mówił,—może pan będzie się gniéwał, że przy takiéj małéj znajomości, tak poufale... ale, ślicznie pan tę oracyą powiedziałeś... czy pan ją sam ułożyłeś, czy téż?...

— Częściowo! częściowo!...—odpowiedział, ściskając ręce nowego przyjaciela w szérokich dłoniach tak mocno, że aż biała rękawiczka z chrzęstem pękła.

Wtém muzyka nagle umilkła, i po świetlicy rozchodzić się zaczął do niepoznania zmieniony głos Fabiana. Elżusia jak długa do nóg mu była runęła, a pan młody ze stukiem na kolana upadł, lecz z powodu twardego i szérokiego krawata głowy pochylić nie mogąc, pozór klęczącego kołka zachowywał. Fabian zaś, chociaż go zwyczaj do wypowiadania oracyi koniecznie nie zobowiązywał, przez wzruszenie zmienionym, czy téż umyślnie przybranym, bardzo cienkim głosem przemawiał:

— Dziady i przeddziady nasze na tém samém miejscu gody małżeńskie wyprawowali, gdzie i ja twoje, moja córko, dnia dzisiejszego wyprawuję. Masz wiedziéć, że nie powinnaś być swarna, marnotrawna, języczna, albo ręce za pas zakładać, albo, broń Boże, bałamutniom i pustotom życie swoje poświęcać, ale przyjacielowi swojemu dozgonnemu we wszystkiém pomocna, zgodna i uległa.

W tém miejscu przemowy, Elżusia, pomimo że twarz przy saméj ziemi prawie trzymała i chustką wyciérała oczy, połę surduta narzeczonego mocno pociągnęła i szepnęła:

— Proszę schylić się! Czy to pięknie przy błogosławieństwie ojcowskiém z nosem do góry stérczéć?

Jak na komendę Franuś, nagle i energicznie zgniółt brodą obręcz krawata i czoło ku ziemi pochylił. Fabian właśnie ku niemu mowę zwracał:

— A tobie, mój zięciu, ojcowskiém słowem i sercem zapowiadam, abyś towarzyszkę, którą ci daję, szanował i we wszystkiém jéj był pomocny, zgodny, nieofukliwy, nie grubianin, ale...

Tu, pomimo załzawionych oczu, szorstka kępa wąsów poruszyła się mu jakby do uśmiéchu.

— Ale tak samo i lejców zbytnio żonce nie popuszczaj. A to pamiętaj sobie, że zły gospodarz najpiękniejsze dziedzictwo niedozorem zmarnuje,

a dbający i umiejętny z łada czego uczyni co dobrego. To wam, moje dzieci, ostatniém ojcowskiém słowem i z gruntu serca powiedziawszy, Boga Wszechmogącego o błogosławieństwo i zesłanie na was... wszystkich... łask... i... po... pomyślności...

Teraz już rozpłakał się tak, że końca słów jego nikt dosłyszéć nie mógł, i z kolei błogosławiący młodą parę rodzice pana młodego płakali, i swania Starzyńska rozpłakała się, a swania Giecołdowa, gardząc tkliwością tłumów, powiekami prędko mrugała, aby z pod nich łzy nie wypuścić. Panna młoda, a za nią i pan młody prawie już ryczéć zaczęli. Wtém, za oknem, w mozaice mnóztwa z zewnątrz napełniających je twarzy, ukazała się zżółkła, chuda twarz, z ogromnemi ciemnemi okularami, i Bohatyrowicz Apostoł, ramiona wznosząc, zawołał:

— Przyobiecane jest królestwo niebieskie człowiekowi, który synowi swemu, albo córce swojéj małżeńskie gody wyprawił!

Słowa te były kroplą przepełniającą czarę wzruszenia obecnych, których ogromna już większość wybuchnęła płaczem, a przytém i całować się pomiędzy sobą zaczęła. Płacząc obejmowali się i całowali rodzice panny młodéj i rodzice pana młodego, swatowie i swanie, drużki i drużbantowie; a w świetlicy, za oknami, za drzwiami, przez kilka minut nic więcéj słychać nie

było tylko szlochania, całusy, a wśród szlochań i całusów zaczynane, urywane, niedokończone powinszowania, podziękowania, błogosławieństwa i życzenia. Drużki płacząc i razem śmiejąc się, całując i winszując, kręciły się śród obecnych, wszystkim wiązki mirtu do sukień przypinały.

Piérwszy Kaźmirz Jaśmont, w tém powszechném zamieszaniu i wezbraniu uczuć porządek czynić zaczął. Kilka razy po wzburzoném mrowisku okiem wiodąc, szérokiemi barami niecierpliwie poruszył, kilka razy palcami pstryknął, usta otworzył i zamknął, aż nakoniec czupryną jak grzywą wstrząsnąwszy, wyprostował się jak struna i donioslym głosem krzyknął:

— Jazda!

A potém, niby wieloryb wody, piersią i bokami tłum prąc, a głosem powolne jego brzęczenie przenosząc, wołał ciągle:

— Jazda, państwo! ja-zda! ja-zda! ja-zda!

Przeszło połowa obecnych pocisnęła się ku zaprzężonym bryczkom i osiodłanym koniom, ale piérwszy drużbant, przed tą ściśliwą falą z rozpostartemi ramionami stanął, piersią własną jéj nawał wstrzymując i wołając:

— Wolniéj, państwo! wol-niéj! po porządku! po porządku!

I potém, długo, w tłumie głów, twarzy, surdutów, sukień, rojącym się dokoła bryczek i koni, przesuwała się nieustannie jego granatowa czap-

ka, wiérzch tylko kędzierzawéj czupryny przysłaniająca, a głos nakazujący, dyktatorski, wołał i dyrygował:

— Proszę siadać! Niechajże państwo siadają! Panna młoda ze swoją swanią! Pan młody ze swoim swatem! Druga swania i drugi swat razem! Piérwsza panna drużka! Gdzie piérwsza panna drużka? Proszę za mną! ślicznie proszę! Druga panna drużka, z drugim panem drużbantem... Muzyka! hej! słyszycie tam muzykusy! Zaniewscy, hej! siadać na tę bryczkę... tam za asystą!...

I tak daléj, i tak daléj, przez dobry kwadrans, aż nakoniec wszystko razem runęło, zagrzmiało, zatętniało, wybuchnęło muzyką, śmiéchem, krzykami, parskaniem koni i z gęstego tumanu kurzawy, który wzbił się nad Fabianową zagrodą, wytoczyło się na gładki, spłowiały kobierzec, uścielający szérokie pole, pod blado-złote słońce, w przejrzyste jak kryształ powietrze.

W zagrodzie Fabiana przecież nie zapanowała zupełna cisza. Przynajmniéj połowa zebranego towarzystwa pozostała tu i raczyła się żywnością rozstawioną na stołach, przy których potém, aż do zachodu słońca, coraz zmieniali się biesiadnicy. Do rosołów, pieczeni, kiełbas, naleśników, makaronów, przeplatanych umiarkowanie popijanym miodem i piwem, zasiadano, dla ciasnoty miejsca, partyami z pary dziesiątków osób skła-

danemi. Gdy jedni w świetlicy zajadali, inni, czekając na koléj swoję, lub ją odbywszy, w ogrodzie i na drodze przechadzali się, zalecali, gwarzyli.

Fabian świetlicy nie opuszczał, ugaszczając i zabawiając gości tak gorliwie, że aż obléwał się potem rzęsistym, który co chwila chustką z oblicza, z łysiny i z karku ociérał. Jednak, pomimo gościnności i zwykłéj mówności, każdy mógł poznać, że potajemnie dręczył go dolegliwy frasunek. Mniéj niż zazwyczaj prawił facecyj i przysłów, często obfitą mowę w połowie przerywał i zamyślał się, czoło marszcząc, a kępkę wąsów naprzód wysuwając.

Takiż sam frasunek pomimo zresztą szczérego oddawania się przyjemnościom odpoczynku i zabawy, pomimo powolnego wychylania niedużych czarek miodu i piwa, widoczny był i na innych Bohatyrowiczach, starszych zwłaszcza gospodarzach i ojcach rodzin. Ci i owi, zcicha, albo téż głośno i z rozmachem opowiadali znajomym, z innych okolic przybyłym, o procesie przegranym z panem Korczyńskim i o ciężkiém z téj przyczyny utrapieniu. Niektórzy ponuro pomrukiwali, że po tém weselu wprędce gorzko się przyjdzie „zasmęcić,“ lub téż że to wesele prędko się w płacz zamieni, gdy twardy i „nieubłagliwy“ sąsiad na karkach im z egzekucyą siądzie. A kiedy najweselsi z biesiadników Fabianowi winszowali, że

takie chwalebne gody małżeńskie córce wyprawiał, on rękami zatrząsł, i z wybuchającą już alteracyą troskę swą wygadał.

— Jezu ukrzyżowany! — wołał rozstawiając ramiona, — żebym ja był lepiéj nagle zginął, niżeli takiego zniszczenia i wstydu, jaki mnie wprędce spotka, doczekał! Wesele! wesele! Pewno, że wesele, i to córki tak samo jednéj, jak ta jedna głowa na karku! Ale co z tego? Trzy dni wesela, a do śmierci smutku! Żeby mnie ziemia pochłonęła, nim koniec tego wesela nastąpi, daj Boże!

Inni, strapionych sąsiadów pocieszać usiłowali.

— Nie bójcie się! Więcéj ma Bóg niż rozdał! — wołał ktoś z tłumu.

Bohatyrowicz Apostoł ciemne okulary ku sufitowi zwracając, skruszonym głosem prawił:

— Czasowe to straty, marności tego świata, doczesność... znikomość...

A poważny, niemłody Strzałkowski, w długim surducie z samodziału, do siermięgi podobnym, i z myślącemi oczyma śród stéranéj twarzy, perswadował:

— Cóż robić? Trapić się nie należy, bo i największe trapienie się nic nie pomoże. Pan Korczyński twardy jest i dla biédnych ludzi nieubłagliwy, ani słowa... i my jego znamy... ho! ho! dobrze na swoich skórach poznali... Ale słyszę syna ludzkiego on ma, wilkiem na ludzi nie patrzą-

cego. Może on pośrzednikiem pomiędzy ojcem i sąsiadami stanie...

— Pewno! a jakże! To już i ja sam sobie myślałem! — zwolna potwierdził Walenty Bohatyrowicz.

— Już nam pewno potrzeba udania się do niego wypadnie,—mówili inni.— Już inaczéj nie będzie, tylko że jego na jednacza pomiędzy nami a panem Korczyńskim poprosim.

Fabian, przeciw temu zamiarowi burzył się i buntował. On nikogo prosić o nic nie będzie, ostatnią krowę sprzeda, a jak Łazarz u bogaczowego progu nie legnie. Ale zakrzyczeli go inni.

— Co masz czuprynę jeżyć, kiedy nie mocen jesteś! — wołali. — Tanio teraz tobie przychodzi groźno stawać, a drogo było do procesu tego sąsiadów nie namawiać, albo lepszego i poczciwszego adwokata naleźć. Sam wszystkich na rzeź wydał, a teraz od jedynego ratunku ubiega...

Fabiana wymówki te nadewszystko już gryzły.

— Ja siebie winnym nie sądzę!—tłumaczył się nawpół z gniéwem, nawpół z płaczem;—nikt złego nie chce. Zamyślałem jak najlepiéj dla powszechności naszéj uczynić i Korczyńskiemu za wszystko pomścić. A że mnie zły człowiek oszukał, czy dla tego już na wązkie paski mam być pokrajany!

— Albo to młody pan Korczyński nożem po ciele ci pojedzie?—pokrzykiwali sąsiedzi.— Przed

nim i upokorzyć się nie wstyd, bo on biédzie w oczy nie pluje, ludziom życzliwy jest i ludzkiéj przyjaźni téż szukający.

— Bóg mnie ubij na ciele i na duszy — za głowę chwytając się wyrzekał Fabian, — jeżeli spodziéwałem się, że taki los na mnie padnie i że na starość, przemienię się w Joba o miłosierdzie proszącego.

A Apostoł suche ramiona, w grubych rękawach kapoty ku sufitowi wznosząc, żałośliwie upominał:

— Nie będą synowie pokutować i mrzéć za ojców, ale każdy w swoim grzéchu i w swojéj pokucie umrze!

Tak, nie poweselnemu trochę, starsi w świetlicy gwarzyli; ale młodzieży, napełniającéj ogród i drogę, nie do strapień i smętnych rozmyślań dziś było. Wieczór zbliżał się, nadchodziła pora rozpoczynania tańców, a naprawdę już nawet i nadeszła, bo rzeźwy chłodek wieczoru muskać zaczynał twarze rozgorzałe od jedzenia, rozmów i chichotów; ale, zwlekało się to jakoś dla przyczyn różnych. Naprzód, państwo młodzi z asystą długo za obiadem przesiedzieli, bo u początku jego swat wdał się był w długą oracyą, co słów kilka, niby grzmotem, śmiéchem przerywaną,—a u końca, Apostoł wypowiadał bardzo budujące i nabożne modlitwy i upomnienia; potém, muzykantów zawołano do stołu; a teraz, kiedy i muzykanci

już podjedli, piérwszy drużbant znowu, niezadowolony widocznie i kwaśny, po drodze się przechadzał, lub pośród niéj stawał, ciągle jakby kogoś oczekując i wypatrując, a z nikim, oprócz Domuntów, prawie i mówić nie chcąc.

Z Domuntami widać i dawniéj znał się, a teraz to już przyjaźń z nimi zawiérał i przed nowymi przyjaciółmi popisywał się téż widocznie, bo i swego czarnego źrebca ze stajni wyprowadziwszy, ze wszystkich stron im prezentował, i złoty zegarek co kilka minut z kieszeni kamizelki wyjmując, niby która godzina patrzył, i nakoniec nogę w błyszczącym bucie daleko naprzód wysunąwszy, podjętém z ziemi drewienkiem począł w zębach dłubać, zupełnie tak, jak najpiérwsze arystokraty po jedzeniu czynić zwykli. Jakkolwiek wzrost miał dobry i nieskąpo mierzone bary, przy ogromnych Domuntach prawie małym wyglądał, przenosząc ich w zamian o wiele śmiałością i elegancyą.

Przyłączyło się ku nim wkrótce kilku bojaźni nieznających Obuchowiczów, podszedł w kanarkowém ubraniu i z ręką na kłębie opartą Michał Bohatyrowicz, z wąsami w górę zbliżyli się Łozowiccy, a z nimi razem stanął Staniewski o wysokiém czole, i tak może we dwunastu utworzyli pośród drogi wyborową niby gromadę, odgłosami żywéj rozmowy w ciche powietrze bijącą.

Za nimi, tuż przy drodze, synowie Fabiana: rudawy i chmurny Adam, rudy, pleczysty i wiecznie śmiejący się Julek, śród tłoku innéj młodzieży męzkiéj i dziéwcząt, na oścież i széroko otwiérali salę do tańca. Mieściła się ona w stojącém tuż przy drodze, u krańca ogrodu „gumnie“ (stodole). Stuknęły, skrzypnęły, na oścież rozwarły się wrota gumna, z ciemnéj głębi jego wybuchnęła na ogród i drogę mocna woń napełniającego „torpy“ (przegrody) zboża. Na ganku słupy, rozdzielające tropy z tokiem do młócki przeznaczonym, młodsi synowie Fabiana wdrapywali się jak wiewiórki, zawieszając na nich dobrze oszklone i ściśle zamknięte latarnie. W głębi toku zasiedli muzykanci, instrumentów swych z przeciągłemi piskami i huczeniami próbujący. Z boku, pomiędzy słupami, wązkie ławki obsiadywać zaczęły podstarzałe kobiéty. Środkiem, przechadzały się, pod ręce się trzymając drobne i nieśmiałe Siemaszczanki, na których, pomimo delikatności kształtów i rysów, znać było ubóztwo i pracę. Zresztą wszyscy jeszcze na otwartém powietrzu stali, gdy z pola na drogę skręciły i ku zgromadzeniu dążyć zaczęły dwie postacie: konia i kobiéty. Koń był duży, utrzymany dobrze, ale mocno na jednę nogę kulejący; kobiéta, do szybszego chodu napędzała go wielką gałęzią.

— Jezu! — ozwały się kobiéce głosy w gromadce u wrót gumna stojącéj,— toż to Jadwiśka!

Czy ona rozumu pozbyła się, aby w dzień weselny tak pokazywać się ludziom?

Wysoka, pleczysta, bosa, w krótkiéj samodziałowéj spódnicy i różowym kaftanie, jeszcze na żniwa sprawionym, z rozczochraną kosą na plecach, Domuntówna kulawego konia gałęzią popędzała i mijała świątecznie ustrojone gromadki, o nic nie dbając. Na kilka pozdrowień i zapytań przesłanych jéj z za płotu i od otwartych wrót gumna, basowym głosem, iść nie przestając, odpowiedziała, że parobek wczoraj najlepszego jéj konia skaléczył, więc go dziś sama do konowała zaprowadziła, a teraz ztamtąd wraca. Parobkowi bydlęcia powierzyć nie chciała, boby je gorzéj jeszcze zmarnował.

— Nu! nu! — wołała, gałęzią zlekka po bokach konia uderzając.

Jednéj z gromadek rzuciła pytanie:

— Czy moje bracia z Siemaszek przyjechali?

Piérwszemu drużbantowi ledwie oczy z głowy nie wyskakiwały tak patrzył w nię. Widział ją już raz przedtém, ale dziś podobała mu się więcéj jeszcze niż wtedy. Obu ramionami uderzył się po bokach, palcami zapstrykał.

— Szyk panna! widać zaraz, że gospodynia zawołana i cenę dobrego zwierzęcia zna! Ot, gdybym ja tego konia z blizkości mógł obejrzéć, zarazbym mu co poradził, od wszelkiego konowała lepiéj!

Widać było, że aż trząsł się i do panny, i do konia, że bose nogi, rozczochrana kosa i samodziałowa spódnica panny wcale jéj w oczach jego ujmy nie czyniły, szacunek owszem i szczęśliwą ufność w przymioty jéj budząc. Z blizkości jednak ani na nię, ani na jéj skaleczonego konia popatrzéć nie mógł, bo z drogi na ścieżkę do jéj zagrody wiodącą skręciła. Ktoś, zdala ku niéj zawołał, pytając: czy na tańce przyjdzie? Odkrzyknęła, że może komu tańce w głowie, ale jéj bynajmniéj, bo chorego konia dopatrzyć trzeba i przy dziaduniu siedziéć. Z podniesioną głową i wytężonym słuchem Jaśmont odpowiedzi jéj wysłuchał, potém, jednę rękę kładąc na ramieniu jednego Domunta, a drugą na drugiego, coś do nich poszeptał, a oni zaraz, biegiem puścili się za stryjeczną, i zdala widać było, jak przyjacielsko z dziéwczyną za ręce się ściskali, coś jéj prawili, o coś prosili, a ona opiérała się, przecząco głową trzęsła, nakoniec, znowu ścisnąwszy się z braćmi za ręce, kulawego konia daléj popędziła. Domuntowie zaś, z odkrytemi czuprynami, biegiem ku Jaśmontowi wracali, czapkami machając i zdala wołając:

— Przyjdzie! a jakże! ma się rozumiéć, że przyjdzie! Nie chciała, mówiła, że dziadunia pilnować musi, ale braci posłuchać musiała i obiecała, że przyjdzie!

Usłyszawszy to Kaźmirz Jaśmont, wielką, pie-

gowatą twarz ukontentowaniem rozpromienił, i naprzód na złoty zegarek spojrzał, a potém, z kieszeni tużurka skórzaną papiérośnicę wydostawszy, stryjecznych Jadwigi papiérosami częstował.

W téj saméj prawie chwili, z innéj już strony, bo od korczyńskiego dworu, nadchodziły dwie kobiéty: jedna bardzo wysoka, w czarnéj mantyli, z wysokim grzebieniem nad włosami, druga znacznie niższa, w białéj sukni z różową opaską. Witold, który sporéj i zaciekawionéj gromadce młodzieży z ożywieniem prawił o użyźnianiu przez uprawę łubinu ziemi niemającéj pastwisk, spostrzegłszy nadchodzące kobiéty, rzucił się ku nim i obie w ręce ucałował. Justyna nadeszła także i Fabianowa, którą dziéwczęta z wielkim krzykiem z gumna wywołały, menuetowe swe dygi, już o Giecołdach napomykając, przed panną Martą Korczyńską wykonywała.

Działo się to pod samą ścianą gumna, lasem chwastów obrosłą, ku któréj, ze strony przeciwnéj, od Anzelmowéj zagrody, posuwała się hałaśliwa i pełna śmiéchów gromadka. Była tam panna młoda, ślubną swoją suknią jaśniejąca, i z pomocą męża, jako téż kilku dziéwcząt i chłopców gwałtem na wesele swe przywodząca sąsiada Anzelma. Nie miał przyjść wcale; nie mógł dobrowolnie wmieszać się w gwary, w hałasy, w tłumliwe gadania; zamknął się był nawet

w swoim przeciwku; ale go tam szarańcza weselna opadła, pod przewodnictwem panny młodéj, która piérwsza przez otwarte okno do wnętrza przeciwka wskoczyła. Dopóty go hrabią, mrukiem, gardzicielem i tetrykiem przezywali, dopóty prosili i piekielnie nad samemi uszami hałasowali, aż zgodził się pójść z nimi na godzinkę, na jednę godzinkę, byle państwu młodym téj ubligi nie uczynić, że blizki krewny i najbliższy sąsiad, weselnemi godami ich wzgardził. Tyle tylko uprosił sobie, że pozwolili mu nowe buty wdziać i czarnym krawatem kołniérz codziennéj koszuli obwiązać. Teraz już nie opiérał się, tylko wielkiéj baraniéj czapki co moment przed znajomymi uchylając, ze zmąconym wzrokiem i cierpiącym uśmiechem szedł tam, dokąd go Elżusia z jednéj strony, a Franuś z drugiéj, pod ramiona wiedli.

Wtém, gwałtownym prawie ruchem, ramiona swe uwolnił i ściśléj jeszcze otulając się kapotą, z oczami w jeden punkt wlepionemi ku ścianie gumna cofać się zaczął, aż plecami oparł się o nię, po kolana prawie w wysokich chwastach stając. Zobaczył Martę, która zobaczyła go także, i kilka jeszcze szérokich kroków uczyniwszy, stanęła. W czarnéj spódnicy i mantyli, z liliową kokardą u szyi, trochę przygarbiona, jak ciężki słup z podaną naprzód małą, żółtą, pomarszczoną twarzą, przed nim stanęła.

Rozswawolona gromadka, z panią młodą na cze-

le, dokazawszy swego, piérzchnęła w strony różne; oni zaś przez całą minutę na siebie patrzyli. Anzelm, zwolna czapkę nad głową podnosząc, przyciszonym i bardzo zająkliwym głosem zaczął:

— Kopa lat... ko...ko...pa... lat...

A ona także zaczęła:

— Góra z górą... góra z górą...

I wyciągnęła ku niemu swoję dużą, ciemną rękę, którą on powolnym ruchem ujął i w obu dłoniach zatrzymał. Znów milcząc na siebie patrzyli, jéj broda i dolna warga trząść się zaczęła, on głową zwolna kołysał.

— Dwadzieścia trzy lata... dwadzieścia trzy lata... — mówiła.

A on, w skupionéj, jakby osłupiałéj kontemplacyi pogrążony, oczu z niéj nie spuszczając, zaczął:

— Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór...

Urwał, mocniéj głową wstrząsnął, kędyś w bok spojrzał. Ona zarumieniła się tak, jak to w czasie poranku bywać musiało, lecz nagle jakby otrzeźwiawszy, zaśmiała się:

— A pan Anzelm może myśli, że nie postarzał? Oj, oj! Wieczny śmiéch! Nie my jedne starzejemy...

Wyrwał się z toni wspomnień, w którą go pogrążył widok téj kobiéty, rękę jéj ze swoich rąk wypuścił, i z uśmiéchem zażartował:

— Słusznie! A jakże! Starość grubianka, nikogo nie zdobi...

Nie zauważyli, że obstąpiło ich kilku starszych bohatyrowieckich gospodarzy, którzy Martę niegdyś znali i ku niéj szli z powitaniem. Każdy jéj przypominał, jak niegdyś ją w Korczynie widywał; jeden nad długością ubiegłego czasu zastanawiał się, drugi chciał wiedzieć, czy pamięta brata jego, który podówczas kędyś daleko i na zawsze z okolicy wywędrował; trzeci, najstarszy, zcicha coś prawił o swoim synu, o panu Andrzeju Korczyńskim i ruchami głowy na zaniemeński bór ukazywał. Ona wszystkim ściskała ręce, wszystko pamiętała i razem ze wszystkimi głową trzęsła, powtarzając:

— Stare czasy! stare czasy!

Potém, przez Fabianową zapraszana, do gumna weszła, i tam także pośród siedzących na ławie niewiast, sporo dawnych i dawno niewidzianych znajomych swoich ujrzała. Rzuciła się ku niéj, w jasne barwy dnia tego ubrana Starzyńska, i wpół z płaczem, wpół ze śmiéchem swego piérwszego nieboszczyka przypominać jéj zaczęła; podeszła Walentowa i oświadczyła swą dobrą o tém pamięć, że panna Marta niegdyś

w onych starych i inszych, wcale inszych niż teraźniejsze czasach, troje jéj dzieci czytania i pisania nauczyła; zbliżyła się téż i Giecołdowa, rekomendując się jako dzierżawczyni sąsiedniego folwarku i papiérosami ją traktując; inne wypowiadały zdziwienie, że ją tu widzą... Ona, wszystkich powitawszy, na ławie pomiędzy niemi zasiadła, dziwiącym się odpowiadając:

— A cóż robić? moje panie! co robić? Niechciało się kurze na wesele, ale musiała...

Koncept ten wywołał ogólną wesołość i poufałość. O! ona wiedziała, jak z tymi ludźmi mówić i mówić tak lubiła. Siedziała między nimi, o sprawach tyczących się wesela i gospodarstwa rozmawiała, jakby odmłodzona, choć przygarbiona, wesoła jak nigdy, choć trochę zmieszana, wilgotnym wzrokiem po otaczających ją postaciach i twarzach wodząc...

Naprzeciw niéj, Witold, posiadający tu znajomości bez liku, Marynię Kirlankę zaznajamiał z Siemaszczankami, które trzymając się pod ręce, nową znajomość z widoczną radością zawiązywały. Młodziutka panienka, w tym samym stroju, w jakim była na wielkim obiedzie w Korczynie, wyglądała zawsze na przedziwnie świéżą różę polną, i uszczęśliwiona spoczywającym na niéj wzrokiem przyjaciela, obecnością jego ośmielona, serdecznie obie ręce do nowych towarzyszek wyciągała.

Tymczasem, na słupach wznoszących się nad tokiem, Julek świéce w latarniach zapalił; przy tém świetle ukazały się w cieniu torpy pełne zboża i wązkie pomiędzy niemi uliczki, dokoła zaś gumna wrzało. Słońce za bór już zapadło. W szaréj godzinie, za rzadkiemi ogrodami, Niemen tu i owdzie srébrnie połyskiwał. Po ogrodach, trawach, gajach toczyły się męzkie i kobiéce głosy, pojedynczo, chórem, wstydliwie, to niecierpliwie wołające:

— Panie Jaśmont! Jaśmont! panie Kaźmirzu! Kaziu! Panie Jaśmont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Nic już innego prócz tego nazwiska przez kilka minut słychać nie było. Najruchliwsza swania w rozpaczy drogą biegła.

— Bo to — wołała — niewiadomo, czy na pogrzeb, czy na wesele ludzie przyjechali. Owszem, kiedy na Jadwiśkę czeka, to niech sobie do niéj idzie, ale wprzód, jak drużbantowi przynależy, tańce niech rozpocznie... Panie Jaśmont! Gdzież on przepadł? Panie Jaś-mont! Jaśmont! Jaśmont!

Nie przepadł, tylko aż dotąd przechadzając się po drodze ze stryjecznymi Jadwigi, rozmawiał, i z rozmowy téj widać zadowolonym się uczuł, bo zewsząd wykrzykiwane nazwisko swe usłyszawszy, papiérosa na ziemię rzucił, nogą go zadeptał, i ze swanią u rękawa jego uczepioną w wesołych podskokach do gumna wpadł. Tu, bystro wśród

obecnych rozejrzawszy się, przed piérwszą drużką — jak to obowiązkiem jego było — stanął i do tańca ją zaprosił, a gdy ona, na znak przyzwolenia lekko mu się odkłoniła, ku muzykantom rękę wyciągnął i huknął:

— Zaniewscy! Rznijcie!

Muzyka skoczną polkę zagrała; tańce, od godziny już niecierpliwie oczekiwane, rozpoczęto. Na „toku" wirowało par ze dwadzieścia, to jednocześnie, to gdy ścisk zbyt wielkim się stawał, po kilka i kilkanaście. Witold, w roli drugiego drużbanta, naprzód pannę młodę do tańca zaprosił; Elżusia zaś, z ukontentowaniem z ławki poskoczyła, i rękę na ramieniu mu składając, głośno go upominała:

— Bardzo słusznie! tylko niech pan długo tańczy i dobrze trzęsie, bo ja inaczéj nie lubię!

Marynia Kirlanka dostała się jednemu z młodych Siemaszków, a małe Siemaszczanki porwane zostały przez ogromnych Domuntów, co widząc, podżyłe niewiasty na ławach chichotać zaczęły i dzielić się uwagą, że Domuntowie z dzbankami po wodę poszli. Zresztą, pary zmieniały się i dobiérały coraz inaczéj. Niektórzy z kawalerów mieli na rękach glansowane lub bawełniane rękawiczki; ci zaś, liczniejsi, którzy ich nie mieli, przed rozpoczęciem tańca chustkami poowijali sobie rękę, w któréj spoczywać miała ręka ich tancerki; wszyscy, po przetańczeniu, tan-

cerki swoje ku ławom i stołkom, albo przynajmniéj ku ścianom przyprowadzali i na podziękowanie składali przed niemi grzeczne ukłony.

Nie przesadzały dziéwczęta opowiadając, że Kaźmirz Jaśmont ładnie tańczy. Istotnie tancerz był z niego ochoczy i zgrabny, dla tancerek nadzwyczaj dworny, i wszyscy tam prawie poruszali się gibko, raźno, z wielką na boki współtancerzy uwagą, tancerkami, jak piórkami wywijając, a przytupując tak często i gromko, że pod ich stopami tok odzywał się grzmotem. Gadań téż, śmiéchów, konceptów, na ławach i w tłumie, otwarte wrota stodoły zalegającym, było nie mało. Raz, Adam, który nie tańczył, ale u samych drzwi stojąc, z pod brwi, jak zawsze schmurzonych, często ku latarniom wzrokiem rzucał, i na wszystko, co działo się w gumnie, pilną uwagę dawał, wyprostował się i z gniéwu zaczerwieniony, głośno krzyknął:

— Bardzo przepraszam, ale kto tam jest taki dureń, że w gumnie „papirosa“ pali?

Pomiędzy niewiastami zrobił się na te słowa ruch wstydliwy i ironiczny. Żółta iskra, która z za rozmiotanych sukień tancerek przed Adamem była błysnęła, zgasła, a z przeciwnéj strony, rozchichotany głos Starzyńskiéj rzucił odpowiedź:

— Dobrze. Bo to pani Giecołdowa papirosa zapaliła...

Na to znowu podniósł się i zagrzmiał chór śmiéchów kobiécych i męzkich, a niezmieszany bynajmniéj Adam, wcale nie pocichu zdanie swe o zdarzeniu wypowiadał:

— Bo niechaj baba w gumnie nie smali! „hrabinia!“

Kiedy zaś polkę zastąpił kontredans, tańcowany skocznym, przyśpieszonym krokiem, jedni z mężczyzn w balansach széroko ramiona rozstawiali i na środek toku wybiégając, pilnie przyglądali się swoim nogom, inni zaś, do których piérwszy drużbant należał, zachowywali całą powagę i gracyą tańcowi temu właściwą, ale po ukończeniu ostatniéj jego figury, jakby kajdany z nóg pozrzucali, w tak siarczystą puścili się galopadę.

Nie przerwał jéj, lecz tylko nieco ją zmącił przeraźliwy pisk psa, który okrutnie przez kogoś nadeptany, wymykał się z pośród tłumu i naprzeciw którego, tłum rozpychając, biegł wielki, zwykle powolny Julek i pośpiesznie na ręce go schwycił. W tańcach Julek udziału nie brał. Gdzie mu tam było, leniwemu i gapiowatemu, puszczać się w ścisk i skoki! Stał tylko u drzwi, i to na latarnie, to na tańczących patrząc, białe zęby w nieustającym uśmiéchu pokazywał, do Sargasa, który u nóg mu się tulił, czasem mrugając, jakby pocieszał go i upewniał, że zaraz to wszystko się skończy, a oni znowu we dwóch na

Niemen pójdą. Teraz, sporego kundla z pod nóg tańczącym wychwyciwszy, bez uśmiéchu już, owszem, gęsto obrosłą twarzą do jego czarnéj sierści żałośnie się przytulając, wyszedł z gumna i już nie ukazał się tam więcéj.

Tymczasem już Władysław, czy, jak go tu nazywano, Ładyś Osipowicz, ten, co miał włosy jak krucze skrzydła czarne i u skroni rozpostarte, z ramieniem do objęcia błękitnookiéj Cecylki Staniewskiéj już przygotowaném, niecierpliwie zawołał:

— Zaniewscy! do roboty! Polkę grajcie!

Polki téj Justyna już nie tańczyła. Wypadkiem sprowadzonym przez ruchliwość tłumu, znalazła się za ławą i rzędem obsiadujących ją kobiét, w znajdującéj się pomiędzy torpami krótkiéj, cienistéj uliczce. Na drewnianych słupach wiszące latarnie rzucały tu trochę tylko mętnego światła, z torpów bił zapach uschłych ziół i kłosów. Justyna głowę ubraną w grona jarzębin o puszystą i wonną ścianę zeschłego zboża oparła i w zamyśleniu przed siebie patrzyła. Czy zdawała sobie jasną sprawę z przyczyn głębokiego wzruszenia, którém przejmował ją widok tego mrowiącego się przed nią ludu? Zapewne; gdyby przed kilku jeszcze miesiącami znalazła się tutaj, uczułaby się nieznaną pośród nieznanych, zmieszaną, obojętną, może znudzoną. Dla

czegoż teraz serce jéj uderzało mocno, prędko, przyjaźnie? Dla czego?

Boże! przychodziż czasem chwila, w któréj z dna duszy ludzkiéj podnosi się to, co natura na niém posiała i co czekało tylko promienia, powiéwu, aby urość w kwiat, kłos, albo strzałę. Promień ten, powiéw, może nie przybyć, i wówczas człowiek kładnie się do mogiły, samym sobą nie stawszy się nigdy. Ku niéj one przybyły. Z gorzkiego morza cierpień wynurzyła się wtedy, gdy wśród zbóż i bławatków, po raz piérwszy ujrzała ochoczego oracza i jego błękitne oczy, utkwione w nię z tajoną, nieśmiałą tkliwością. Przypomniały się jéj teraz złote łany, pośród których, w upalny dzień lipcowy, sierp z jego ręki przyjęła, i szybkie jak błyskawica wspomnienie zaniosło ją z tego tłumu w głębie zaniemeńskiego boru, na mogiłę, w téj nocnéj porze, grubym zmrokiem obleczoną. Zdało się jéj, że to, co teraz czuła, ztamtąd podówczas w sobie przyniosła, że tych uczuć, których doznała tam i tu doznawała — to jedno. Wszystko, co w dniach ostatnich usłyszała z płomiennych ust Witolda i co w samotnych godzinach przedumała sama, jednym także strumieniem myśli głowę jéj przepływało, i przypomniała sobie jasno, wyraźnie przypominała ów sen swój, czy owo marzenie, w którém, zapaloną lampą świéciła z góry tym domowstwom i tym ludziom, a promienie jéj lam-

py, nićmi światła ślizgały się po dachach, ścieżkach, płotkach, szérokich polach, o starożytny grobowiec, o dwór korczyński, o leśną mogiłę zaczepiając i wszystkie te ułamki jednéj całości jakoby w łańcuch wiążąc. Jakaś niby elektryczna iskra w serce jéj uderzyła, na czoło płomień, a w oczy wilgoć rzucając. Wtém, tuż przy sobie usłyszała głos przyciszony i nieśmiały, który przemówił:

— Dziesięć lat krócéj żyć chciałbym, byle wiedzieć o czém pani tak zamyśliła się w tym momencie?

Jan Bohatyrowicz nie tańczył dotąd wcale. Do pocztu drużbantów należał; jednak, ani wystroił się po weseluemu, ani wesołości najmniejszéj nie okazywał. Krótką siermiężkę swoję, zielonemi taśmami ozdobioną, przywdział, białym muślinem kołniérz cienkiéj koszuli przewiązał, i wcale nie zdawał się dbać o to, co tam ludzie o jego odzieniu i zasępieniu myśléć lub mówić będą. Wyglądał tak, jakby mu coś potajemnego serce zjadało. Ledwie przywitał się z tym i owym, od początku tańców w kącie przy muzykantach stał, z ramionami u piersi skrzyżowanemi i poprzeczną zmarszczką na czole. Kiedy niekiedy tylko na tańczący tłum spoglądał, kogoś w nim upatrując, i wtedy oczy błyskawicami mu połyskiwały; zresztą, pannom, które go kilka razy zaczepiły, oburkliwie i nawet trochę ironicznie odpowiadał, od

rówieśników usuwał się jak od ognia; matki, przemocą go do tańca ciągnącéj, naprzód prosił, aby mu pokój dała, a potém, wprost ją ofuknął. Nikt mu téż nie dokuczał, ani go niepokoił; ludzi było wielu i bez jednego łatwo wszyscy obejść się mogli.

Jednak tu i owdzie o nim gadano. Podstarzałe kobiéty szczególniéj, w pochmurności jego węszyły jakąś niezwykłą historyą. Jadwiśka Domuntówna na wesele nie przychodzi, Janek tak wygląda, jak gdyby wczoraj ojca i matkę pochował... Widać, pokłócili się z sobą, a może téż wszystko pomiędzy nimi już i rozerwane. Z drugiéj strony, co się tam miało rozrywać, kiedy podobno nic jak się należy związaném jeszcze nie było? O zaręczynach nikt nie słyszał, tyle tylko, że tam jego stryjaszek i jéj dziadunio, jeszcze kiedy przytomniejszym niż teraz był, pomiędzy sobą to małżeństwo układali. Może on i dla inszéj przyczyny pokazuje się takim sępem? Może to u nich melancholia i tetryctwo w rodzie. Nieboszczyk jego ojciec taki był zawsze pogrążony w sobie i mrukowaty; stryj na ciężką chandrę w kwiecie lat swoich zapadł, a obaj górnie zawsze myśleli, przez co Jerzy zginął marnie, a Anzelm téż niezupełnie po ludzku życie strawił. Może Janek przyrodził się do ojca i stryja? Zawsze wesoły bywał, do tańca i do różańca stający, osobliwie téż w śpiéwaniu prześcigał wszystkich.

Ale do pory dzban wodę nosi i na każdego taki moment przyjść musi, w którym prawdziwe jego przyrodzenie na wiérzch wyłazi. Przyrodzenie, gdybyś i widłami odpychał, powraca. Widać, że i on taki sam będzie pogrążony w sobie i górnie myślący, jakimi byli jego ojciec i stryj...

Przyszła jednak chwila, w któréj Jan, wzrokiem ku uliczce pomiędzy torpami rzuciwszy, oczami błysnął, pomiędzy ławą a ścianą przesunął się, w przyćmionéj jéj głębi się znalazł i nad głową Justyny, nieśmiało, zcicha wymówił:

— Pani zapytuje dla jakiéj przyczyny ja markotny jestem i nie tańczę? Przed panią jedną to wypowiém, że podczas takie wątpliwości mnie oblegają, że ni to żywy, ni to umarły chodzę i na dnie Niemna prawie wolałbym leżéć, niż z takiemi wątpliwościami żyć...

Justyna cichych tych słów słuchała z pochyloną głową, i jak najprostsza wiejska dziéwczyna, ze zbożowéj ściany do któréj się przycisnęła, długie słomy i kruche źdźbła uschłych ziół wywlekała. Czuła, że głowę jéj płomieniem ogarnia wzrok uporczywy i namiętny, i słyszała szept cichszy jeszcze niż przedtém:

— Cudnie te jarzębiny czarne włoski pani ubiérają... i sukienka ta sama, która była pod ten czas, jak spólnie jeździliśmy na Mogiłę...

Chwilę milczał, a potém poprosił:

— Żebym ja mógł jedną gałązkę téj jarzębiny dostać... zdaje się, że już i przez to szczęśliwy byłbym!

Szybkim ruchem ponsowe grono od białego stanika odpięła, i podając mu je, głowę podniosła. Kilka sekund patrzyli na siebie, oboje spłonieni i prawie drżący... Potém, on, gestem namiętnéj radości włosy z czoła odrzuciwszy, gałązkę jarzębiny u guzika siermiężki umieścił.

Wtém, u wrót gumna zrobił się ruch niezwykły: rozstępowano się tam przed kimś, kogoś witano. Muzyka grać przestała, Kaźmirz Jaśmont, w posuwistych podskokach ku wrotom pobiegł; za nim skoczyli Domuntowie i kilka dziéwcząt pośpieszyło. Na salę tańców weszła Domuntówna, ale Domuntówna w metamorfozie. Kto ją przedtém bosą, rozczochraną i kulawego konia pędzącą widział, z trudnością teraz poznawał. Suknię miała amarantową, obfitemi draperyami obwieszoną, a z tyłu w ogromną turniurę zaopatrzoną. Było to arcydzieło krawca z najbliższego miasteczka, w którém téż zapewne kupiła wielkie złote liście z pozłacanego papiéru, przystrajające jéj wysoko spiętrzone i od pomady świécące włosy. Na rękach miała białe rękawiczki, w ręku papiérowy wachlarz, malowany, a od całéj jéj osoby biły błyski złoto i srébro udających szpilek, kolczyków, bransolet. Szła wyprostowana, bardzo na twarzy czerwona, śmiała,

lecz ponura. Dziadunio w śnieżnéj kapocie, we wrotach gumna, przez Witolda i kilku innych ludzi otoczony i zatrzymany został, a ona zaledwie parę kroków na toku uczyniła, spostrzegła dwie osoby: pannę i kawalera, z cienistéj pomiędzy torpami uliczki wychylających się pod światło latarni. Stali bardzo blizko siebie, panna jarzębiny na głowie miała, a kawaler, w pętlicy ubrania. Widok ten niby pięścią w pierś jéj uderzył; wydęła usta, a pod sobolowemi brwiami szafir jéj oczu roziskrzył się i naokół gniéwne błyskawice cisnął.

We wrotach rozlegały się wesołe śmiéchy. Dziadunio uporczywie Witolda Korczyńskiego za ojca jego, Benedykta, poczytywał, a o dziadku, Stanisławie, mówił jak o obecnie żyjącym dziedzicu Korczyna. Że pradziad Dominik już nie żył, o tém pamiętał, a wywijając w górze zeschłym palcem, z łuną radości na wyłysiałém czole, wspominał:

— Dobry był z pana Dominika kompan... o! dobry... pamiętam... jakeśmy razem w trzydziestym i piérwszym roku...

Witold go u ściany na stołku sadzał i sam przy nim siadając, chciwie o stare historye prosił. Z drugiéj strony, szczupłą postać staruszka, klęcząc w trawach, obejmowała Marynia Kirlanka, a kilku stojących obok młodych ludzi, rozważało, co też tak ciekawego być może w gadaniu czło-

wieka, który, jeżeli nie cały rozum, to przynajmniéj dobrą jego połowę postradał.

— Żeby tylko ktokolwiek Pacenki nie wspomniał, bo zaraz sfiksuje... — zcicha mówili.

A w gumnie ukazanie się Jadwigi wywołało różne wrażenia. Niektóre z kobiét, usta pootwiérały, dziwiąc się jéj strojowi. Aż w oczach miga, tak się bogato wystroiła. Wiadomo, „aktorka!“ Wśród męzkiéj młodzieży powstały chichoty.

— Żeby Julkowego Sargasa, z tyłu jéj, na téj poduszce położyć, toby się zmieścił!

— Złotnych liści we włosy nakładła i myśli, że pięknie. A to czysta trumna galonami przyozdobiona!

Ale dziéwczęta wcale inaczéj o stroju „aktorki“ myślały. Najwięcéj je uderzał i zachwycał wachlarz. Małe Siemaszczanki, trzymając się pod ręce, dokoła wspaniałéj panny krążyły, przeciągłe okrzyki wydając.

— Jezu! otoż śliczne róże na tym wachlarzu! A te złotne liście zupełnie takie, jak w Łunnie u Matki Bozkiéj na ołtarzu...

Jadwigę te oględziny i dziwowania się niecierpliwiły. Wcale nie dla tych sroczek mordowała się nad strojem przez dwie godziny, a ten, dla kogo to czyniła, stał tam ciągle przy téj... w jarzębinach... Rozgniéwanym wzrokiem na sukienki w błękitne i białe paski rzuciła.

— Dziwowało ciało, czego nie widziało! — sarknęła. — Proszę mi pozwolić przejść, bo z braćmi przywitać się muszę...

Razem z braćmi, którzy ją otoczyli, stanął przy niéj Kaźmirz Jaśmont, a że już raz gdzieś u znajomych widzieli się i rozmawiali z sobą, tedy śmiele przemawiać do niéj zaczął.

Od braci już słyszała Jadwiga i z czułych wejrzeń, które rzucał na nię, miarkować zaczęła, o czém myślał Jaśmont. Więc, szybko wzrokiem ku Janowi rzuciwszy, rozweseliła się nagle i dla Kaźmirza uprzejmą się stała. Kiedy tak, to tak! Niechże widzi, że i ją Bóg i ludzie jeszcze nie opuścili! Bardzo układnie i dobranemi wyrazami mówić zaczęła, że smętnie jest, iż lato kończy się, a zaczyna się zima, bo choć letnią porą roboty dużo, ale téż i przyjemności więcéj, a zimową porą nadmiar ją smętek jakiś opada... Na co Jaśmont poważnie odpowiedział, jako wszystkie czasy mają swój czas, a w dekretach bozkich tak zapisano, aby była pora urodzenia i pora umarcia, pora cieszenia się i pora smęcenia. Potém znagła jéj zapytał, czy da wiarę, że ona jemu aż trzy razy śniła się w tym tygodniu? Jadwiga o tém wątpiła, bo gdyby z panem Jaśmontem dobrze znajomą była, to co innego, ale trudno kogoś śnić, tak mało znając. Jaśmont wtedy cicho szepnął:

— Co kto miłuje, to i we śnie czuje... A co się

tycze małéj znajomości, to bynajmniéj! bo ja panny Jadwigi wszystkie tajemnice wiém i w serduszku pani jak w otwartéj książce czytam...

Zaczął jéj znowu coś zcicha mówić, a oczami rzucał na stronę, gdzie stał Janek; ona zaś, zaczerwieniła się jeszcze mocniéj, zaśmiała się głośno i głośno téż odpowiedziała:

— Niech pan będzie upewniony, że ja o tę osobę tak dbam, jak pies o piątą nogę!

Wtedy już i z braćmi i z niektóremi dziéwczętami w głośną rozmowę się wdała, i tylko bacznie na nię patrząc, odkryć było można, że wrzała wewnątrz, a zanosząc się czasem od śmiéchu, końcem wachlarza to jednę, to drugą powiekę przyciskała, oczy zaś jéj tak błyszczały, że Jaśmont je porównywał do bryliantów ognie sypiących, i naprawdę zapatrzył się w nie z upodobaniem szczérém i wielkiém. Tańczyć nie chciała i długo opiérała się namowom braci i konkurenta; jednak rozmyśliła się i przyrzekła, że raz zatańczy, ale chyba krakowiaka, więcéj nic, jednego tylko krakowiaka. Wprzód jednak zobaczy co dziadunio robi i czy mu czego nie potrzeba. Wyszła przed wrota, a Jaśmont pochwyciwszy Witolda za ramię, do ucha mu szeptał:

— Niech pan będzie tak łaskaw i z panną Domuntówną w drugiéj parze do krakowiaka stanie, bo ja z piérwszą panną drużką w piérwszéj parze muszę...

Potém wpadł do gumna i zakręcił się na toku, wołając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Krakowiaka, Zaniewscy!

Zaniewscy, po półgodzinnym odpoczynku, na całe gumno zahuczeli raźnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobiérały się z niejaką trudnością. Nakoniec dobrało się ich dwanaście, z piérwszym drużbantem na czele, który wolałby z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby z piérwszą drużką przodem wybiegł, a wszyscy za nimi w podskokach biegli, głośne hołupce wybijając, i zgrabnie, gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczém szczególném nie wyróżniała się z grona tancerek. Mniéj piękna od kruczowłoséj Osipowiczówny, od Antolki i Siemaszczanek zgrabniejszą nie była, ale miała w tańcu większą niż one powagę i gracyą. Więc lekko na ramieniu tancerza zwieszona, z półuśmiéchem na ponsowych ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie dokoła stojący i siedzący, patrząc na nię, głowami kiwali i szeptali, że z tak piękną panną miłoby było tańczyć do końca świata. Ale najuporczywiéj i coraz ogniściéj z nad rzędu kornetów i czépków ścigał ją wzrokiem Janek, coraz rozkoszniéj uśmiéchać się zaczynał, niecierpliwą stopą parę razy o tok uderzył, aż do

kieszeni siermiężki sięgnął, bawełniane rękawiczki pośpiesznie na ręce włożył i przez obsiadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk i pisk; łokciami jego, a uchowaj Boże! i nogą może zaczepiony czépek Giecołdowéj na ucho jéj się zsunął, co dzierżawczynię bardzo rozgniéwało, a u jéj sąsiadek wywołało głośne współubolewanie i tajemne śmiéchy. Ale, on na zostawione za sobą miny i gniéwy wcale się nie oglądając, parze tańcowi przodującéj drogę zabiegł, rozgłośnie w dłonie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli co to oznacza, więc tancerze natychmiast w tył się cofać zaczęli i obejmować panny za nimi się znajdujące, a tancerka z piérwszéj pary, jak ptak lekki i szczęśliwy, ze wzniesionemi ku niemu oczyma, na ramię Jana spłynęła. On po raz piérwszy kibić jéj obejmując, ukropem na twarzy się oblał i wzrokiem w górę rzucił, lecz potém, jakby radością i dumą szalony, z głośnym hołupcem nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionêm w górę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną, szumnie i dumnie dokoła toku taneczny korowód prowadził.

— No! choć raz pięty do tańca poruszył!— zawołano w tłumie.

On zaś, w tém miejscu gdzie muzykanci siedzieli stanął, inne pary zatrzymał, i pięknym głosem nie tylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szérokie pole, zaśpiéwał:

Świéci księżyc, świéci
Około północy,
Ciebie przestać kochać
Nie jest w mojéj mocy!

Ten przyśpiéwek, poprostu, zachwycił wszystkich, szczególniéj kobiéty. Aż w dłonie uderzyły i chichotały z uwielbienia. Póki dął się, to dął się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniéj mówi, ale do śpiéwania, to już bynajmniéj nie zdatny. Jednak piérwszy drużbant, czy to ambicyą powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tém polu także popisać się spróbował. Po kilku zwrotach tańca, z kolei jak wryty stanął, i bardzo cienkim dyszkantem, nie zupełnie na nótę krakowiaka zaśpiéwał:

Powiérzchowność często myli,
Szczególniéj kobiéty,
Chociaż oczko łzą umili,
Lecz serce, niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale z czém popisywać się nie miał, i przyśpiéwek niestosowny wynalazł, i w słuchaczach obudził zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna, mógł taki cienki głos z siebie dobywać? Wzamian kruczowłosy Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniewską, jakby umyślnie przed matką jéj stanąwszy, prawie tak pięknie jak Janek zaśpiéwał:

Koło domu steczka,
Chowaj matko pieska;
Masz córeczkę ładną,
To ci ją ukradną!

I ogromny Domunt, znowu z malutką Siemaszczanką, więcéj gromko, niż melodyjnie huknął:

Za rzéką, za Niemnem, kukaweczka kuka,
Mam tego za dudka, kto posażnéj szuka!

Ale krakowiak już się kończył i inni choćby chcieli, do śpiéwania nie mieli czasu. A tylko Janek, jeszcze, jak do przyśpiéwków hasło dał, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko, lecz dobitnie wyśpiéwując:

Najpiérwsze kochanie kiedy serce chwyci,
Radością i smętkiem dosyć je nasyci!

Poczém zaraz, tancerkę swoję jak piórko dokoła siebie okręcił i na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jéj do ust przycisnął.

. I w tém jeszcze starszy drużbant chciał go naśladować, ale nie mógł, bo Jadwiga gwałtownie ręce swe mu odebrała, i nie czekając, aby ją, jak to uczynili wszyscy, ku siedzeniu jakiemu odprowadził, ze wzdętą piersią i roziskrzonemi oczyma, ponura i groźna, plecami odwróciła się do niego i z gumna wyszła. Wychodząc, niby burza, oddychała głośno, łokciami i piersią ludzi roztrącała, a wzrokiem ścigała wychodzącą też na otwarte powietrze parę. Ścigała ją wzrokiem i dobrze widziała, jak w jarzębiny ubrana głowa panny, w szczęśliwém niby zapomnieniu, pochylała się ku ramieniu kawalera, który z jarzębiną u szaréj siermiężki, a twarzą w płomieniach, wciąż coś do niéj mówił...

Muzyka grać przestała, młodzież zmęczona i zarazem rozhulana, rozsypała się pod otwartém niebem, na którém gwiazdy przygasać zaczynały przed wschodzącym u dalekiego skrętu rzéki, jakby z jéj toni wyłaniającym się ogromnym, jaskrawym księżycem. Część młodzieży, z pozapalanemi papiérosami, wyszła na pole, ale więcéj było takich, którzy wyrzekając się przyjemności palenia, w blizkości gumna pozostali, pojedynczemi parami rozpraszając się po ogrodzie, zielonéj uliczce i śliwowym gaju.

Gwar przycichł, rozmowy stały się cichsze, gdzieniegdzie zupełnie cicha; pod bladnącemi gwiazdami, skrzydło Erosa, wonią mirtu napojone, łagodnie muskało te głowy, tańcem i śpiewem rozgrzane.

Pod ścianą gumna, na stosie belek i po kolana w chwastach siedząca para szeptała:

— Jak Boga kocham — szeptał mężczyzna, — stryj i brat nadaremnie lękają się i młodemi twemi latami mnie od szczęścia odgradzają. Czy ja zwierz jestem, albo barbarzyniec, abym pracą nad siły kochanéj kobiéty zdrowie nadwerężał? Toż i u brata rączek na krzyż nie składasz, a w mężowskim domu więcéj pracować ci nie przyjdzie, na to przysięgam! Służącą wezmę, sam sobie ręce mozolami okryję, a Antolka przy mnie zbytecznych męczarni nie dozna... Czy Antolka temu wierzy i moję stronę trzyma? czy téż mam, nieszczęśliwy, długo jeszcze siérotą żyć na tym świecie?

Szept kobiécy odpowiedział:

— Pan Michał wié, że ja od stryja i brata zależę. Oni mnie wyhodowali, nijakiéj krzywdy nigdy nie czynili, a przeciwnie, zawsze od nich dobroci i przyjaźni doświadczałam... Co oni zechcą, tego i ja zechcę; jak każą, tak ja postąpię...

— Dobrze! owszem! już Antolki nie namawiam, aby przeciwko stryjowi i bratu sępem stawała... Ale już chciałbym raz się dowiedzieć,

już raz chciałbym tę pewność mieć, że Antolka sama jest za mną...

I jeszcze ciszéj pytał:

— Czy Antolka czuje kiedy, że miłość w serduszku mruczy i spać jak potrzeba nie daje, mój obraz przed oczyma stawiąc?

Niewiadomo jaka była odpowiedź, ale zapewne pomyślna, bo szept męzki śmielszym stał się i nalegającym.

— Gołąbek nawet samiczkę w dzióbek bodzie, kochanie jéj chcąc pokazać! Czyż mnie tyle nawet nie wolno, co gołębiowi? Jak cudzemu mnie przy Antolce siedzieć wonno, ale głodno!

Pod świrnem zaś świeciła biała suknia, a obok niéj wysmukły młodzieniec zcicha przemawiał:

— Tak, moja droga Maryniu, wyjadę ztąd pełen szczęścia, że cię znalazłem taką, o jakiéj marzyłem: prostą, skromną, pracującą, zdolną zrozumieć i ukochać zadania, które kobiéta oświécona i szlachetna dziś pełnić powinna...

— Kiedyż ja, Widziu, tak mało oświéconą jestem, tak mało jeszcze wiém i umiém...

— Prawda, że wiele jeszcze uczyć się musisz, ale nie tylko z książek... od życia i od ludzi także i najwięcéj... Ludzi kochaj, ludzi badaj, z ludźmi żyj...

— A jak pojedziesz, czy napiszesz kiedy do mnie? Czy kiedy przyszlesz mi jaką książkę?

— Będę pisał, będę ci książki przysyłał, i ani przez jeden dzień nie zapomnę o tobie, moja ty najmilsza i najlepsza. A gdy już na zawsze wrócę i w Korczynie zamieszkam, wtedy już nigdy rozstawać się nie będziemy, ale zawsze razem, dla naszych drogich idei walczyć i pracować. Czy dobrze Maryniu? Czy chcesz tego? Dobrze?

U białéj sukni dwie splecione ręce, gestem zachwycenia wzniosły się w górę.

— O, Widziu, Widziu! ty mi niebo na ziemi ukazujesz, i czuję sama, wiém, że na nie zapracować, zasłużyć powinnam!

U brzegu śliwowego gaju stała Jadwiga Domuntówna w gronie kilku dziéwcząt i chłopców, którzy w koło niéj żartobliwą rozmowę wiedli. Piérwszemu drużbantowi, który na fochy swéj bohdanki nie zważając, ani na krok jéj nie odstępował, zarzucano tam niestałość, bałamuctwa, wyrażano wątpliwość, czy ożeni się kiedykolwiek, skoro dotąd tak wesoło kawalerskiego stanu kosztował. On zaś, na Jadwigę spoglądając, bardzo poważnie odpowiadał, że i motyl z grzędy na grzędę przelatuje, nim na jednym kwiatku siędzie, że i nędznemu lżéj nie samemu, a cóż dopiéro kiedy człowiek ma czém podzielić się z przyjacielem dozgonnym! Potém, kołysząc się w strony obie, niby od niechcenia, cienkim dyszkantem zanócił:

Świat mi cały przy tobie staniał i tanieje,
Serce moje za tobą pójdzie w puste knieje!

Ale, ani przymówki, ani przyśpiéwki nic nie pomagały. Jadwiga milcząca i zasępiona, głośno oddychając, z wydętemi usty, zdawała się być upostaciowaniem chmury, pełnéj gromów, tuż, tuż z niéj wypaść mających. Jak nieprzytomna, jak oczarowana patrzyła ciągle w jednę stronę, w tę mianowicie, gdzie opodal, plecami do niéj zwrócona, na nizkim płotku siedziała para ludzi. Rozmowy ich słyszéć nie mogła, ale w zmroku dostrzegła czerwień jarzębin strojących głowę panny... Ta głowa w krucze warkocze i czerwone jarzębiny ubrana, prześladowała dziś ją jak mara, jak ogień parzący, jak urągliwe senne widowisko!

Tymczasem, na nizkim płotku siedząc obok Justyny, Janek cicho ale z zapałem mówił:

— Pani zapytuje, czy doprawdy najpiérwsze? Niech jutro zginę, jeżeli do tego czasu prawdziwe kochanie choć raz do serca mojego zajrzało! A czy to może być inaczéj? Czy ja hrabia, albo arystokrat, aby z kwiatka na kwiatek przelatywać i tylko sobie różne zabawki wymyślać? W naszém wieśniackiém życiu, do bałamuctwa ani czasu, ani ochoty niéma. Jak nie przychodziło kochanie, to nie przychodziło, a jak przyszło, to już i nie przejdzie...

— Czasem jednak przechodzi, — w zamyśleniu rzekła Justyna.

— U państwa każdą rzecz łatwiéj rozwiéwają wiatry, niżeli u nas, a do tego wiele téż i od charakteru zależy. Jaśmont, naprzykład, gdyby Jadwiśki i nie dostał, byłoby mu o to bynajmniéj, bo dla posagu głównie chce ją wziąć, a stryj Anzelm, nie dostawszy téj, któréj żądał, całe życie w samotności strawił, i stary Jakób rozum postradał, zdrady w kochaniu doznawszy...

— A panna Domuntówna czy teraz takiéj zdrady nie doznaje?

Jak oparzony tém zapytaniem, o mało się z płotka nie porwał.

— Już odgadłem, że pani mnie te pytania zadaje z przyczyny Jadwiśki.

Spoważniał, głowę podniósł, wprost na siedzącą przy nim kobiétę śmiałym wzrokiem patrzył.

— Zaklęństw i przysięgań nijakich czynić nie będę, bo gdzie wiary niéma, tam i przyjaźni prawdziwéj być nie może; a tylko to pani z gruntu serca mojego, żadnym ciężkim grzéchem niesplamionego, powiém, że pomiędzy mną i Jadwiśką nigdy nic nie było, że nic jéj nigdy nie oświadczałem i nie przyrzekałem, a tylko z namowy stryja i przez uwagę na jéj poczciwość, byłbym może ożenił się z nią w czasie, gdyby insze wcale słońce na mojém niebie nie błysnęło. To zaś, że ona przylepiła się do mnie jak smoła i ściga mię

swojém nadaremném kochaniem, wybaczyć jéj trzeba, bo od dzieciństwa mnie znając, przyzwyczaić się mogła i odstać jéj trudno... Jednakowoż spodziéwam się, że do upamiętania przyjdzie, a ja przed nią bynajmniéj winnym się nie sądzę... Czy pani mnie wierzy? Jak zbawienia duszy słówka tego czekam: czy pani wierzy?

Uczuła, że na jéj ręce, o płotek opartéj, spoczęła dłoń gorąca, twardą skórą powleczona, a jednak dziwnie miękka, błagalném jakby drżeniem zdjęta... Gumno, świron, chata z oświetlonemi oknami, zakręciły się jéj w oczach, ujrzała na raz wszystkie gwiazdy, osypujące wysokie niebo, i uczuła wszystką krew zbiegającą jéj do serca. Z cicha odpowiedziała:

— Wierzę!

Wtém krzyknęła i oboje na równe nogi zerwali się z płotka. Pomiędzy głowami ich, spory kamień, jakąś silną i zręczną ręką rzucony, świsnął, przeleciał i tylko szyję Janka z lekka drasnąwszy, o kilka kroków na zagon buraków upadł.

Zewsząd rozległy się okrzyki i zapytania:

— Co to? Kto to? Zkąd to? Na co? Za co?

Ale niemało osób widziało, że była to Domuntówna, która prędko schyliwszy się, kamień z ziemi była podjęła i ramieniem zamachnąwszy, na rozmawiającą opodal parę go rzuciła. Trzęsła się przytém tak, jak gdyby ją febra brała. Kogo właściwie ugodzić kamieniem zamyślała: Jana,

czy jego pannę, niewiadomo było; dość, że w mgnieniu oka o jéj postępku dowiedzieli się wszyscy, a w zielonéj uliczce, pomiędzy gajem i ogrodem, wielka powstała wrzawa.

Już i ci, którzy z papiérosami na pole byli wyszli, powrócili, i o zaszłém zdarzeniu różne podnosili głosy. Najwięcéj było takich, którzy je ganili głośno i wyraźnie, żadnych pod tym względem ceremonij nie czyniąc. Już i wprzódy, wyróżniający się strój, nadętość i pochmurność panny, u wielu przychylność dla niéj odjęły; niektórzy téż z natury do złośliwych ucinków i żartów skłonni byli. Więc poważnie lub z pośmiewiskiem wypowiadane zdania rozlegały się na około.

— Sama siebie postępkiem takim zeszpeciła!

— Śliczna panna! która ze swojém kochaniem, jak dziad z torbą, niechcącemu w oczy lézie!

— Wypchała się jak harmata i kamieniami strzela!

— Dobry aniołeczek! Teraz chyba dudek ją do ołtarza zaprowadzi!

— Dziękuję i za dziedzictwo, kiedy od własnéj żonki nieprzyrodzoną śmiercią mam umiérać!

— Jak koń cygański okryła się blachami i myśli, że ludzi ubijać jéj wolno!

Z drugiéj przecież strony znaleźli się i tacy, którzy się za dziewczyną ujęli. Naprzód Kaźmirz Jaśmont, zrazu zdumiony i oszołomiony, do

przytomności przyszedłszy, palcami pstryknął i zawołał:

— Szyk panna! Bez złego psa i bez strzelby dom od złodzieja obronić potrafi!

Już tak widać wszystko na dobre sobie tłumaczyć umyślił.

A Domuntowie, po stronie swojéj dwóch Siemaszków mający, gromko i groźnie krzyknęli:

— Kto o siestrze naszéj jedno jeszcze złe słowo wypowié, dowié się po czemu u nas czupryny targają!

Wojnę miłującym Obuchowiczom, w to tylko było grać! Jakkolwiek sami przedtém z Jadwigi drwinkowali, teraz skoczyli ku tym, ktorzy piérwsi szukali zaczepki; kilku zaś Bohatyrowiczów i Jaśmontów, w towarzystwie Zaniewskich i Staniewskich, kozłami przy swoich stali, drwinkować nie przestając i oświadczając głośno, że nijakich nakazywaczy się nie lękają, ani napominających apostołów nie potrzebują.

Na burzę srodze zanosić się zaczynało. Już Obuchowicze ku płotom się zbliżali, w zmroku wypatrując, zkądby najlepszego kołka wyrwać; już w gronie przeciwném ten i ów pomrukiwał o pogruchotaniu kości i nakarbowaniu pysków, gdy z pod gruszy, w ogrodzie stojącéj, rozległ się głos donośny i nalegający:

— Za pozwoleniem wszystkich panów, mnie także słówko w tém zamieszaniu rzucić wolno,

bo nie od kogo, tylko odemnie wszystko poszło. Ja nie wiém, kto wymyślił, że panna Domuntówna przez złość na mnie kamień rzuciła, bo to jest nie prawda. Co do rzucenia, ani słowa, — rzuciła, ale nie przez jaką, broń Boże, pomstę, albo zły zamiar, tylko dla zabawy, żeby mnie nastraszyć, a późniéj z mojego strachu drwinkować. Mnie się zdaje, że takiego żartu, choć i grubowatego, za grzéch śmiertelny poczytywać nie można, tém więcéj, kiedy panna jest zacna i nic jéj wcale do zarzucenia niéma. A kiedy ja za ten postępek do panny Domuntówny żadnéj pretensyi nie mam, to i nikt z niéj naigrawać się, albo na gańbę dekretować jéj nie powinien, i jeżeli komu jeszcze to do głowy przyjdzie, wtedy ja spólnie z panami Domuntami postaram się to jemu z głowy wybić!

Stojąc pod gruszą, Jan prawie był niewidzialny, ale w głosie jego usłyszeli wszyscy stanowczość i śmiałość. Tedy wielu ramionami wzruszyło i uwierzyło, albo udało wiarę, że postępek Domuntówny był tylko żartem grubowatéj panny. Kiedy tak, to tak. Jeżeli temu, kto ubligi doświadczył, podoba się ją za płochę zabawkę uważać, to dla jakiéj przyczyny insi za niego ujmować się mają? Z drugiéj strony, Domuntowie z kompanionami także uspakajać zaczęli, bo postępek Jana podobał się im bardzo i humor poprawił. Ucichli tedy i z piérwszym drużbantem

poszli drogą, ku zagrodzie Jadwigi wiodącą, u któréj końca połyskiwała zdala biała kapota jéj dziadunia.

Zaraz bowiem po dokonaniu postępku z kamieniem, Jadwiga cała trzęsąca się jak w febrze, poszła dziadunia szukać, i znalazła go z drugiéj strony gumna, na stołku siedzącego, otoczonego kilku starszymi ludźmi z „okolicy."

Właśnie tym starszym ludziom, pomiędzy którymi znajdował się ekonom z Osowiec, Jaśmont, i dzierżawca Giecołd, historyą z dwunastego roku, o zmarłym u rodzicielskiego płotu oficerze Franusiu opowiadał, gdy wnuczka do niego przypadła i na rękach prawie ze stołka go podniosła.

— Chodźmy do chaty, dziaduniu, chodźmy do chaty! — mówiła. — Dość już my tu pobyli i nabawili się... czas nam we dwoje sobie ostać...

Objęła go ramieniem, tuliła do siebie, i sama do niego się przytulając, w zeschłą rękę go całowała, a drogą ku swojéj zagrodzie wiodła.

— Chodźmy, dziaduńku, chodźmy do własnéj chaty! Rozbiorę dziaduńka, do łóżeczka położę... do spania zakołyszę... mój mileńki, jedynieńki, stareńki dziaduńku.

Im więcéj się od Fabianowéj zagrody oddalała, tém więcéj nad drepczącym w objęciu jéj starcem kwiliła, a łzy, jak paciórki, z oczu jéj na jego kapotę i głowę padały.

W zielonéj zaś uliczce, jedni tylko Obuchowicze z niezadowoleniem jeszcze pomrukiwali, żałując pięknéj sposobności powojowania. Jeden z nich nawet, przed jednym z Siemaszków się zwierzał, że przeszłéj nocy śniło mu się, jakoby gruszki z drzewa rwał, z czego też pewność czerpał, że na tém weselu guzy będą... tymczasem, widać że już na niczém wszystko zejdzie. W zamian, zgodę lubiący, jakkolwiek hardowąsi Łozowieccy, a także stateczni Strzałkowscy, sobie i inszym pokojowego zakończenia sprawy bardzo winszowali, utrzymując, że chamy tylko byle o co za łby się ciągają, w dobréj zaś kompanii hałasy takie, a broń Boże, bitwy, wcale są nieprzystojne.

Zresztą, zaszła okoliczność, która od świéżego zdarzenia uwagę powszechną zupełnie już odwróciła. Z podwórka na uliczkę wybiegł w wielkim pędzie Julek, mając za sobą skaczącego i radośnie skomlącego Sargasa i na cały głos zawołał:

— Na Niemen! Na Niemen! Wszystkich państwa proszę na Niemen, bo już czajki i czółna przygotowałem... po całéj okolicy zebrałem i na brzegu postawiłem... Na Niemen! proszę na Niemen!

Nigdy prawie nie widywano go takim pędem biegającego i wykrzykującego z takim zapałem, że mu się aż ruda czupryna na wszystkie strony rozwiéwała i oczy iskrzyły się w zmroku, jak u kota. Ale bo też zapraszał teraz wszystkich

do swego właściwego domu i wzywał do zabawy, wśród któréj, jak inni w tańcach i śpiéwaniu, celować mógł, przewodzić, dyrygować. Razem z nim na Niemen gości zapraszał Sargas, ku wszystkim radośnie się rzucając, skomląc, wyskakując, a co moment pyskiem zwracając się ku rzéce i przylatujące od niéj wiaterki nozdrzami w siebie wciągając.

Dziéwczęta piérwsze, przyjaźnie odpowiedziały wezwaniu.

— Pływać! pływać! ze śpiéwaniem pływać! Panie Michale! panie Władysławie! panie Zaniewski! panie Jaśmont! panie Bohatyrowicz! na Niemen popłyniem! Ze śpiéwaniami popłyniem! Na Niemen! Na Niemen!

Tym kobiécym głosom odpowiadały męzkie:

— Jestem! idę! biegnę! do usług! A kto z kim? Panno Kaźmiro! Panno Cecylio! Panno Antonino! Panno Maryo!

I mnóztwo znowu imion i nazwisk leciało po trawach zroszonych, po ogołoconych ogrodach i przerzedzonych gajach, a nad wszystkiemi wykrzykami i odpowiedziami górowało wołanie:

— Na Niemen! Na Niemen!

Ktoś w wielkiém zmieszaniu głosów, potężnym basem nócić zaczynał:

Za Niemen tam precz,
Ach, po cóż za Niemen?
Czy błoń tam kwiecistsza?...

A ku rzéce, któréj imię mnóztwem ech rozlegało się po ciemnym borze i szérokiém polu, z wysokiéj góry, w bladém jeszcze świetle księżyca, schodziło i zbiegało par kilkanaście.

Jan szérokiemi krokami ogród przebywał, widocznie kogoś szukając i we wszystkich stronach upatrując, gdy na rękawie swojéj siermiężki uczuł czyjąś rękę i zaraz mu przed oczyma błysnął czarny warkocz czerwonemi jarzębinami przetykany.

— Popłyniemy!

— Popłyniemy!

— Ale sami... we dwoje... moja droga pani... moja złotna! swojém czółenkiem własném, tém samém, które nas do Mogiły zawiozło.

— Dobrze!

Czółno to stało u stóp Anzelmowéj zagrody, w gęstwinie sitowia ukryte, i Jan tylko wiedział gdzie je znaleźć można. Więc ku Anzelmowéj zagrodzie oboje pobiegli, dla pośpiechu płot przeskoczyli w tém samém prawie miejscu, w którém go tak często Elżusia i Antolka przeskakiwały, a w parę minut byli już pod lipami.

Tu, w miejscu jedném, gałęzie zwieszały się tak nizko, że Justyna, aby pod niemi przebiedz, pochylić się musiała. Jan pochylił się także, i pod tém ciemném sklepieniem, rękę, która nad zroszoną trawą białą suknię unosiła, pochwycił, do ust poniósł i już jéj więcéj z dłoni nie wypu-

ścił. Dłoń w dłoni, z wysokiéj góry, biegli ku przybrzeżnym sitowiom, i ani zauważyli, że za sobą pozostawiali dwoje ludzi, pod lipami na trawie siedzących, i tak przyciszoną rozmową zajętych, że na przebiegającą w pobliżu parę ze swéj strony także uwagi nie zwrócili.

Byli to Anzelm i Marta.

Jakim sposobem i gdzie spotkali się w tłumie po raz drugi? — powiedziećby to mogły chyba stare wspomnienia, które ich ku sobie pociągnęły. Ale tłum prędko opuścili i oddawna już oboje znajdowali się w Anzelmowéj zagrodzie, któréj dom, drzewa, ule, Marta ciekawie i długo oglądała, jedne chwaląc, drugie krytykując, a kiedyniekiedy dawnemu przyjacielowi z doświadczenia zaczerpniętych rad udzielając. Odkąd ściemniało, siedzieli pod lipami na trawie, wspólnie z żółtym Mucykiem, który leżał u nóg pana rozciągnięty, i zdawało się im, że wszystko już sobie powiedzieli, co do powiedzenia mieć mogli. Więc zamilkli, oboje w postawach jednostajnych, policzki na dłoniach opiérając. Po kilku minutach przecież, na bladych wargach Anzelma, pod siwiejącym wąsem, uśmiéch drżéć zaczął. Z tym uśmiéchem, powolnym sposobem swoim mówił:

— Czy panna Marta pamięta, jak piérwszy raz na zaproszenie panów Korczyńskich do Korczyna przyszedłszy i na panią spojrzawszy, gawronem z otwartą gębą stanąłem, aż wszyscy śmiać się ze mnie zaczęli?

Ona zcicha zachichotała:

— Czemużbym pamiętać tego nie miała? Ale dla czego wtedy pan Anzelm tak skołowaciał?

— Ślicznością figury i ognistością oczu pani zdziwiony i oślepiony zostałem...

— Tak, tak to niegdyś było! — głową z wysokim grzebieniem trzęsąc, szepnęła stara panna.

— Tak, tak to było! — potwierdził Anzelm.

Potém ona przemówiła piérwsza:

— A pamięta pan Anzelm, ile to gości zbiérało się wtenczas w Korczynie? jakie to oni plany układali, jakie sprzeczki zawodzili, jakie nadzieje mieli?

— Jak nieboszczyk pan Andrzéj wszystkim przywodził, a nasz Jerzy, nie jeden raz, z narażeniem się, poradą i pomocą jemu służył?

— A tak, tak to było! Wieczny smutek!—szepnęła.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać sprawiedliwy Boże!— baranią czapkę nad głowę podnosząc, wtórował Anzelm.

W parę minut, ona przemówiła znowu:

— A pan Anzelm pamięta, że to ja panu karmazynową czapeczkę uszyłam i otoczyłam ją siwym barankiem?

— A pani pamięta, czyja to rączka mnie, na pagórku piaszczystym, poświęcony medalik na szyi zawieszała?

— Tak, tak to niegdyś było...— powtórzyła.

— Tak, tak to wszystko przeciwne wiatry daleko od nas odniosły...

Wtém umilkli, wyprostowali się, zaczęli patrzéć i słuchać. Przed dwojgiem tych stéranych, prawie u kresu życia stojących ludzi, którzy jedyną złotą chwilę swojéj przeszłości wspominali, świat oblał się morzem liryzmu, roztopionego w promienie i w tony. Księżyc, znacznie już podniósł się na niebie, zmalał, przygasł i łagodném światłem oblėwając wysoką górę i bór przeciwległy, oszklił powiérzchnię rzéki, drobnemi falami pomarszczoną. Pod napowietrzną, blado-złotą lampą księżyca, w wodzie jakby zanurzona, stała kolumna światła, podstawą zwrócona ku powiérzchni rzéki, a ognistą kulą dna jéj sięgająca, pełna wewnętrznych drżeń i migotań. W tych zaś światłach marzących i drżących kilka łodzi i czółen sznurem, a cicho, sunęło po szlaku rzéki, wiosłami szkliste tonie roztrącając i krzesząc w nich złote, przemijające blaski; a z nad łodzi i czółen wzbijał się chór głosów, to potężniéj, to słabiéj, to przeciągléj, to weseléj, rzucający pod niebo, w głębie boru i na wodę nóty dawne, przez świat zapomniane, w odległéj przeszłości drzemiące, a tu, zdające się budzić i z martwych powstawać. Zdawać się mogło, że gdzieś naościéż roztworzyła się jakaś skarbnica pieśni i w tę kotlinę, wysokiemi ścianami od świata odgrodzoną, na tę széroką i poważną rzékę wylėwała wszystkie tę-

sknoty, żale, westchnienia znikłych lat i pokoleń. Więc naprzód rozległa się tęskna piosenka o biédnym żołniérzu, który idzie borem, lasem, przymiérając z głodu czasem. Potém, zleciał tu duch Szopena. Zkąd, jakiemi drogami, na skrzydłach jakiéj miłości i pamięci? Zagadka. Dość, że w nótę mistrza ubrane popłynęły słowa:

— Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiéwa jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było, matko, szczęścia tobie,
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie...

I dziéwczyna zapłakaném okiem skarżyła się na kurhanie nad krynicą:

— Jak ja mogę być wesołą,
Kiedy zdrój w żałobie?
Jak tu z ziemi podnieść czoło,
Kiedy matka w grobie?

A po zapłakanéj dziéwczynie, zaśpiéwał smutny wygnaniec:

— Poleć motylku, poleć tam daléj,
Zaleć, motylku, w lube me strony,
Zanieś westchnienie do ulubionéj,
Zanieś mój uśmiéch do ulubionéj!

Piękna Osipowiczówna, jak smukła topól w świetle księżyca, pośrodku łodzi stojąca, zawiodła piérwsza:

— Szumiała dąbrowa, wojacy jechali,
Mojego Jasieńka na wojnę wołali,
Siadaj, Jasiu, siadaj, konik osiodłany!
Przy kim mnie porzucisz, mój Jasiu kochany?

A po prześpiéwaniu téj pieśni, męzki już tylko chór zagrzmiał, zahuczał inną skargą, innym a ciężkim, w tony zaklętym postrachem:

— Jak to pięknie, jak to ładnie,
Kiedy żołniérz z konia spadnie,
Koledzy nie pożałują,
Jeszcze go końmi stratują!

Jeden woła: Ratuj, ratuj!
Drugi woła: Tratuj, tratuj!
Leci kula, leci kula, leci kula armatowa,
Nieszczęśliwa moja głowa!

I tak daléj, daléj pieśń o niedolach i rozkoszach wojny, niby rotowy ogień, huczała i grzmiała, aż zakończyła się strofą bezbrzeżnéj żałości:

— Trąba woła: trata! trata!
Niéma ojca, ani brata!
Ni żadnego przyjaciela,
Oprócz Boga Zbawiciela!

Nic na niebie, ani na ziemi, nie przeszkadzało szérokiemu rozleganiu się pieśni, śpiéwanych na

łodziach i czółnach, nic ich nie mąciło; woda je srébrnie od szklistéj powiérzchni odbijała, echa podwajały i nieść zdawały się w dal coraz dalszą; lekkie wiatry pogodnéj nocy latały po szczytach boru, który z czasem szumiał zcicha, jakby w głębinach jego spoczywające duchy budziły się, podnosiły i długiemi westchnieniami lub rozrzewnionemi śmiéchy niegdyś im znanym, kochanym pieśniom wtórzyły.

Na wysokiéj górze, pod staremi lipami siedząca para ludzi, patrzyła i słuchała. Oczarował ją oddech przeszłości własnéj i niewłasnéj; melodya świateł i tańców, we dwie kamienne figury zaklęta. To, że byli żywymi ludźmi, poznać można było tylko z ich oczu, ścigających szlaki blasków, które za łodziami powstawały i znikały; z ruchu ręki Anzelma machinalnie głaszczącéj psa u jego nóg leżącego, z głośnego, coraz głośniejszego oddechu Marty. Łodzie zaś dosięgły już stojącéj pod księżycem kolumny światła, i nad zanurzoną w wodzie ognistą jéj kulą, w chwilowém milczeniu przepływały jedna za drugą, ciemne, ciche, lekkie jak widma.

Za kolumną i księżycem, tam, gdzie rzéka wspaniałym ruchem za ścianę boru skręcała, samotny głos męzki śpiéwać zaczął:

— Wyszła dziéwczyna, wyszła jedyna,
Jak różany kwiat...

— To Janek śpiéwa...— rzekł Anzelm.

— Pamięta pan, jakeśmy niegdyś tę piosenkę razem śpiéwali?...— zapytała kobiéta.

— A ja i nie słyszałem już późniéj takiego ślicznego głosu, jaki był podtenczas u pani...

Potrząsła głową:

— Tak, tak to było!

Anzelm w polonezową nótę, poważną i tęskną zasłuchany, z bladym na ustach uśmiéchem sam nócić zaczął:

— Ty rozkwitniesz różą, ty rozkwitniesz różą,
A ja kaliną!

I Marty usta żółte, zwiędłe otworzyły się także; oboje dalekiéj nócie zawtórzyli:

— Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,
A ja łozami,
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
Ja memi łzami.

Anzelm ciągnął jeszcze:

— Ty będziesz panną, ty będziesz panną,
Przy wielkim dworze...

Ale kobiéta obok niego siedząca zakrztusiła się, pochyliła głowę, o podniesione kolana oparła i kaszlała... Tedy i on nócenie przerwawszy, ucha

ku niéj przychylił. Zdało mu się, że nie tylko kaszel dobywał się z jéj piersi... Za rękę ją wziął.

— Nie trzeba płakać!—z powagą przemówił;— płakaniem śmiéchu nie odzyszczesz... ubiegła woda nie wraca... W kwiecie wieku rozłączyliśmy się z sobą, a znów spotkali dziadem i babą. Nie dziwno téż, że opadły nas przypomnienia i romanse. Ale nie w czas już nam do takich rzeczy, a pomyśléć trzeba o tych młodszych, którzy jak latoroście przy zwalonych drzewach przy nas wyrośli. Jedno zachodzi, drugie wschodzi. Może to słońce, które nam smętnie świéciło, dla nich pogodniéj zaświéci. Niechże mnie pani tedy z łaski swojéj powié, czy ta panna Justyna jest doprawdy tak dobrą i zacną panną, jaką się pokazuje? Czy można spodziéwać się, aby do naszego wieśniackiego życia i pracy przy ziemi uzwyczaić się mogła? I czy, broń Boże, mój Janek, przez nią nieszczęśliwszym nie zostanie? Może i pan Korczyński dać mu jéj nie zechce? Może i ona sama w ostatnim momencie od takiego losu ucieczce? Może, to obowiązkiem moim jest, przystojnie, ale z gruntu serca jéj poprosić, aby mojego chłopca zawczasu odtrąciła, bo onby może przez to uleczonym mógł jeszcze zostać?

Kiedy Anzelm mówił, Marta głowę podniosła i potwierdzająco nią kiwała. Kilka razy jeszcze chrząknęła, a potém odparła:

— Prawda! słowo honoru! prawda! Przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór! Wieczna głupota! Mężczyzna zawsze od baby mędrszy. Prawda! Co nam już ze śpiéwania i płakania przyjdzie! O młodych pogadajmy...

O téj saméj porze, w domu Fabiana, którego okna z za gałęzi topoli pobłyskiwały, wrzało, huczało, gotowało się, jak w zamkniętym i na ogniu stojącym kotle. Przed godziną, kiedy młodzież, z wysokiéj góry ku rzéce zbiegała, pośród mnóztwa okrzyków, brzmiał jeden nie najmniéj donośny:

— Panie Witoldzie! panie Korczyński dobrodzieju! prosimy! pokornie prosimy!

Nakoniec z przywoływanym w ogrodzie się spotkawszy, Fabian rękę młodzieńca, pochwycił, i z nizkiemi ukłonami do wnętrza domu go zapraszał.

— Z przyczyny interesu—mówił,— z przyczyny interesu w zabawie panu dobrodziejowi odważam się przeszkodzić... Ale prośbę do pana zanieść umyśliliśmy... my starzy... prośbę do pana...

W głosie jego słychać było wzruszenie, a pomimo że nizko się kłaniał i pokornie prosił, wąsy co moment jeżem mu nad wargami stawały. Witold, Siemaszczankom, które trzymając się pod ręce, w towarzystwie Domunta nadbiegały, Marynię powierzywszy, ochotnie i ciekawie za gospodarzem zagrody poszedł.

W świetlicy, pomimo pootwiéranych okien, gorąco było jak w łaźni; na trzech stołach, jeszcze jadłem zastawionych, paliło się parę lampek, w których skąpém świetle kipiała mozaika ludzkich kształtów i rysów. Na piérwszy rzut oka rozpoznać tam można było tylko postacie siedzące i stojące, do ściany przyparte, na stołach széroko łokcie rozkładające, ramionami i wąsami poruszające. Po kilku minutach dopiéro, z téj zwikłanéj mozaiki wyłaniały się i wyosobniały głowy łysiejące, siwiejące, osiwiałe, czoła zarumienione i spotniałe, twarze barwą do rydzów albo do ziemi podobne. Tak jak pośród młodzieży, bawiącéj się w gumnie i na Niemnie, nikt tu pijanym nie był, ale panujący w świetlicy upał i przez dzień cały, choć wstrzemięźliwie popijane miód i piwo, twarze te oblewały ogniem i potem, w których z dokładnością mistrzowskiéj rzeźby występowały nierówności skór grubych i chropowatych, niezliczone, we wszystkich kierunkach pokrzyżowane, cienkie jak włosy i grube jak palce zmarszczki, brózdy, wyżłobienia.

Było to pokolenie, po którém już długo życie przeciągało swoje pługi i brony, które też pod ego chłodnym strumieniem przygasło, spowolniało, jednak czémś silnie tknięte jeszcze zapłonąć i wybuchnąć mogło. Zapłonęło też i wybuchnęło przy wejściu Witolda. Mnóztwo rąk wyciągnęło

się ku młodzieńcowi, dłoń jego chcąc ścisnąć, i mnóztwo głosów razem mówiło:

— My tu pana na „pośrzednika“ i orędownika naszego zaprosili!

— Na sędzię!

— Na jednacza!

— Przez panów do króla, przez świętych do Boga, a przez syna do ojca...— zaczął Fabian.

— Abyś pan nas osądził i na śmierć albo życie zadekretował,— przerwał mu ktoś inny.

— W jedném gnieździe, nie jednaki ptak się lęgnie; a choć ojciec pański pokazuje się krzywdzicielem i gardzicielem naszym, pan nam pokazałeś się przyjacielem i bratem...

— Z dobrym targ dobry! — huknął ktoś z pod ściany.

— To prawda! a jakże! Przed dobrym i upokorzyć się nie wstyd! — prawił Walenty Bohatyrowicz.

A Apostoł, żałośliwym głosem inne głosy przenosząc, nabożnie wołał:

— Jezusa przed Bogiem Ojcem, a pana przed srogim sąsiadem za ubłagalnika mamy!

Witold zdziwiony zrazu, spoważniał i spochmurniał. Jednak, wybiwszy się z tłumu, żwawym ruchem na stole usiadł i z téj wysokości wszystkie ku niemu zwrócone twarze ogarniając, głośno przemówił:

— Jestem! słucham was! Dziękuję, żeście mię zawołali...

Płomię wystąpiło mu na czoło. Mimowoli rękę w górę podniósł:

— I niech tak w przyszłości swojéj doścignę co ścigam, jak serdecznie was kocham i wszystko dla was uczynić gotów jestem!

Wtedy kilkunastu ich naraz mówić zaczęło; ale Fabian, po krótkich usiłowaniach ten chaos głosów uśmierzył i sam sprawę wyłożyć podjął się.

Była to sprawa dawna, początkiem swoim sięgająca końca młodzieńczych zapałów Benedykta Korczyńskiego, a złożona z mnóztwa drobnych uraz i zajść, jak z mnóztwa atomów składa się gruba chmura. Prawdą było — i Fabian nie zaprzeczał temu,— że pan Korczyński nie jeden raz słuszność miał za sobą, i że nie jeden raz od sąsiadów, wszelakiemi niedostatkami trapionych, stawać mu się mogły krzywdy i ujmy. Ale na różne choroby, są różne sposoby, zaś te, których pan Korczyński używał, po pas w biédę ich wtrącały i wielką gorzkością karmiły. O komarowe sadło każdego przed sądy ciągał; za kłosek snopem, a za snop kopą wynagradzać sobie kazał. A ile razy chcieli i próbowali zgodném słowem, dobrowolną umową te sporki zakończać, nigdy do tego nie dopuszczał. I nie dla tego nie dopuszczał, aby w procesach smak znajdował —

bo wiedzieli dobrze, iż sam jak na krzyżu rozpięty wyglądał, — ale dla téj, że nadmiar już chciwym stał się, a najwięcéj dla téj, że uboższymi gardził, prawie ich za ludzi nie mając...

Tu Fabian, który dotąd więcéj żałosnym, niż rozgniéwanym głosem przemawiał, rękę na kłębie oparł i wąsy najeżył.

— Niechaj mnie darowano będzie—zawołał,— że przed synem na ojca to wypowiadam... Ale w panu dobrodzieju jedyny ratunek obaczywszy, wszystkie skrytości serca otworzyć muszę. Srogi na twarzy jest pan Korczyński i język ma gruby...

— Zawsze tylko jak mruk do człowieka gada, — przerwał ktoś drugi.

Głosy zmieszały się znowu, zawrzały.

— Złemi słowami siecze po duszy, gorzéj niżby rózgami po ciele siekł!...

— Jakby go język od dobrego słowa bolał...

— A jednakowoż może być, że przygłaskaniem prędzejby nas zmusił swojego dobra strzedz, niżeli biciem!

Apostoł, z za tłumu ramion i głów ciemnemi okularami pobłyskując, wołał:

— Z mułu i błota ziemskiego, rodzaju myśmy ludzkiego.

Fabiana głos znowu podniósł się i przetrwał inne.

— I mrówka ma swój gniéw! — wołał, pot z czoła i policzków ociérając. — I myśmy się już dla pana Korczyńskiego wszelakiéj życzliwości pozbyli. Jakie: pomagaj Boże, takie: Bóg zapłać! Wytoczyliśmy panu Korczyńskiemu wojnę, i słuszności swojéj pewność mieliśmy...

Witold, w swobodnéj zrazu postawie na stole siedząc i przez to nad otaczającemi go postaciami i głowami górując, teraz uczynił ruch niespokojny, czy niecierpliwy.

— Moi drodzy—zawołał,— czegoż wy odemnie chcecie? co ja wam na to poradzić mogę? Puśćcie mię...

Ze ściągniętemi brwiami chciał zeskoczyć z wysokiego siedzenia swego, ale otoczono go jeszcze ściśléj, a Fabian za ramię go pochwycił.

— Bóg mnie ubij na duszy i ciele, jeżeli jedném słóweczkiem obrazić pana zamyślałem! — z przerażeniem wołał.

Inni podnieśli proszące głosy, aby wysłuchał ich i ratował. Pozostał więc, ale ruchliwe jego rysy zmieniły wyraz. Z wesołego i niemal swawolnego młodzieńca, jakim był przed godziną, stał się chmurnym, skupionym w sobie, niemal ponurym. Słuchał jednak, a raczéj z natężeniem wsłuchywał się, to w pojedynczo przemawiające głosy, to w wybuchające co chwila gwary. Pokazywano mu jakąś bardzo starą, zżółkłą i prawie spleśniałą mapę, którą Fabian na czyimś

strychu, w jakiéjś spróchniałéj skrzyni znalazł, a na któréj wyraźnie, jak dzień jasno stać miało, że wielki kawał wygonu, het! tam, takiemi a takiemi granicami objęty, nie do pana Korczyńskiego, ale do Bohatyrowieckiéj okolicy należéć powinien. Ho, ho! Gdyby oni ten wygon, niegdyś im widać zrabowany, odebrali, dopiéroby im życie słodkie nastało, a przytém pokazaliby sąsiadowi, że podczas i mały komar wielkiego konia do krwi kąsa!

Fabianowi o to ostatnie, zdaje się, więcéj jeszcze chodziło niż o piérwsze. Sąsiadów do procesu werbował, ale nie zwerbował ich więcéj nad dziesięciu. Ci za wszystkich plecy nastawili i pootwiérali worki. Inszym łydki ze strachu drżały. Ale właśnie najodważniejsi najuboższymi byli. Procesując się, w długi leźli. Adwokat,— któż mógł wiedziéć że był to oszust, skoro tak pięknie i rozumnie gadał? — pomyślny skutek zaprzysięgał, przez dwa lata jak krowy ich doił, aż nakoniec terminu uchybił, apelacyi w porę nie podał i wszystko przepadło. Ale nie koniec na tém: trzeba im jeszcze wielką sumę panu Korczyńskiemu wypłacić i to wprędce, bo już nie przed jednym człowiekiem oświadczał, że ani godziny zwłoki nie udzieli, ani grosza nie daruje, a egzekucyą, gdy tylko czas przyjdzie, bez miłosierdzia cisnąć będzie. Czas zaś jest blizki: najdaléj za dwa tygodnie egzekucya nastąpi, a ra-

zem z nią już chyba skończenie świata, bo żeby nie wiadomo jak starali się, takich wielkich pieniędzy w dziesięciu nie zbiorą i nigdzie nie znajdą. Więc i w nich teraz strach uderzył, rozpoznali, że zagrzęźli w gąszcz nieprzeniknioną i że nijakiego dla nich ratunku niéma, oprócz upokorzenia się i prośby o zmiłowanie.

Teraz ten i ów z płaczem mówił. Fabian także nie tylko już pot z twarzy ociérał. Znowu w ten sam cienki ton wpadł, jakim dziś zrana błogosławił do ślubu córkę.

— Bogiem Ojcem świadczę się — wołał, — że gorzko mnie jest, na starość, Łazarzem u bogaczowego progu żebrzącym zostawać! Na swoję biedę możebym oczy zmrużył, ale cudze łzy na sumieniu nosić zbyt ciężko. Cóż mam nieszczęśliwy robić? Gryźć rzemień, — darmo! Przyszła potrzeba w pokorę uderzyć i syna rodzonego prosić, aby przed swoim ojcem naszym orędownikiem został...

Tu rozpłakał się już rzewnie, ale wstydził się téj słabości, więc chustką pot i łzy po twarzy rozmazując, przerywanym głosem uniewinniał się:

— Płacz utrapionemu nie grzéch... I pies wyje kiedy smętny...

Apostoł zaś wołał:

— Przyjdzie Chrystus sądzić biédnych i bogatych, żywych i umarłych...

Z tłumu wyosobnił się nieco wysoki, chudy, z czarnemi, obwisłemi wąsami Walenty. Na twarzy jego zoranéj i bladéj, wyraz jakby długiego męczeństwa mieszał się z nieograniczoną, cichą cierpliwością. Zcicha, spokojnie mówił, że siedmioro dzieci wyhodował, córki wyposażał, dla synów guwernera przez lat kilka wspólnie z sąsiadami najmował, aby choć czytać i pisać umieli. Nie łatwoż przyszło, z dziesięcio morgowego grunciku wszystko to wydmuchać! Piersi sobie pracą nadwerężył, że dla ciężkiego oddechu trudno mu już za pługiem chodzić. Było jednak, jak było. Bóg nie opuszczał, a ludzie prawie i nie słyszeli o nim, tak spokojnie w swoim zaciszku siedział, horując i za wszystko Bogu dziękując. I choć od pana Korczyńskiego, tak samo jak inni, nie jeden raz złe słowo usłyszał, zniósł to cierpliwie i milcząc, jak ubogiemu przed wielmożnym przystało. Ale oto na starość zgłupiał. Namówiony, do procesu wlazł. Co teraz nastąpi? — nie wié. Pewno przyjdzie gruncik sprzedać, długi pozapłacać i pod kościół z torbą pójść. Wola bozka! Niech i tak będzie! Gdyby jednak pan Korczyński zgodził się poczekać, wypłatę na dłuższy czas rozłożyć, możeby jeszcze, przy pomocy jednego z zięciów, nie bardzo biédnego człowieka, i wyratował się... A żąda tego, bardzo żąda, bo każdemu miło myśléć, że zamknie oczy tam, gdzie je na ten świat otworzył, gdzie téż jego dziady i pradziady...

Nie mógł dokończyć. Łzy toczyły się po spokojnéj przecież, niezmącenie cierpliwéj jego twarzy, a ręce chude, jak ziemia ciemne, dziwnemi jakiemiś garbami okryte, zaciérał i ściskał tak, że aż stawy w palcach trzeszczały.

Witold pochylił się prędko, i te biédne, spracowane, zrozpaczone ręce mocno w swoich ścisnął. Ale wnet inni ich rozdzielili, prośby swe przekładając. Niechby pan Korczyński kontentował się tém, że proces wygrał, a tą karą, którą sąd zadekretował, do reszty ich nie zarzynał. Jeżeli zaś tak już nadmiar pieniędzy tych pożąda, to niech przynajmniéj folgę jaką da, czasu popuści, żeby i swoje odebrać, i ludzi nie pomarnować. Ktoś ze zniechęceniem ręką rzucił:

— Daremne gadanie! Pan Korczyński tego nie uczyni! A co jego nasza pomyślność, czy nasze zmarnowanie się obchodzi?

— Owszem! Barania śmierć, wilcza stypa! — z goryczą zaśmiał się ktoś u ściany stojący.

— Trzy rzeczy są na świecie najgorsze — ze śmiéchem wtrącił drugi: — owad za kołnierzem, wilk w oborze i chciwy sąsiad za miedzą!

— Królowa Saba przed Salomonem przepowiadała, że szatan, zaraziciel dusz ludzkich, królestwo łakomstwa na ten świat sprowadzi, — żałośliwie wołał Apostoł.

Teraz jednak, Strzałkowski, ów poważny człowiek w samodziałowéj siermiędze i z myślącą

twarzą, za stołem siedzący, z zastanowieniem, ale dobitnie mówić zaczął:

— Do mnie, ani do mojéj „okolicy“ ten interes wcale nie należy, ale tak samo, jak Bohatyrowicze, w blizkiém sąsiedztwie pana Korczyńskiego mieszkając, nie jeden raz parzyłem się przy tym samym ogniu i sadzę od niego padającą na sobie niosłem. Jednakże ja tak mówię: żeby pan Korczyński poludzku i pobratersku z nami żył i postępował, możeby i sam na takiéj kalkulacyi lepiéj wychodził, możeby z tego i spólna korzyść wynikała. Bo ja tak mówię: U pana Korczyńskiego dużo ziemi, a u nas dużo rąk; u pana Korczyńskiego większy rozum, a u nas większa siła. Jednego on z nami rzemiosła człowiek, i tyle tylko, że u niego warsztat wielki, a u nas maleńkie. Więc ja tak mówię: Nijak być nie może, aby ręce ziemi, a ziemia rękom, albo żeby rozum nie potrzebny był sile, a znów siła rozumowi; albo téż, aby jednego rzemiosła ludziom nigdy już wcale nie przychodziło spólnie pogadać, pomyśléć i poratować się w potrzebie. Tedy ja tak mówię...

Ale nie pozwolono mu dokończyć. Słowa poważnego sąsiada, jakkolwiek do najmniéj zamożnych należącego — co i po ubraniu jego poznać można było, — nie tylko podobały się zgromadzonym, ale gdy byli już aż do płaczu rozżaleni i na sercu upadli, obudziły w nich znowu ambicyą i wiarę w siebie.

— A pewno! a jakże! a tak jest! — ze wszech stron wołano. — Nie zawsze umiérać kiedy tłuką falą! I my, chwała Bogu, żyjem, choć nas wszelakie biédy i niedostatki gniotą. Z umarłego tylko nijakiéj już korzyści osiągnąć nie można, a u żywego trzeba jéj tylko poszukać. Raz pan Korczyński, na całe pole i przed gromadą ludzi, od próżniaków i hultajów nas łajał, kiedy w gorący czas robotnika naleźć nie mógł, a my w najem do niego iść nie zechcieli. Pewno! Naturalnie! A jakże! Cudzemu, a do tego i gardzicielowi, ciał naszych i dzieci naszych ani na jeden dzień w niewolę nie zaprzedamy, i na pańskie ubligi, albo, broń Boże, i ekonomskie popychanie, dobrowolnie wystawiać się nie będziem. Lepiéj już głód cierpiéć i w zgniłych chatach mieszkać, niżeli w egipcką niewolę za marny piéniądz iść. Ale gdybyśmy w panu Korczyńskim, nie cudzego i nie gardziciela, ale przyjaciela i opiekuna naszego obaczyli, gdyby każdy mógł zaprzysiądz, że na jego polu obchodzenia się ludzkiego dozna, ho! ho!...

Tu kilkanaście głosów zaśmiało się grubo i tryumfująco.

— Zobaczyłby podtenczas pan Korczyński, czy my próżniaki i hultaje! I niemnowéj wodzie płynąć nie łatwiéj, niżby gospodarstwo jego płynęło. Ot, te same kawalery i panny, co teraz w gumnie hulają i na Niemnie pieśni wywodzą, nie le-

niwieby około jego dobra chodzili, a jakby przez to jeden i drugi grosz z jego kieszeni na nas kapnął, toby i wspólny dorobek, i wspólna uciecha z tego wyniknęła. Albożte kawałki ziemi, co u niego tak jak prawie marnują się, bo ani ich ugnoić, ani jak potrzeba zasiać nie silny! Oniby je chciwie w długoletnie dzierżawy brali. Synów swoich rozsadzaliby na tych dzierżawkach, dobroczyńcę swojego błogosławiąc i wiernie jemu według kontraktów uiszczając się. On mrze na piéniądze, bo ma długi i wielkie ekspensa; oni głód wielki na ziemi cierpią, bo małe grunciki, a wiele dzieci mają. Obudwom tedy stronom dogodziłby taki kompromis, i Bóg to wié! może téż obiedwie od ostatniego zginieniaby wyratował. Bo i pan Korczyński nie jak w raju na tym świecie żyje, i nie nadmiar mocno na Korczynie jest ufundowany. Ludziom gąb nie pozatykać, gadają!

I wiele jeszcze różnych uwag i wniosków czynili, do młodego słuchacza swego, a jak go nazwali, do sędzi się swego zwracając, i zawsze kończąc wyrażeniem wątpliwości, aby właściciel Korczyna zechciał przychylić się do ich próśb i żądań, i aby inaczéj na nich, niżeli wilk na barany, albo pan na niewolniki swoje spoglądał.

— A ja tak mówię—raz jeszcze z zastanowieniem odezwał się poważny Strzałkowski: — niechaj głowa nie mówi nogom, że jéj nie potrzebne.

Jak nędznemu, tak téż i bogatemu, lepiéj nie samemu!

A Apostoł przemawiał:

— Anieli chcący nad inszych głowy podnieść, ze wszystkiém upadli!

Teraz ochłonąwszy z piérwszego uniesienia, do zwykłéj powolności mowy i ruchów wracać zaczęli. Przycichły głosy, uspokoiły się rozmachane ramiona. Wielu z tych, którzy środek świetlicy tłumem ruchliwym napełniali, w medytacyjnych postawach na zydlach i stołkach zasiadło. Policzki na dłoniach poopiérali, głowami wstrząsali, ten i ów rozwodził się jeszcze nad wszelakiemi trudnościami ogólnego ich położenia. Jednemu Fabianowi trudno było do równowagi ducha powrócić i językowi milczenie nakazać. Do najbystrzejszych przytém należąc, niektóre rzeczy, dla wielu innych obce lub zapomniane, rozumiał. Na brzegu stołu przysiadł, ramiona skrzyżował, głowę na pierś zwiesił, i w téj melancholijnéj postawie, powolniéj niż wprzódy, lecz długo jeszcze prawił:

— Żebyż to my onegdaj srokom z pod ogonów powylatywali, albo żeby ten, który pokazuje się nieprzyjacielem naszym wczoraj z dopustu bożego, od końca świata przybył, nie taką czulibyśmy gorzkość. Cudzy, to cudzy! Ale my tutaj więcéj prawie niż trzysta lat siedzimy, a panowie Korczyńscy, może półtorasta Korczyn w swoim

rodzie trzymają. Jeden Bóg naszym ojcem i jedna ziemia matką. Tedy gorsze my, niż zwierzęta; bo i między zwierzętami swój swego zna. Wilk wilka nie pożera i kruk krukowi oczu nie wydziobuje...

Ktoś z za stołu przerwał:

— Kto komu teraz swój?

Walenty Bohatyrowicz powoli zawtórował:

— A ma się rozumiéć! Nieboszczyk pan Andrzéj, to był swój!

— A jakże! — ozwały się westchnienia i głosy; — jak jego nie stało, ojca i przewodnika nam nie stało. Krótko on żył na świecie, ale wiele dobrego zrobił, a bez niego, my, jak barany na rzeź odłączone zostali. Ni do kogo przytulić się, ni od kogo rady i światłości zaczerpnąć nie mamy. Zewsząd otoczyły nas granice, których przestąpić nam nie wolno, i znikąd nie spodziéwamy się rady, jak w tym ścisku i ograniczeniu ratować się i postępować. Podczas już myśli takie nas nachodzą, że wnuki, albo może i dzieci nasze, jak jeszcze troszkę rozmnożą się, wszystko porzucą, na koniec świata pójdą, chleba szukać, bo tu już go dla nich nie wystarczy. Już tylko o dusze nasze nieśmiertelne przed Panem Bogiem ubijać się nam trzeba, aby na psie nie zeszły. Nie jeden raz i przy każdéj okazyi my to od pana Korczyńskiego słyszeli, że nadmiar głupi jesteśmy; to znów od szkodników i złodzie-

jów on nas wyzywał. Może to nie ze wszystkiém prawda, ale może trochę i prawda. Jednak winnymi się nie sądzim, bo i mądry zrobi się głupi, gdy go biéda złupi, a każdemu już wiadomo, że muchy gęściéj na wrzodach siadać lubią, niż na zdrowém ciele.

Jak wprzódy hałas i wrzawa, przemieniły się w szmer głosów, rozważnie i zwolna ciekących, tak teraz szmer ten roztapiał się w milczenie. Fala uczuć, oburzeniem i trwogą wzdęta, opadała coraz cichszemi i nieśmielszemi skargami, aż do tych serc zawsze cierpliwych wróciła i umilkła.

Twarze ochłodły i oschły z potu, nie pozbywając się przecież ani jednéj ze swoich niezliczonych brózd i zmarszczek; ręce na stołach posplatane, od okrywającego je białego płótna, jak grudy ziemi lub kromki razowego chléba odbijały. Fabian nawet ucichł, i tylko ciężko dysząc, ze zjeżoną kępą wąsów, kiedy niekiedy pomrukiwał:

— Nie cudzy my tu... nie z końca świata przybłędy... nie sroce z pod ogona wczoraj wyskoczyli... Więcéj niż trzysta lat pomnik naszych fundatorów na téj ziemi stoi... więcéj niż trzysta lat, z ojca na syna, my tę ziemię rękoma naszemi drapiem i potem swoim zléwamy!... Włości nijakich my nigdy nie mieli i nikogo nie gnietli i nie ssali. Dla jakiéjże przyczyny teraz marnie ginąć i przepadać nam wypadło? Dzieci nasze, pod

temi grudkami ziemi, których powiększyć nie jesteśmy silni, jak głodne robaki nie wczas poginą, a wnuki, z dopustu bożego, chyba już na psy zejdą... ród nasz, jak woda z góry do głębokiego rowu, z tego miejsca spłynie, i pamięć o tém, że my tu niegdy żyli, przepadnie...

Przez otwarte okna, wlatywał do świetlicy szelest topoli, a zdaleka, z za wiszącego nad wodą księżyca i w wodzie stojącéj kolumny złotéj, przypływała chóralna, poważna, polonezowa nóta:

— A gdy pomrzemy, a gdy pomrzemy,
Każemy sobie,
Złotne litery, złotne litery
Wyryć na grobie!

IV.

W obszérnym domu korczyńskim paliły się tylko dwa światła: jedno w buduarze pani Emilii, drugie w gabinecie Benedykta. Wielki salon i większa jeszcze sala jadalna pogrążone były w ciemności, którą rozpraszać zaczynały niepewne jeszcze, tu i owdzie na okna i posadzkę kładnące się światła księżyca.

W tym półzmroku, rozlegały się ciężkie, nieustanne kroki. Ktoś przechadzał się po salonie tam i napowrót, snadź w głębokiém zamyśleniu. Zamyślenie to czuć było w miarowém, monotonném stąpaniu przechadzającego się człowieka, a ile razy mijając jedno z okien wchodził w słup księżycowych promieni, ukazywała się w niém na chwilę i wnet znowu mieszała z ciemnością postać jego wysoka, ciężka, z pochyloną głową, założonemi w tył rękoma, zwisającemi na piersi wąsami, tak samotna, jak gdyby pokój ten był pustynią, a on jedynym jéj mieszkańcem.

Jednak, za zamkniętemi drzwiami, nieustannym jego krokom wtórował nieustannie też dźwięczący, przyjemny i delikatny głosik niewieści. Tam, w buduarze oklejonym papiérem w polne kwiatki, kobiéta biała, cicha, cierpiąca, w białym negliżu, wpółleżąca na ponsowym szezlągu, przy świetle lampy, coś bardzo misternego wyrabiała szydełkiem z włóczki i jedwabiu. Druga zaś kobiéta, również delikatna, ale mniéj piękna i strojna, a więcéj zwiędła, z plastrem okrywającym dolną szczękę, śnieżną i łabędzich kształtów szyję wyciągała nad książką, z któréj głośno czytała francuzkie podróże po przylądku amerykańskim, zamieszkiwanym przez lud Eskimosów. Jedna czytała, druga słuchała o krainie lodów, fok, reniferów, chałup ze śniegu, zórz północnych, podbiegunowych nieskończonych nocy. Czasem, przerywały sobie czytanie zamienianemi pytaniami i uwagami. Ręce z szydełkiem na kolana opuszczając, jedna z nich zapytywała:

— Jak myślisz, Tereniu, czy wśród Eskimosów istnieje prawdziwa, gorąca, poetyczna miłość?

Teresa nie odpowiedziała. Zamyśliła się głęboko. Z łabędzią szyją pod światło lampy wyciągniętą, końcami palców dotykała bolącéj i léczniczym plastrem oblepionéj szczęki. Erotyczne tęsknoty i marzenia dreszczami przebiegały wą-

tłe ciała dwu tych kobiét i twarze ich okrywały wyrazem cierpienia.

— Czytaj daléj, Tereniu...

Czytała daléj, ale po kwadransie znowu czytanie przerwać musiała. Za oknem, gdzieś z dołu, podniósł się wielki, poważny, chóralny śpiéw. Pani Emilia od stóp do głowy zadrżała. Przelękłą się. Z rozszérzonemi nieco od przestrachu źrenicami, zapytywała:

— Co to? co to znaczy? co to być może?

Teresa, chociaż także drgnęła nerwowo, wkrótce się domyśliła prawdy i towarzyszkę uspokoiła. Były to pewno śpiéwy tych ludzi, którzy zjechali się na wesele, na które poszła panna służąca Zofia.

— Nieznośni! czytać nam przeszkadzają! O, co za hałas! Moja Tereniu, każ zamknąć okiennice i zapuścić roletę!

Po dwóch minutach okiennica była zamknięta i gruba roleta zapuszczona; do zamkniętego szczelnie buduaru żaden już prawie dźwięk z zewnątrz nie dochodził, a przy głośném czytaniu Teresy, od ściany do ściany i od podłogi do sufitu, wśród zmieszanych woni perfum i lekarstw, napełniły go obrazy niezmierzonych lodowców, nieskończonych nocy, jaskrawych zórz północnych, fok, reniferów i chałup ze śniegu.

Ale po pustym salonie przechadzający się człowiek, przy dolatujących z dołu piérwszych dźwię-

kach chóralnéj pieśni, stanął jak wryty. Stanął w zupełnie ciemnym punkcie salonu, tak, że go wcale widać nie było i stał dość długo. Zapewne słuchał. Może nawet słuch natężał i pochwytywał słowa pieśni:

— „Szumiała dąbrowa, wojacy jechali...“

Znów chodzić zaczął. O, jak to dawno, dawno było, kiedy te dźwięki i te słowa, o jego młode, gorące serce...

Stanął znowu:

— „Nie było, nie było,
Matko, szczęścia tobie...“

Z ciemnego punktu salonu wydobyło się i nad ścielącemi się po posadzce smugami księżyca popłynęło długie westchnienie.

— „Wszystko się zmieniło,
A twa dziatwa w grobie!“

Wyszedł z ciemności i przez pas światła przechodząc, półgłosem powtórzył:

— W grobie! gdybyż wszyscy... w grobie!

Nie mógł słuchać. Nie mógł dłużéj słuchać tych dźwięków i słów, które wzbijając się z pod stóp wysokiéj góry, zdawały się spływać z pro-

miennego szczytu jego świéżéj, górnéj, gorącéj miłości...

Ciężkim, ciągle miarowym, choć przyśpieszonym nieco krokiem przebył sień zupełnie ciemną, salę jadalną, do któréj zaglądał księżyc, i wszedł do gabinetu, oświetlonego palącą się na biurku lampą.

Pokój ten był nie tylko pracownią, ale zarazem sypialnią, i rzecz dziwna! zarówno jak przeciwek Anzelma, przypominał klasztorną celę. Jak tam, tak i tutaj czuć było życie twarde, samotne, z miękkich wybredności i wesołych uciech odarte. Oprócz żelaznego łóżka ze szczupłą pościelą i z pięknym niegdyś, lecz starym dywanem, wielkiego biurka, kilku krzeseł i staréj szafy, po brzegi księgami gospodarskiemi napełnionéj, nic tu więcéj nie było. Na ścianach tylko wisiało kilka rodzinnych fotografij i para strzelb, pośród niedźwiedziéj skóry skrzyżowanych.

Przez wpółotwarte okno, do pokoju tego naleciało mnóztwo białych nadniemeńskich motylków, wzbijało się pod sufit, krążyło dokoła lampy i z rozpiętemi, krepowemi skrzydły padało na okrywające biurko księgi i papiéry. Benedykt usiadł przed biurkiem i wpatrzył się w te śnieżne, skrzydlate stworzonka. Coś mu one przypominały: jakiś moment bardzo odległy, lecz niezmiernie ważny, jakiś w życiu jego punkt zwrotny...

Niegdyś, dawno temu, był wieczór bardzo do tego podobny, równie ciężki i ponury. Te motylki, tak samo jak teraz, kręciły się koło lampy i na rachunkowe książki padały...

On, coś wtedy postanawiał i postanowienia nie dokonał, coś miał uczynić i nie uczynił... Co to było? Brat... syn... A! brat! Wyciągnął rękę, i z pod przycisku wyjął list, już przeczytany, lecz który po raz drugi chciał przeczytać. I wtenczas było tak samo. Wyjmował z pod przycisku list brata, i czytał go, zastanawiał się nad zawartemi w nim radami. Potém już zaledwie kilka razy przez lat kilkanaście zamienili się listami, i to tamten zawsze odzywał się piérwszy, on zaś odpowiadał czasem w lat parę, krótko, zimno... Bo po cóż?

Dziś znowu list od Dominika otrzymał, i miał takie uczucie, jak gdyby każdy jego wyraz spadł mu na serce ciężkim kamieniem, a w sercu piekącą łzą. Już mu się zdawało nie raz, że tyle tylko o bracie pamięta, ile o każdym, najobojętniejszym i bardzo dawno spotykanym człowieku, że wcale on dla niego nie istnieje. Jednak dziś znowu się przekonał, że tak nie było. Swoja krew, swój ból, swoja hańba! Nic nie pomoże. Całą godzinę po salonie chodził, z myślami i wspomnieniami bił się, oburzał, żółcią pluł, a teraz znowu ten list przeklęty z pod przycisku wyjął i czytać zaczął, tak zupełnie jakby rozkosz ostrą

i podniecającą w męczeniu samego siebie znajdował.

„Kochany bracie!

„Zdaje się, że już ze trzy lata od ciebie wiadomości nie miałem; na ostatnie moje *pismo* nie zaszczyciłeś mnie odpowiedzią. Ja jednak piszę, aby *rozdzielić* z tobą moję radość, z dwóch przyczyn wynikającą. Piérwsza przyczyna ta, że już chwała Bogu, jestem od roku tajnym sowietnikiem, a jeżeli Bóg życia przedłużyć raczy, może mnie kiedy i *z krzesłem w senacie powinszujesz. Jakieby tam nie były* twoje przesądy i uprzedzenia, zawsze to miło mieć brata senatora, a tymczasem i tajny sowietnik wstydu tobie nie robi. Przytém, na wypadek jakiego nieszczęścia, czy ważnego interesu, dobrze wiedzieć, że w swoim rodzonym bracie masz dobre plecy. Ot tak, powiodło się mnie na służbie, za co dla naszego ojca wieczną mam wdzięczność, bo gdybym w uniwersytecie nie był i nauki nie miał, nigdybym do tego stopnia, na którym teraz stoję, nie doszedł...“

Benedykt ręce z listem na kolana opuścił; gorzki uśmiéch błądził mu pod długiemi wąsami, oczy szklisto wpatrywały się w przestrzeń. Może przez wyobraźnię wywołana stała przed nim postać ojca, któréj zapytywał:

— Czy w istocie w tym celu?... czy dla takiego rezultatu? Czyś mógł spodziéwać się?... Jeżeli z tamtego świata patrzysz... czy Stwórcy za nieśmiertelność dziękujesz?

Drugą przyczyną radości Dominika, którą dzielił się z dawno niewidzianym bratem, było świetne wydanie za mąż najstarszéj córki. Za pułkownika wyszła. Dla panny bez posagu była to partya świetna. Jakkolwiek bowiem powodziło mu się na służbie, funduszu nie zebrał i córce posagu żadnego dać nie mógł. Wyprawił jéj tylko wesele świetne, którego opis zajmował całą stronnicę listu. Jeden książę, dwóch baronów i cztérech generałów wesele to zaszczyciło. Zresztą, zięć jego, sam za lat kilka pewno generałem zostanie.

Co się tycze dwóch jego synów, jeden był jeszcze małym, a drugi, starszy, kształcił się w szkole wojennéj, czując wielki pociąg do wojskowości.

Potém kilkanaście wierszy listu zajmował opis zabaw i przyjemności, które przez ostatnią zimę napełniały stolicę. Włoska opera była szczytem doskonałości, a kilka balów przewyższyło przepychem wszystkie dotąd widziane...

Nie dokończywszy czytania, Benedykt położył list na biurku. Jak te motylki fruwają, fruwają dokoła lampy i na rachunkowe księgi padają! Rzeźwy wiatr wnika przez wpółotwarte okno

W domu i w sercu cicho, ciemno, ponuro. Kiedy to był taki sam wieczór? A! po owéj rozmowie z żoną, w altanie. Pamięta. Wtedy po raz piérwszy dokładnie rozpoznał ten słodki egoizm i tę wdzięku pełną niedołężność ciała i ducha. Wtedy téż powiedział sobie, że sam jeden z pomiędzy trzech tutaj kołatać się musi; sam jeden pozostał. Cóż? Wszędzie to samo. Z trzech, a gdzieniegdzie i z dziesięciu, nie koniecznie braci, ale rówieśników, przyjaciół, jeden pozostał. Zupełnie tak, jakby z kogoś wyciekł strumień krwi, a tylko tu i owdzie pozostałe jéj krople tułały się po żyłach z osobna, skurczone, skrzepłe...

Ale, co stało się wtedy, owego wieczoru, który do dzisiejszego tak był podobny? Coś go wtedy pocieszyło, podźwignęło, do tego miejsca przykuło... Syn! I jak obraz, ze zmroku na jasny dzień wysunięty, stanął przed nim wyraźny, doskonale widziany moment dalekiéj przeszłości. Otworzyły się drzwi pokoju, wbiegła przez nie istota ludzka młodziutka, swawolna, skacząca, i ze szczebiotem, z pieszczotą, wskoczyła mu na kolana. Drobne ramiona objęły jego szyję, niewinne oczy zajrzały w posępne źrenice, świéże dziecięce usta pocałunkami rozgładziły wszystkie zmarszczki i wszystkie chmury pozdejmowały mu z twarzy.

— Widziu! Kochasz ty Niemen? lubisz ty te motylki? lubisz ten bór za Niemnem, w któreg

głębi, w cieniu jodeł, zapomniany i nieuczczony twój stryj spoczywa snem wiecznym?

Dziecko już wtenczas to wszystko kochało, a on, pokusy i rady, gdzieindziéj go wabiące, odepchnąwszy, wziął znów krzyż swój na barki i — jeden z trzech — tu pozostał...

Co to? Spieszne kroki ozwały się w przyległym pokoju, otworzyły się drzwi, — te same co wówczas, — do gabinetu wbiegł zgrabny, wysmukły, młody mężczyzna. Znowu on! tylko dorosły teraz i tak dojrzały, jakby każdy rok przez niego przeżyty, w widokach i wrażeniach życia, nakształt ziarna w sokach ziemi, nad miarę rósł i nabrzmiéwał. Przez pokój przyległy biegł, ale u drzwi gabinetu zatrzymał się, i prędko oddychając, chustką powiódł po rozognionéj i spotniałéj twarzy. Przybywał widać z miejsca napełnionego upałem i ściskiem, a gdy twarz odsłonił, zdawać się mogło, że owo miejsce było także miejscem męczarni. Niewysłowiona męka biła mu z oczu i zmarszczkami występowała na czoło. Benedykt żywy ruch na fotelu uczynił, naprzód się podał.

— Witold!

Wejście syna było dla ojca niespodzianką.

— A co? zkąd przychodzisz? czegożeś taki rozgrzany i zmęczony?

Młodzieniec, nie odpowiadając, naprzód postąpił i przed ojcowskiém biurkiem stanął.

— Mój ojcze!...

Zawahał się, oczy spuścił, i po kilku sekundach dopiéro, zwykłym sobie ruchem stanowczości ręce w tył zakładając, zcicha dokończył:

— Przychodzę, mój ojcze, z ustami i sercem pełnemi skarg!

— Na kogo? czyich? — zapytał Benedykt.

— Ludzkich... na ciebie, ojcze!

Benedykt oczami błysnął.

— Na mnie, cóż? Czy kogo na drodze zrabowałem, albo czyje dziecko na śniadanie zjadłem?

— Na wszystko błagam cię, ojcze — zawołał Witold, — porzuć ten ton drwiący i rozjątrzony, z jakim przemawiasz, ilekroć pewnych stron życia, dla mnie nad życie droższych, dotykamy!... Młody jestem, to prawda... lecz cóżem winien temu, że natura zamiast serca nie włożyła mi w piersi busoli, z igłą zwróconą ku drodze użycia, zysków i... świetnéj karyery.

Wzrok Benedykta przemknął po leżącym na biurku liście Dominika, jakby go ku niemu ostatnie wyrazy syna pociągnęły.

— No, dobrze — zaczął, — czyż ja kiedy tego pragnąłem? Czego chcesz?

— Dla siebie, ojcze, nic nie chcę; dla ludzi... wiele!

— Androny!—krzyknął Benedykt, i żywo podnosząc się z fotelu, z płomieniem w oczach, z brwią namarszczoną mówił, a raczéj wołał daléj: —

Wiém gdzie byłeś! domyślam się, co ci tam nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiłem, że ich ze skóry obdziéram, prawda?

— Tak, ojcze!

— Czekajże więc!

Z temi słowami ku szafie się rzucił, spory zwój papiérów z niéj wyjął, i do biurka wracając, mówił:

— Popatrz i przeczytaj! Musisz popatrzéć i przeczytać! Musisz przekonać się, że ten kawał ziemi, o który mi oni proces wytoczyli, do Korczyna zawsze należał... Musisz zawstydzić się za posądzenie, że twój ojciec kogokolwiek okradać chce!... Do tego jeszcze nie doszedłem... Nie! Jakimkolwiek jestem, do tego jeszcze nie doszedłem... Musisz zawstydzić się!...

Gdy plan Korczyna na biurku rozkładał, wielkie ręce jego drżały, ale hamując się, długo po planie palcem wodził, ze starych dokumentów wyjątki czytał, mówił, dowodził. Potém, prostując się i wzrok na syna podnosząc, zapytał:

— Cóż? wstydzisz się teraz?

— Nie, ojcze! — odparł Witold.

— Jakto? Nie przekonałem cię?

— I wprzódy przekonany byłem, że myśl nawet o przywłaszczeniu sobie cudzéj własności przejść ci, mój ojcze, przez głowę nie mogła...

— Więc cóż? więc o co chodzi? więc czyjaż w téj sprawie wina?

Witold ręce w tył założył, i śmiałemi oczami pałający wzrok ojca spotykając, odpowiedział:

— Twoja, ojcze!

— Facecya!—wybuchnął Benedykt.— Oni, jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradzcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody...

— Przebacz, ojcze — przerwał Witold, — dla czego oni ciemni, jak w rogu? dla czego chciwością pożerani? dla czego nieprzyjaźni?... Czy niczyjéj winy w tém niéma, tylko ich jednych?

Zapytania te, tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkiém westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się głosem przemówił:

— Dla czego? dla czego? Ha! gdybyż to można było wszystkich czarnych mar i ciężkich plag życia zapytywać: zkąd? za co? dla czego?

— My ich zapytujemy— podchwycił Witold.— Tak, mój ojcze, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one nam odpowiadają! Ta, o któréj teraz mówimy, odpowiada: „Zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w świetle i miłości...“

Teraz, wszystko, co uzbiérał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wyléwać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szérokich zarysach kréślił idee i teorye, od których urze-

czywistnienia zdawało się mu zależéć skrzepienie i odrodzenie narodów, jego narodu nadewszystko; w których dostrzegał jedyną podporę dla najwyższych myśli i podbojów, w wiekowéj pracy zdobytych przez ludzkość: które, wedle niego, przynieść miały ratunek dla krwawych cierpień, lasem rąk, do nieba o pomstę wyciągniętych, wyrastających z gruntu, oranego przez złość i przemoc.

Od abstrakcyj, mających dla niego urok tak nieprzeparty, że mówiąc o nich wyglądał jak człowiek w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniéj, palącéj go rzeczywistości. Opowiadał wszystko, co widział i słyszał tam, zkąd przybył; powtarzał prośby, z któremi go tu przysłano, skargi i obwinienia, które szumiały mu jeszcze w uszach i paliły serce.

Benedykt nie przerywał, milczał, a biegły tylko znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego srodze i tajemniczo zatrutéj duszy. Zagłębiony w fotelu, przygarbionemi plecami do poręczy jego jakby przyrósł; z bledszéj niż zwykle i w tysiąc zmarszczek połamanéj twarzy, długie wąsy nieruchomo na pierś mu zwisały; oczy jego czasem mąciły się aż do dna i powieki na nie opuszczał, to znowu je podnosił i namiętne płomienie na syna z piwnych źrenic ciskał. Jak grób mil-

czał i jak w grobie odbywały się w nim rzeczy posępne i tajemnicze. Czy przejmujące go z kolei uczucia były wstydem, żalem lub gniéwem — to pewna, że cierpiał, a cierpiąc, czuł jednak, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiéwna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie pochłonięta, a teraz, niby z przepaści życia, ku niemu powracająca.

Zdaleka, bardzo zdaleka dochodziły tu jeszcze urywane nóty starych pieśni, nad osrébrzoną powiérzchnią Niemna chórem śpiéwanych; u okna białe motylki z lekkim stukiem na biurko padały, bijąc trwożliwie krepowemi skrzydłami o księgi rachunkowe i rozłożony plan Korczyna. Rzucał na nie czasem wzrokiem i spotykał także ku brzegowi biurka odrzucony i széroko rozwarty list Dominika. Ilekroć spojrzenie po tym liście przesunął, tyle razy usta, mające już gwałtownėm słowem wybuchnąć, zamykał, zmącony wzrok ku ziemi spuścił i znowu milczał, coraz pilniéj, z coraz boleśniejszém prawie wytężeniem wsłuchując się w mowę syna.

Witold, bardzo blady, z drżącemi rysami, przytłumionym głosem mówił:

— Ty o tém wszystkiém nie wiedziałeś, ojcze? prawda, że nie wiedziałeś? O ich strapieniach, opuszczeniu, niebezpieczeństwach... o tych złorzeczeniach, którémi cię okrywają... o tych do-

brych uczuciach, któremi są gotowi każde twe dobrodziejstwo, każdy promyk światła, któryby od ciebie padł na nich, odpłacić... nie wiedziałeś? Powiédz mi, mój ojcze, o! powiédz mi, żeś o tém wszystkiém nie wiedział, i że tylko niewiadomość... Jak oni stryja Andrzeja wspominają!... za miłość, z jaką zbliżył się do nich, za trochę światła, za to, że duszę ludzką w nich budził... jak go wspominają! Ale ty o tém nie wiedziałeś, ojcze, nie myślałeś... i tylko dla tego...

Nagle umilkł. Coś mu głos zerwało, może łzy z całéj siły powstrzymywane, może ściśnięcie się serca oddech tamujące. Po zbladłém czole dłonią powiódł, plecami się oparł o ścianę, na któréj, wśród skóry niedźwiedziéj połyskiwały skrzyżowane strzelby.

Benedykt zdawał się jeszcze słuchać i czekać. W ziemię patrzył.

— Cóż? — odezwał się, — cóż daléj? Mów... sędzio! Słucham! chcę cały swój wyrok usłyszéć. Czy na gardło mnie skażesz, czy tylko... na wieżę?

Ile w tych słowach było bezdennego smutku, Witold nie dosłyszał; zrozumiał tylko ich ironią i szał bolu zaświécił mu w oczach. Wyprostował się, drżał cały.

— Nie masz prawa, mój ojcze, igrać tak z najświętszemi uczuciami memi! — zawołał. — Młody jestem! cóż ztąd? Nam, dzieciom czarnéj nocy,

jak żołniérzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzéwamy!

Wpół ze zdumieniem, wpół z ironią Benedykt sarknął:

— Cierpień! ty... cierpiałeś?

— Więc myślisz, ojcze, że ci, których młodość gotowa istotnie w każdéj jaśniejszéj chwili wytrysnąć swawolą i śmiéchem, nie rozglądają się przecież w koło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanéj dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: „Ratunku!“ i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych w poranku przekwitających twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych, i tego, czego nikt dojrzéć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem, cóż ztąd? kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie szumiały pytania: zkąd? na co? dla czego? W takich pytaniach dusze dojrzewają prędko!...

Teraz, w szérzéj niż zwykle rozwartych oczach Benedykta malowało się osłupiałe prawie zdziwienie. Ten chłopak, ten mały — jak go dotąd jeszcze w myśli swéj nazywał — już zblizka do-

tknął kąpieli cierpienia, w któréj on sam nurzał się od tak dawna; co większa, z jednego źródła biły dla nich obu kipiące i gorzkie jéj wody. Przypomniał sobie teraz, że powielekroć uderzały go były i niepokoiły jakieś blade cienie, po twarzy tego młodzieńca błądzące, mgły znużenia przyćmiewające czasem ognistość jego wzroku, piérwsze zarysy zmarszczek na czole, które, według praw natury, jaśnieć powinno było nieskazitelną świéżością poranku i wiosny.

Pochylił się, szyję wyciągnął, wpatrzył się w syna. Tak! było to istotnie dziécię dnia burzliwego i ciemnéj nocy. Nigdy w jasną pogodę pąki kwiatów nie rozwiérają z tak męczeńskim pośpiechem swych purpurowych kielichów. Łatwo było poznać, że ta rozmowa z ojcem sprawiała mu nieopisaną mękę i że ku téj męce popychała go, tak jak niezawodnie ku wielkiéj innéj popchnąćby musiała, siła przekonań i uczuć, pracująca w nim z nieprzezwyciężonością i bezwiednością krwi, w żyłach człowieka krążącéj. Dłonią szczupłą, taką jaką miéwają ofiary górnych marzeń, ale któréj namiętne ujęcie silném i uporczywém być musiało, wodził po czole strapioném, udręczoném, nad rozgorzałemi źrenicami bladém.

— Ciężko... straszno... straszno mi tak mówić do ciebie, ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tém, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że

pełni jesteśmy bezbrzeżnéj litości nad maluczkiemi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biédz, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? pochód wieku, którego jesteśmy dziećmi? czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które zaléwając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bolu świata, z bezbrzeżnem dla niego współczuciem? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią... One są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedye... One téż są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją? O! jéj imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! Ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuje sam brzęk ich obroży... to zagrzebanie szlachetnéj duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...

— Witoldzie!

W tym wykrzyku, który Benedykt rzucił w mowę syna, był taki gwałt i bolu i gniéwu, że młodzieniec umilkł nagłém zamyśleniem ogarnięty. Pochylił głowę.

— Wiém, ojcze, że bardzo byłem zuchwały,— dziwnie zmienionym głosem zaczął, — pomiędzy sobą i tobą wzniosłem zapewne ścianę nieprzebitą, i która rozdzieliłaby nas na zawsze, gdybym po tém, co się stało, żył jeszcze... Ale jeżeli martwy u nóg twoich padnę, przebaczysz mi... prawda? Przebaczysz? i znowu tak samo kochać mię będziesz jak niegdyś?... Tylko umarłemu dziecku przebaczyć można taką zuchwałość i taką obrazę... Coś mam w sobie, ojcze, co mię ku ciemnym otchłaniom popycha...

Mówił to cicho i z cichym żarem źrenic, którym się objawiają najniebezpieczniejsze, skupione w sobie szały; przytém, ruchem powolnym, a coś stanowczego w sobie mającym, wyciągnął rękę ku jednéj z wiszących na ścianie strzelb.

Benedykt porwał się, i jak płótno blady, w mgnieniu oka za ramiona go pochwycił.

— Waryacie! dziecko! co ty robisz! Czemuż nie? Ty i na to gotów jesteś! U was nawet taka zaraza panuje... Tuziny was teraz kule w łeb sobie pakują! Ach, ty! Mądryś taki, a zielono ci w głowie... O, te idee, te ideały... te... to, tamto... które tych błaznów do takich nawet rzeczy doprowadzają... Boże miłosierny!

Strzelbę, którą dziś sam w obecności syna nabijał, z rąk mu wyrwał, na ścianie zawiesił, lecz wzamian obie ręce młodzieńca pochwycił i z całéj siły w szérokich dłoniach je ścisnął. Prawie straszną była w téj chwili jego twarz ciemna, pomarszczona, wąsata, któréj groza przewidywań széroko rozwiérała oczy i podnosiła włosy nad zbladłém jak chusta, a kroplami potu świécącém czołem. Z wyciągniętą ku synowi szyją, oczy w nim zatapiał, széroko otwarte, przerażone.

— Wiész ty? — szeptał — wiész? może nie wiész! ale ja to wiém... widywałem... wszak ty zginiesz... czy słyszysz? z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... z tym... to... tamto... zginiesz!

I coraz mocniéj ręce syna ściskając, powtórzył jeszcze powielekroć:

— Zginiesz! zginiesz! niechybnie zginiesz!

Aż z ogromném westchnieniem, które, jak wicher, do samego nieba zda się dotrzéć chciało, wymówił:

— Boże! Boże!

Tak samo niegdyś, z tą samą grozą, w chacie Anzelma, przed oknem ciemnością nocy zasłonioném, imienia bozkiego przyzywał. Ale tym razem, z ciemności, które mu przed oczyma zapadły, wydobył się głos młodzieńczy, łagodny i dziwną jakby melodyą przejęty:

— Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznéj drodze przyszłości, w blasku jutrzenki, w ogniu ofiary! Nie sąż także zaginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa, rozkoszy ciała a nędzy ducha!

Benedykt przez chwilę wspominał, myślał, aż serce jego gwałtownym rzutem skoczyło myślą ku bratu, który oddawna, z krwawą plamą na młodém czole, pod wilgotną ziemią spoczywał. Długo jeszcze patrzył na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd ujęcia uwalniając, obie dłonie ku czołu podniósł i głucho wyszeptał:

— Krwi moja! młodości moja! falo, która nas niosłaś... powracająca falo!...

Z głową schyloną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

— Powracająca fala! powracająca fala!

Były w tym szepcie: groza i zachwycenie.

Potém, odkrył twarz, i jedną rękę o biurko wspiérając, wyprostował się, głowę podniósł, zmienił się dziwnie. Blask jego oczu wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumna. Na syna patrzył.

— Słuchaj—zaczął: —jeżeli wam się zdaje, że wy piérwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy piérwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedliwość, to

popełniacie błąd gruby i grzéch przeciw sprawiedliwości...

Zatrzymał się na chwilę; tak już dawno w ten sposób i o takich przedmiotach nie mówił, że może słów mu zabrakło, albo myśli splątały się w głowie. Ale powracająca fala odnosiła mu wszystko, co życie zabrało, i przypominała wszystko, co niegdyś umiał, wiedział, czuł.

— I w naszych ustach—mówił daléj—brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj!“ i myśmy latali na mleczne drogi, i w blaski jutrzenki, i w ognie ofiary! Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! tożeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie słaliśmy przed nim... Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone, własnemi choćby ciałami pragnęliśmy unieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia! · Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jéj kamień kochałem... mógłżem być wrogiem ludzi, którzy z niéj powstali? To ja.. ale niemało, niemało nas takich było! Śmiéch bierze na wspomnienie! Młodzi mędrcy, poeci... rycerze... apostoły... wskrzesiciele... górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapały!... Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiéch na wspomnienie bierze!

Zaśmiał się istotnie, z oczyma pełnemi łez. Drżącym głosem, lecz z głową podniesioną, zaczął znowu:

— Słuchaj! Korczyńskim braku ideałów, braku miłości dla... dla...

Stare przyzwyczajenie język mu splątało. Zająknął się.

— Dla... to... tamto...

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

— Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie powoli i stopniowo pozbył się czci i honoru... trzeci... trzeci przebył życie, zazdroszcząc temu, który w mogile leży!

Teraz dopiéro, te łzy, które napełniały mu oczy, spadły z nich dwiema wielkiemi kroplami i ze zmarszczki na zmarszczkę toczyły się po policzkach. Ręką machnął, na fotel opadł i széroką dłonią zasłonił sobie czoło i oczy.

O dwa kroki od niego na krześle siedzący Witold, osłupiały, niemy, chciwemi oczami wpatrywał się w ojca, domyślając się istoty i natury téj siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła. Jak wrzątek długo i szczelnie zamknięty, po zerwaniu pokrywy z gwałtem i szumem wylewa się na zewnątrz naczynia, tak gorycze, żale, gniéwy, napełniające to strute

i chmurne serce, wybuchały zeń obfitemi i namiętnemi słowy. Natura nie stworzyła go milczącym i skrytym.

Był czas, w którym dom ten rozlegał się cały od dźwięku jego głosu, hojnie wśród zbiérających się tu tłumów rozrzucającego hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki. Ale potém, strasznie uciszyło go życie. Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu usta. Płynęły dni za dniami, lata za latami—on milczał. Z czasem i z samym sobą rozmawiać przestał o wszystkiém, o czém dawniéj rozmawiał z mnóztwem ludzi. Tak już przywykł. Dziś dopiéro, rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mu usta. Byłoż to opowiadanie? byłaż to spowiedź? byłoż to usprawiedliwienie się przed dzieckiem tak niezmiernie kochaném, a które mu dziś w oczy rzuciło gradem wyrzutów, prawie obelg?

Potrzebę usprawiedliwienia podszeptywało mu sumienie: „Wytłumacz, wytłumacz, dla czego cię to dziecko znalazło takim, jakim się stałeś, i dla czego straciłeś to wszystko, co je napełnia, a coś i ty w równéj mierze niegdyś posiadał!“ Serce w nim także wołało: „Mów! bo inaczéj, nie pęknie i nie runie nigdy ta ściana, która wzniosła się pomiędzy tobą a tém dzieckiem, tą krwią krwi twojéj, tym powtórzonym obrazem twojéj młodości, tą powracającą falą wiary, nadziei, czaro-

dziejskich i bohatérskich snów o nowych jutrzenkach i ofiarnych stosach!“

Mówił, opowiadał, co stało się i działo potém, gdy wszystko wpadło w wodę. Dawne to dzieje. Zdaje mu się, że nie dwa dziesiątki, ale dwie setki lat od tego czasu upłynęły, tak wszystko dokoła niego zmieniło się i w nim samym. Zmienił się zaś on nie odrazu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczérbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nieużywane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmiérzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek ciężko i nieustannie smutny....

Mógł był odejść w wesołe strony; nie uczynił tego. Mógł w lichych przysmakach życia szukać przypadającéj nań cząstki szczęścia; nie używał ich wcale. Z górnéj, lotnéj jego młodości, pozostało mu tyle, że podłości nie popełnił, a w pracy, choć poziomėj i ciasnéj, pogrążył się z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwyta i ściska jedyną deskę, ze strzaskanego statku pozostałą. Na tę pracę, acz poziomą i ciasną, padał przecież i z góry jakiś promień. Jak ktoś, co dziwi się i usprawiedliwia, Benedykt ręce rozkładał i zapytywał:

— Cóż było robić? co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: „Ziemia! ziemia!“ Trzymałem ziemię...

Trzymał ją i dla siebie, bo w nią wrósł i przez dumną ambicyą postawienia na swojém, i przez myśl o synu.

Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; jak wół ze schyloną pod jarzmem głową, jedną brózdę depcąc, inne dostrzegać przestawał; w jedném namiętném usiłowaniu skupił wszystkie siły, i na nic innego już mu ich nie stało. Żelazo nie czuje osiadającéj na niém rdzy, ale człowiek łzami zrazu obléwa każdą na własnéj duszy dostrzeżoną plamę. Gdy nie mógł żyć tak jakby pragnął, gdy potém już i pragnienie innego życia w nim gasło; gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały, gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły, gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potém i rozumiéć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata,— długo we środku mu coś płakało. Jak długo? nie pamięta, wié jednak, że z czasem przywykł do wszystkiego, tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwila wybuchający zeń gniéwem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą. Czasem jeszcze tylko daleka, nieosobista nadzieja błąkała mu się po sercu.

— Może on? może dla niego... przez niego... z nim?... O synu myślał. Była to już jedyna jego nadzieja....

Dwa razy w cichym domu zégar ścienny ogłaszał popółnocne godziny, a Benedykt jeszcze rozmawiał z synem, lecz już inaczéj niż wprzódy. Jak niegdyś, przed wielu laty, Witold ramiona na szyję ojca zarzucił i rozpalonemi usty scałował grube łzy, które po téj twarzy ściemniałéj, spalonéj, ze zmarszczki na zmarszczkę ściekały. Myślał on, że bez zaprzeczenia samemu sobie, wolno mu było z miłością przycisnąć się do téj piersi, która przyjęła w siebie wiele ostrych grotów i coś wyższego, szérszego nad własny interes osłaniała albo osłaniać mniemała; że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było ze czcią całować te ręce, których nie wybieliły próżniactwo i zbytki. Przypomniał sobie, że to nawet, co w sobie nosił i nad własne życie cenił, jemu był winien.

— Ojcze mój! do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięczen ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samoluba mnie nie chował. Gdyby nie ty, od kolébki pewno owiniętoby mię w watę zbytku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmuś, lalką z żurnalu mód wyciętą i niedoszłym jakim artystą, albo jak Różyc, kartką welinu w roztworze morfiny umoczoną!

Benedykt ręką jeszcze oczy zasłaniając, z poczynającym się na ustach uśmiéchem, pod wąsami mruczał:

— No, tak, tak chłopcze! Nie zgłupiałem przecież do tego stopnia, aby myśléć, że syn mój z innéj gliny niż inni ludzie ulepiony, i nie spodlałem tak, aby poddać się woli bab, któreby z mego dziecka zrobiły ładnie ufarbowany gałganek!

Z wahającemi się jeszcze uśmiéchami na siebie patrzyli. Więcéj niż kiedy czuli, jak niezmiernie kochali się wzajem, zrozumieli téż jak bardzo byli do siebie podobni. Chwili jednéj wielkiego uniesienia i piorunującego wspomnienia trzeba było na to, aby z jednego z nich spłynęła ta rdza, która mu przez długie lata osiadła duszę, i aby to podobieństwo wystąpiło jawnie i jasno.

Nagłym ruchem głowę w tył odrzucając i palcami ociérając wilgotne jeszcze oczy, Benedykt zawołał:

— Jakby ciężar stufuntowy spadł ze mnie, kiedy wszystko przed tobą wygadałem. Nie wiész i bodajbyś nie dowiedział się nigdy, co to jest długie lata cierpiéć z zaciśniętemi zębami i nie miéć na świecie jednéj żywéj duszy, przed którą człowiek mógłby śmiało, ufnie, wszystko co ma w sobie pokazać, pociechy, rady, a czasem i ratunku wezwać. Może i to przyczyniło się wiele do mego ściemnienia i zdziczenia, żem takiéj duszy przy sobie nie miał. Marzyłem nie raz, że ty mi będziesz tém wszystkiém, a kiedy tego lata zdawało mi się, że i te marzenia, jak wszystkie

inne, dyabli wezmą, nachodziła mię taka rozpacz, żem nie tylko już Andrzejowi, ale wszystkim pomarłym, grobów ich zazdrościł...

— Ale teraz wiesz już, ojcze, co nas dzieliło!—zawołał Witold.—I w przywiązanie moje dla ciebie wierzyć musisz...

Zawahał się nagle, zmieszał się, posmutniał znowu.

— Jednak, mój ojcze... zaczął, — jednak, powiedz mi, co myślisz... zamierzasz... z tymi ludźmi?...

Więcéj niż cokolwiek innego zapytanie to przekonywać mogło, że istotnie w tym młodzieńcu pewne uczucia i myśli jak krew krążyły, jak pulsa tętniały, może samą podstawę życia jego stanowiąc. W najuroczystszéj nawet chwili, w najgłębszém dla innego przedmiotu rozrzewnieniu, zapomniéć ich i pozbyć się nie mógł. Benedykt długo na niego popatrzył. Uśmiéch zadowolenia pod długim wąsem mu błądził.

— Uparty jesteś — zaczął; — widzę dobrze, że śmiejąc się i płacząc, śpiąc i jedząc, zawsze o swojém myśléć i przy swojém stać będziesz! Moja natura! I mnie to stanie przy swojém kością w gardle nieraz zasiadało, a jednak i niebieskie rozkosze zruszyćby mię nie zdołały! Nasza, Korczyńskich natura!

Zamyślił się, w przeszłość patrzył.

— Niegdyś, postanowiliśmy byli wszyscy karczmy nasze pozamykać, aby chłopów do pijaństwa nie kusić. Wielu to uczyniło. Darzecki nie chciał. Andrzéj różnił się z nim o to długo, ale potém przestał, i myśleliśmy, że za wygraną dał, zapomniał. Jednak, raz, po długiém milczeniu, znowu zawziętą sprzéczkę o niezamknięte karczmy i rozpijających się w nich chłopów ze szwagrem rozpoczął, i tu, ot, w téj saméj sali jadalnéj, przy wieczerzy, w uniesieniu téj sprzeczki, na Darzeckiego nożem cisnął... Szczęściem nóż mimo głowy szwagra przeleciał. Taki uparty był. Nie mówi już czasem o czémkolwiek, nie wspomina rok i dwa... zdaje się, że dał pokój... aż tu nagle znowu zaczyna swoje... I ty taki...

Po chwilowém milczeniu zaczął znowu:

— Korczyńskich krew! Dziad nasz, legionista, sześćdziesiąt lat z górą mając, jeszcze na wojnę chodził... A! przypominam sobie teraz! Towarzyszył mu jakiś Jakób Bohatyrowicz, którego starcem już przed dwudziestu kilku laty widywałem. Trochę obłąkany był, Pacenki jakiegoś, który mu żonę uwiódł, szukał... różne stare podania i zdarzenia opowiadał. Ja i Andrzéj lubiliśmy go bardzo; Dominika tylko nudziła trochę jego gadanina. On był z nas na te rzeczy zawsze najobojętniejszy... Za wiele i za wesoło bawił się w wielkiéj stolicy. Czy żyje jeszcze stary Jakób?

Jeszcze raz w sali jadalnéj, zégar ścienny wybił nocną godzinę, a Witold, odpowiadając na coraz liczniejsze zapytania ojca, mówił, opowiadał. Benedykt zapytywał krótko, kilku słowy, potém słuchał syna, z czołem na dłoni, ze wzrokiem wpatrzonym w przeszłość, która z serca, z mózgu, ze słów jego syna wypływając, ogarniała go, podnosiła, prawie upajała. Kiedy nakoniec wstał z fotelu i przy dogasającéj na biurku lampie przed oknem stanął, błękitny świt ukazał go tak wyprostowanym, rzeźkim, pogodnym, jakim może od skończenia się złotéj godziny jego życia, ani razu nie był.

— No, no! — rzekł, — prawdziwe dziwy! Jakby mię fala jakaś z dna wód gorzkich i zimnych, na ciepłą murawę wyrzuciła!... Ale teraz, chłopcze, spać idźmy... na parę godzin tylko... na parę godzin... byle trochę przespać się i odpocząć. Potém, pójdziesz tam do nich i powiész im, że téj kary sądowéj nie żądam już... nie żądam... Istotnie, za wielką jest, a w tém, że ich oszuści wyzyskują i do złego prowadzą—moja wina! O miedzę z nimi żyję, i palcem, aby temu zapobiedz, nie poruszyłem...

Uśmiéchnął się smutnie.

— Andrzéjby na mnie za to nożem cisnął! Ale nie siedź tam długo — mówił daléj, — bo przecież wspólnie ułożyć musimy różne projekta i plany

na dalszą przyszłość, a potém, pod wieczór, może razem popłyniem na... to... tamto...

Zająknął się.

— Na Mogiłę! — dokończył.

Nie wysoko jeszcze słońce podniosło się na niebie, gdy Witold wbiegł do świetlicy Fabiana, gdzie dokoła śniadania zgromadziła się spora gromadka weselników, którzy jeszcze do domów swoich nie odjechali. Cienka i długa Giecołdowa, z zapalonym papiérosem w wązkich ustach oraz żwawa Starzyńska, we fruwającym wstążkami czépcu, dokoła stołów chodząc, zapraszały na jadło, które według zwyczaju, ich kosztem i staraniem zastawione było.

Fabian, pozbywszy się na tę chwilę obowiązków gospodarza, ze spuszczonym na kwintę nosem wśród starszych sąsiadów siedział. Na widok wchodzącego Witolda porwał się, i z niepokojem, nadaremnie przez okazywane uradowanie pokrywanym, ku niemu podbiegł.

Zaledwie jednak przybyły kilkanaście słów półgłosem przemówił, na twarz mu wybuchnęła radość szczéra i prawie gwałtowna.

— Wiwat! — z całéj siły krzyknął, i ku sąsiadom zwracając się, obu rękoma, jak młyńskiemi skrzydłami, zamachał. — Psom dajcie, co na duszy macie! — wołał daléj.—Już nam godzina nieprzyrodzonéj śmierci nie wybije! Zmiękło serce Dawida, gdy o Jonatanie w żałość przyobleczo-

nym usłyszał. Anioł niebieski z grobu naszego kamień odwalił! Aleluja!

O aniele mówiąc, na Witolda ukazywał, do którego też przystępować zaczęli inni. Z godzinę trwał tam gwar wielki, z zapytań, odpowiedzi, śmiéchów, okrzyków złożony.

— Wiwat pan Korczyński! Wiwat pośrzednik nasz i orędownik! — co moment wykrzykiwał Fabian.

— Chwała Panu na wysokościach, na ziemi pokój ludziom dobréj woli! — modlił się Apostoł.

— A ja tak mówię: że z tego zasiéwku, da Pan Bóg pięknego plonu doczekamy...—przebijał się powolny, poważny głos Strzałkowskiego.

Może tam Witolda ściskano, całowano, może mu różne na przyszłość projekta i rady podawano, może nawet na rękach podnoszono, bo zdyszany od zmęczenia i ogniście zarumieniony z chaty Fabiana wybiegł. Młodzież po zielonéj uliczce i dokoła gumna przechadzającą się, ukłonami lub ściśnieniami rąk powitał, najkrótszemi ścieżkami śpiesznie ku dworowi poszedł, i więcéj już dnia tego w okolicy się nie ukazał.

Zdala go tylko potém widziano, po drogach pole przerzynających, z ojcem chodzącego. Przez dzień cały, syn i ojciec ani na chwilę nie rozstawali się z sobą. Długo, w gabinecie Benedykta, nad rozłożonym na biurku planem Korczyna obaj

siedzieli, zcicha pomiędzy sobą naradzając się, linie jakieś i cyfry na papiérze kreśląc; a przed zachodem słońca, kilku weselników, u saméj krawędzi zielonéj góry stojących, ujrzało na Niemnie łódkę, wiozącą dwóch ludzi, z których młodszy wiosłem robił.

Za Niemnem obaj na żółtą ścianę wstąpili i w borze zniknęli.

Przed zachodem słońca, gody weselne Elżusi miały się ku końcowi. Przeszło o połowę zmniejszona kompania, przechadzała się po zagrodzie i drodze; w gumnie tak jak wczoraj, na oścież otwartém, Zaniewscy jeszcze kiedy niekiedy na skrzypcach rzępolili i basetlą pohukiwali, a przy téj niedbałéj i przerywanéj muzyce, dwie lub trzy pary od niechcenia czasem pokręciły się na toku. U ścian obrosłych chwastami, u płotków, w śliwowym gaju, na wązkim ganku świrna, rozmowy toczyły się ożywione, we włosach dziéwcząt iskrzyły się kwiaty, ale kawalerowie nie mieli już na rękach białych rękawiczek, ani téj rzeźkości i zamaszystości w postawach i ruchach, które początek zabawy obudzał.

Zbliżając się do końca, wesele cichło, leniwiało, z wielkiego hałasu roztapiało się w szmer. wesołemi nótami jeszcze przetykany, lecz który — czuć to było — zaraz, zaraz utonąć miał w szarém, jednostajném jeziorze codziennéj troski i pracy.

Na podwieczorku, ożywienie było największe. Zaprzęgano tam do bryczek i wózków konie, a czynność tę spełniali sami ich właściciele, z wyjątkiem tylko dzierżawcy Giecołda i ekonoma Jaśmonta, którzy jednak hałasowali najwięcéj, parobkom za furmanów im służącym głośne rozkazy wydając.

Piérwszy drużbant komenderował należytém szeregowaniem orszaku, mającego państwu młodym, do domu ich, więc do jaśmontowskiéj „okolicy,“ towarzyszyć. Naprzód tedy, na drogę dotykającą pola wyprawił wóz, mający wieźć muzykantów. Za nim ustawił parokonną bryczkę państwa młodych; potém te, któremi według zwyczaju jechać mieli rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Teraz, następowała koléj piérwszego drużbanta. Więc Kaźmirz Jaśmont sam za uzdę poprowadził swego pięknego, czarnego konika, ładną uprzężą połączonego z bryczką, na majowo-zielony kolor pomalowaną, poczém już ustawianiem ordynku zajmować się przestał, bo co do dalszego jego ciągu, żadne przepisy nie istniały. Kto łaskaw, czy téż zaproszony pojedzie sobie jak zechce, na czele, czy z tyłu, osobno, czy hurtem, wszystko jedno. Kto nie łaskaw, albo nie zaproszony, pozostanie lub uda się w inną stronę, a grzeczności i obyczajowi nie ubliży.

Tylko jeszcze, u końca orszaku jechać koniecznie powinien brat panny młodéj, z kuframi i skrzyniami wyprawę jéj zawierającemi. To już niezbędne. Jeżeli brata niéma, najbliższy krewny spełnić tę czynność musi. Ale Elżusia miała kilku braci, z których najstarszego obowiązkiem było, wieźć za orszakiem weselnym wyprawę siostry. Już téż na wozie drabiniastym, w zielonéj uliczce stojącym, Julek umieścił dwa kufry z bombiastemi wiérzchami na zielono pomalowane i gapiowatym głosem upominał się o trzeci, którego przecież długo mu nie dawano. Panna młoda, z pomocą matki i swań kończyła napełniać go skarbami, które z sobą uwieźć miała: kraciastemi i pasiastemi spódnicami, fartuchami, kilimkami własnéj roboty, motkami uprzędzionych przez siebie nici lnianych i wełnianych, ścianami utkanych téż w domu grubszych i cieńszych płócien.

Kaźmirz Jaśmont, od bryczek wracając, tu i owdzie po zagrodzie się okręcił, aż u zamkniętych drzwi domu stając, z całéj siły zawołał:

— A teraz, panny drużki i panowie drużbantowie, pożegnanie pannie młodéj zaśpiéwajmy!

W mgnieniu oka po obu stronach drzwi utworzyły się dwie gromadki, jedna z młodych mężczyzn, druga z dziéwcząt złożone. Nie byli to koniecznie sami drużbantowie i drużki, ale wszyscy, którzy pożegnanie panny młodéj na pamięć

umieli chcieli i śpiéwać. Chór męzki, w którym wyraźnie wyróżniały się: cienki dyszkant piérwszego drużbanta, piękny głos Jana i tak basowe, że prawie grobowe huczenie Domuntów, na nótę butną, urywaną, prawie rozkazującą, rozpoczął:

— Siadajże, siadaj moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie.
Nic płakanie nie pomoże,
Stoją konie, stoją wrone,
Już założone!

Jak uciął umilkli. Po kilku zaś sekundach, chór dziéwcząt, nad którym rej prowadził donośny i jak srébro dźwięczny głos pięknéj Osipowiczówny, a który przerzynały słabe, cieniutkie, lecz czyste głosiki małych Siemaszczanek, wzbił się smętną przewlekłą nótą:

— Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem ojcu swemu nie dziękowała.
Dziękuję ci, miły ojcze,
Żem u ciebie chodziła w złocie,
Teraz nie będę!

Mężczyźni huknęli znowu tą samą co piérwéj rozkazującą strofą.

— Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swéj matce nie dziękowała.

Dziękuję ci moja matko,
Żem żyła przy tobie gładko,
Teraz nie będę!

Po trzecim rozkazie siadania, odpowiedź brzmiała:

— Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swemu bratu nie dziękowała.
Dziękuję ci, drogi bracie,
Że mieszkałam w jednéj chacie,
Teraz nie będę!

Tu rozwarły się ze stukiem drzwi od sieni i panna młoda, wysoki próg przeskakując, z pod czarnéj wełnianéj sukni białą pończoszką błysnęła. Zapłakana, zakłopotana, wśród śpiéwających na nikogo nie spojrzawszy przebiegła, między śliwowe drzewa wpadła i płótno „kużelne“ (cieńsze od zgrzebniny) wązkiemi pasami u brzegu gaju rozesłane, z trawy ściągać zaczęła. Ściągała, zwijała, śpiesząc się bardzo, aż nakoniec z jednym zwojem niedobielonego płótna pod ramieniem, a dwoma w ramionach, z powrotem ku domowi biedz zaczęła. Wszyscy, z niejakiém zdziwieniem na nię patrzyli. Kaźmirz Jaśmont palcami pstryknął:

— Szyk gospodynia! I na weselnych godach o „kużelu“ nie zapomniała!

Stojący za nim Michał Bohatyrowicz, wąsa w górę podkręcając, zaśmiał się:

— A jakże! Gdyby ją aniołowie do nieba zabiérali, to onaby patrzyła czy niéma jeszcze czego z ziemi uchwycić!

— To nie tak jak panna Cecylia, która wczoraj taką śliczną „stążkę“ z szyi sobie zdjęła i przyjaciółce, nijakiego przystrojenia nie mającéj, podarowała! — zawołał kruczowłosy Ładyś Osipowicz, na błękitnooką Cecylkę Staniewską rozkochanym wzrokiem spoglądając.

Poczém, nagle, huknęli znowu:

— Siadaj, siadaj moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie.
Nic płakanie nie pomoże,
Stoją konie, stoją wrone,
Już założone!

A dziéwczęta odpowiedziały:

— Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem stołom, ławom nie dziękowała.
Dziękuję wam stoły, ławy,
Żeście były zawsze białe, —
Teraz nie będziecie!...

Dziękuję wam rodzone progi,
Że chodziły po was moje nogi, —
Teraz nie będą!

Julek trzecią skrzynię w wielkie kwiaty pomalowaną, wspólnie z braćmi z domu wynosił i na wóz windował.

Na drodze, dokoła wyciągniętych szeregiem bryczek i wozów, podniosła się wrzawa pożegnań, pocałunków, zaprosin, przywoływań, nawet sprzeczek. Nie tak to łatwo było wszystkich w porę i w należytym porządku usadowić. Muzykanci kłopotu nie sprawiali, piérwsi umieścili się na przodującym wozie i smyczki wysoko wznieśli, aby je w czas, a ostro, na struny módz spuścić. Ale pan młody gdzieś się w ostatniéj chwili zawiéruszył, więc siedząca już na bryczce Elżusia w niebogłosy wołała: — „Franuś! Franuś!“— a gdy nadbiegł, mocno strofować go zaczęła.

Poczém, Giecołdowa, kwaśna i zmarszczona, bo papiérosów jéj zabrakło, nie chciała siadać na bryczkę Starzyńskiéj, z którą jechać była powinna, i upiérając się przy jechaniu swémi końmi i ze swoim mężem, głośno i kwaśno dowodziła, że wszystkie te porządki i ordynki są przesądami, nigdzie już, z wyjątkiem prostych i ciemnych ludzi, nie zachowywanemi. A gdy nakoniec, piérwszy drużbant, mocą ukłonów i otworzeniem na oścież zasobnéj papiérośnicy dumną swanię ułagodził i do zajęcia przypadającego jéj miejsca nakłonić zdołał, nowe przeciwności zaszły w gro-

nie odprowadzających państwa młodych drużek i drużbantów.

Ta z tym, a ten z tą jechać żądał; tu było za ciasno, tam niewygodnie... Kaźmirz Jaśmont na chwilę cierpliwość stracił, ręką machnął, zrozpaczonym wzrokiem po szlaku drogi powiódł, aż nagle, nieopisana błogość na twarz mu spłynęła.

Z głębi okolicy, ścieżkami wśród płotków wijącemi się, szła, na drogę weszła i ku gromadzie dokoła bryczek stojącéj skierowała się—Domuntówna. Nikt jéj nie spostrzegł, oprócz Jaśmonta, który, asystę, ordynek i wszystko, co żyło, opuszczając, na jéj spotkanie pośpieszył. Ona szła prędko, więc spotkali się w tém miejscu, gdzie stała jego majowa bryczka, z czarnym, pięknym, zgrabną nóżką o ziemię bijącym konikiem.

W bogatéj „aktorce“ nowa zmiana zaszła. Miała na sobie czarną suknię, bardzo prostą, któréj gładka spódnica i obcisły stanik, szczuplejszą nieco czyniły jéj zbyt silną i rozrosłą kibić. Na ogorzałéj szyi — zapewne na znak zasmucenia — wiła się i na pierś opadała żałobna wstążeczka. Gładko spleciona kosa, niby wiankiem brunatnéj pszenicy wznosiła się nad twarzą, mniéj rumianą niż zwykle, a szafirowe oczy z pod sobolowych brwi i zarumienionych trochę powiek rozglądały się dokoła, strapione i roztargnione. Tak stanęła przed Jaśmontem, który granatową

czapeczkę z kędzierzawéj czupryny zerwawszy, nizkim ukłonem i czułém wejrzeniem ją witał.

— Czy mnie próżna nadzieja zwodzi — zaczął, — czy téż pani w jednę drogę z nami puścić się zamyśla?

Czerwone ręce na czarną suknię opuszczając, grzecznie dygnęła.

— Za zaprosiny dziękuję — odrzekła, — ale mnie teraz na zabawy nie wczas. Żyto na nasienie jeszcze nie wymłócone i dziadunia pilnować muszę, bo niedomaga.

I znowu roztargnionym wzrokiem pomiędzy ludźmi wodziła, kogoś wśród nich upatrując. Była grzeczną, łagodną, cichą, nawet mówiła półgłosem. Jaśmont na bryczkę swą ukazywał.

— Gdyby pani mojéj kałamaszce ten honor zrobiła i spólnie ze mną nią pojechała, możeby spacer na zdrowie posłużył. Dobrze niesie... jak na sprężynach!

— Dziękuję, — dziadunia pilnować muszę!...

Widocznie zmartwiony pomyślał chwilę.

— A jeżeli ja odważę się kiedy tam przyjechać, gdzie od tego czasu wszystkie myśli moje mieszkać będą, czy mogę spodziéwać się, że niezbyt niemile ujrzanym zostanę?

Dygnęła znowu.

— Owszem. Dziadunio bardzo lubi, kiedy do niego goście przyjeżdżają...

— Ale pani czy przez to ambarasu nie uczynię?

— O ambaras bynajmniéj! Owszem. Ja zarówno w grzecznéj kompanii gustuję...

Już rozpływać się miał w podziękowaniach za pozwolenie bywania u niéj, gdy w orszaku wzniosło się mnóztwo wzywających go głosów. Wszyscy nakoniec na bryczkach i wozach siedzieli, bez piérwszego drużbanta przecież odjeżdżać nie mogli. Tyle więc tylko miał czasu, aby Jadwigi rękę ucałować, a do jéj braci, obok których przebiegł, szepnąć:

— Szyk panna! Dalibóg, takiéj wspaniałéj talii i takich oczu cudnych, jak żyję nie widziałem!

Na majową bryczkę wskakując, wołał:

— Ot tak! nikt ze mną jechać nie chciał, siérotą opuszczonym zostałem! Dobrze! Sam sobie ze mnie pan i hetman!

Siadł prosto, z fantazyą czapkę na głowie poprawił, bicz wcale niepotrzebny przy koziełku umocował, rzemienne lejce silnie ujął i na cały głos zakomenderował:

— Muzykanci! rznijcie! Jazda, panowie!

Na przodzie orszaku, smyczki dotąd w powietrzu stérczące, na struny opadły; z dźwiękami skrzypiec i basetli, wygrywających marsza, zmieszał się turkot kół i tętent koni. Bryczki jedna za drugą skręcały na drogę przerzynającą pole,

a od każdéj niby rozwiéwne skrzydło, leciał w jednę stronę złotawy tuman kurzu; dwu czy trzech jeźdźców, konno brzegami ściernisk cwałowało; ostatni jechał wóz, wyładowany pękatemi kuframi, na których jak na wieży, w wiecznym uśmiéchu białemi zębami śród rudéj gęstwiny zarostu błyskając, siedział Julek, a obok wozu galopował, co moment ku panu głowę podnosząc i radośnie poszczekując, czarny, kudłaty Sargas. Zachodzące słońce, bladym blaskiem spłowiały kobierzec ziemi ozłociło i wyrastającym zeń drzewom wróciło chwilową świéżość; niebo, roiło się na tle błękitném mnóztwem białych smug i różnobarwnych obłoków.

Kilka minut wystarczyło, aby na drodze tak przedtém gwarnéj, zaległa zupełna cisza. Jedni rozjechali się, innych widać jeszcze było zwolna rozchodzących się po zagrodach. Jan, który odjeżdżający orszak wzrokiem odprowadzał, odwrócił się i oko w oko spotkał się z Domuntówną.

Stała u saméj krawędzi zagonów, pokrytych ściernią, obok ogromnych ostów, które kupą rosły, wysokością prawie do jéj ramienia sięgały, nakształt siwych brodatych starców, całe mlecznemi, połyskliwemi puchami obwieszone. Po twarzy Jana przemknęło przykre wrażenie. Ona to spostrzegła.

— Niech pan Jan nie lęka się — zaczęła: — ja nie dla téj przyczyny tu przyszłam, aby jakie nieprzyjemności panu robić, ale dla téj...

Spuściła oczy, ręce jéj pomimowoli szukały fartucha, ale go przy świątecznéj sukni nie znalazłszy, z najbliższego ostu puch oskubywać zaczęła.

— Dla téj przyczyny ja tu dziś przyszłam — zcicha mówiła daléj, — żeby z panem Janem zobaczyć się i oświadczyć, że do grobowéj deski wdzięczną panu pozostanę.

— A za cóż ta wdzięczność?—zdumiał się młodzian.

— A za to—odpowiedziała,— że kiedy wszyscy mnie wczoraj czernili i wyśmiéwali, pan Jan, który miał prawo gniéwać się i dekreta na mnie wydawać, ujął się i obronił. Bracia mnie wszystko opowiedzieli, i także pana Jana bardzo pochwalili.

— Nijakich ja pochwał godzien nie jestem — odpowiedział Jan, — i nijakiego prawa gniéwać się na pannę Jadwigę nie mam. Pewien jestem, że przez to rzucenie kamienia tylko panna Jadwiga zażartować ze mnie chciała.

Szkarłatem oblała się, a mnóztwo połyskliwego puchu, który z ostów wyskubała, wymknęło się z jéj palców i w powietrze uleciało. Wzrok jéj, zawstydzony i niedowierzający, po twarzy jego przemknął.

— Niech pan Jan nie udaje i mnie do kłamstwa nie kusi. Co zrobiło się, tego już nie odrobić, a łganiem gorzéj jeszcze człowiek plamę swoję uczerni, że jéj już prawie wyprać nie będzie można. Co się zrobiło, to zrobiło się. Nie dla téj przyczyny ja przyszłam, żeby łgać i swojego postępowania wypiérać się, ale dla téj, żeby oświadczyć, że ja do pana Jana nijakiego już żalu ani gniéwu i nijakiéj pretensyi nie mam. Serce nie sługa, nie zna co to pany. Co pan Jan winien temu, że w inszéj stronie dla pana słońce wzeszło? Owszem. Daj Boże panu szczęście, zdrowie i powodzenie...

Znowu trochę połyskliwego puchu z palców jéj w powietrze uleciało; podniosła oczy na towarzysza lat dziecinnych; oczy jéj były łzami oszklone.

— Z gruntu serca ja panu Janowi wszystkiego dobrego życzę! — szepnęła.

Ujęty i wzruszony, z zapałem odpowiedział:

— Ja także dla panny Jadwigi na zawsze szczérym przyjacielem pozostanę, a mam nadzieję, że i pannę Jadwigę szczęście na tym świecie nie ominie...

— Spodziéwam się—odszepnęła,—spodziéwam się, że i mnie Pan Bóg nie opuści...

— A wprędce też może i dozgonnego przyjaciela, takiego, który panny Jadwigi wart będzie, zeszle...

Łza stoczyła się po rozognionym jéj policzku i na wiszące u szyi końce żałobnéj wstążeczki spadła, ale z głową spokojnie i trochę dumnie podniesioną, Jadwiga powtórzyła:

— Spodziéwam się, spodziéwam się, że tego dostąpię. Kiedy już takie przeznaczenie kobiéty, żeby jak tyka sama na świecie nie tkwiła, to i mnie go nie ominąć...

— Tedy i ja z gruntu serca pannie Jadwidze wszystkiego dobrego życzę, a proszę, żeby do mnie nijakiego gniéwu nie miała...

— A ja pana Jana o dobre wspominanie proszę...

— A jakże! całe życie przyjacielem pani ostanę...

Rękę do niego wyciągnęła; on z uszanowaniem ją pocałował.

— Do chaty mi pora—rzekła; — parobek żyto na nasienie młóci, jeszcze źle wymłóci, i dziadunio nie domaga!

Zwolna odwróciła się i zwolna, w czarnéj swéj sukni, wyprostowana i silna, w grubym warkoczu, jak w wieńcu brunatnéj pszenicy na głowie, w głąb „okolicy“ ścieżkami odeszła.

Jana jakby przypomnienie jakieś w serce uderzyło, tak wstrząsnął się cały i tak szybko ku zagrodzie swojéj prawie biédz zaczął. Przed rozmową swą z Domuntówną widział Justynę, ze stryjem jego w bramie ich zagrody rozmawiają-

cą. Ale gdzież teraz była? Może już odeszła? widziała, że on tak długo z Domuntówną rozmawia, i Bóg wié, co sobie myśli! Zdyszany i niespokojny przebiegł w ogród i wpadł w podwórko. Anzelm w skurczonéj tróchę postawie, na schodce małego ganku siedział, plecy o słupek opiérając.

— Gdzie panna Justyna, stryjku? Tylko co tu była, a teraz nigdzie jéj nie widać! Gdzie poszła? Może do domu?...

Stary ku brzegowi góry ręką rzucił:

— Zdaje się, że nad Niemen poszła...

Jan rzucił się już we wskazanym kierunku, kiedy go głos stryja zatrzymał.

— Janek! poczekaj trochę! posłuchaj! Czego ty latasz jak zwaryowany i rozum tracisz? Co z tego będzie? czy z tego co będzie?

Mówił to z surowością, którą wielki niepokój pokrywał; Jan téż przystanął zrazu, i widać było, że słowa stryja wyrozumiéć usiłował, ale nie mógł, takie go niecierpliwości paliły i tak go coś z miejsca podrywało.

— Aj, aj, stryjku! niech już późniéj! czasu teraz nie mam! — zawołał, i pędem puścił się we wskazaną stronę.

Zaledwie na krawędzi zielonéj góry stanął, gdy niżéj, w połowie jéj stoku, pod rozłożystą topolą srébrną, białą suknię i czarne włosy,

w grona czerwonych jarzębin ubrane, zobaczył. W mgnieniu oka obok Justyny stanął.

— Strasznie zląkłem się! — mówił; — myślałem, że pani może już do domu poszła, bez pożegnania!

Justyna ruchem ręki ukazała mu roztaczający się przed nimi widok. Był on wspaniałym i olśniéwająco świetnym. Blade słońce jesienne w momencie zachodu swego ustroiło się w takie blaski i barwy, jakich na zenicie nawet królując, nie posiadało nigdy. Tarczy słonecznéj widać nie było, bo okryła ją płachta złota, purpurą i fioletem przetykana; wyżéj zaś, po całym błękicie nieba, rozsiały się puchy obłoków szkarłatem i złotem nalanych i nierówne, podarte, krepowe niby smugi srébra i fioletu. Wszystko to było ruchome, niby żywe, płynęło, przeléwało się, mieniło i jak w zwierciedle odbijało się w szérokich, przejrzystych, prawie nieruchomych wodach rzéki. Więc i ona, od dalekiego zakrętu płynęła zrazu samém czystém złotem, a potém na dnie swojém ukazywała rozrzucone w nieładzie rubiny, opale, ametysty i agaty. Wydawała się rozwartą i przez kryształową szybę zlekka przysłonioną kopalnią klejnotów. W zarzecznym borze, także blaskami przenikniętym, żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się od siebie, a pomiędzy niemi, zdala nawet dostrzedz było można krwistą rdzawość usychających paproci i dno lasu opły-

wającą srébrzystość siwych mchów. Górą, po koronach sosen prawie czarnych, tu i owdzie ślizgały się i kładły złote i seledynowe rąbki. Wszystko to zaś niby zaklęty obraz, stało w zupełnéj ciszy i pustce powietrza. Ptastwo po gniazdach usypiało, i tylko w rozłożystéj topoli srébrnéj, czasem jeszcze ćwierkało coś, szeleściło i wnet milkło.

Jan patrzył na wodę, bór, niebo.

— Cudności! — rzekł.

— Cudności! — powtórzyła Justyna.

Spojrzeli na siebie, i wnet znowu utopili wzroki w rozwartéj u stóp ich kopalni klejnotów. Z nieba i z pod wody padały na nich i od stóp do głów oblewały ich gorące i świetne blaski. Stali w nich nieruchomi, milczący, z owém wewnętrzném drżeniem, którém napełnia ludzi zbliżanie się wielkiéj chwili ich życia. Tak nadlatujący z oddali wicher wstrząsa głębiny lasów i tak przed wejściem słońca, dreszcz rozkoszy i trwogi przebiega po obudzonéj ziemi.

Zaczynali rozmawiać, ale rozmowa im nie szła; głosy cichły, czémś przytłaczane, i słowa urywały się w połowie. Zdawać się mogło, że o czémkolwiek mówić pragnęli — a nie mogli. Jeszcze nie mogli.

Pod ogorzałą skórą twarzy Justyny, przepływały co chwila rumieńce zawstydzenia; oczy Jana, co chwila zwracały się ku niéj, i z chmurną

trwogą odwracały się w inną stronę. Było to tak, jakby oczekiwali, aby z nich spłynęły i na ziemi przygasły te wielkie blaski, które każdy rys i każde drgnienie ich twarzy ukazywały z wypukłością rzeźby, wśród jaskrawego tła umieszczonéj.

Wkrótce téż owe blaski przygasać zaczęły na niebie, a jednocześnie i wody rzéki powlekły się szarością, po któréj już tylko tu i owdzie błądziły fioletowe lub czerwonawe smugi. Drzewa boru zmieszały się i utworzyły czarną, nieprzebitą dla oka ścianę. Zmrok łagodnemi falami spływać zaczął od gwiazd, które stopniowo pozapalały się na pociemniałém sklepieniu. Cisza panowała wielka.

Wtém, pośród ciszy, od dalekiego punktu okolicy doleciał przeciągły, kilka razy powtórzony okrzyk. Ktoś kogoś wołał. Niby w borze przyczajony duch psotny a smętny, wołanie to porwał i niósł w głębie boru, powtarzając je długo, przeciągle, srébrnie.

— Echo! — szepnęła Justyna.

— Z tego miejsca gdzie my teraz stoim, najlepiéj echa słyszéć się dają, — odpowiedział Jan, i jakby towarzyszce przyjemność chciał zrobić, donośnie zawołał: — Ho! ho!

Za rzéką, po głębinach boru podniosło się długo, raźnie, wesoło:

— Ho! ho! ho! ho!

Ostatni dźwięk doleciał tu już tylko przeciągłém, rozwiewném westchnieniem.

— Niech pani teraz trochę z echem porozmawia! — poprosił Jan.

Zbliżył się do Justyny tak, że ramieniem rękawa sukni jéj dotykał, w przytłumionym głosie jego czuć było, że drżał.

— La! la! la! — zawołała.

Śpiéwnie, figlarnie, echo aż pod koniec firmamentu poniosło nótę:

— La, la, la, la!

— Panno Justyno! — zaczął Jan, — niech pani echu powié to imię, które dla pani najmilsze jest na świecie! Proszę, proszę, na wszystko proszę zawołać tego, kto dla pani miły!

Pod spadającemi na jéj czoło liśćmi topoli stała płonąca i tak wzruszona, że na chwilę oddéch zatrzymał się jéj w piersi. Aż nad coraz więcéj ciemniejącą rzéką, w coraz ciemniejszém powietrzu, zabrzmiało imię:

— Janku!

Bór przeciągle, głośno, śpiéwnie trzy razy odpowiedział:

— Jan-ku! Jan-ku! Jan-ku!

Justyna na rozśpiéwany bór patrzyła i czuła, że kibić jéj otacza ramię niecierpliwe, a przecież nieśmiałe. Z sercem prędko bijącém próbowała jeszcze z echem rozmawiać.

— Jan-ku! — zawołała jeszcze.

Ale echo nie odpowiedziało, tak wołanie było ciche i tak prędko na jéj ustach stłumił je pocałunek. Powoli, uwalniając się z jego objęcia, twarzą w twarz przed nim stanęła, obie dłonie położyła mu na ramionach i dobrowolnie, z dreszczem szczęścia, z rozkoszą ufności bez granic, głowę na jego pierś pochyliła.

— Królowo moja! najdroższa! jedyna! czy moja ty? czy moja? moja?

— Na zawsze! — odpowiedziała.

Nad dalekim zakrętem Niemna, jakby z wody wypłynął ognisty sierp wschodzącego księżyca, prędko powiększał się, zaokrąglał, podnosił, aż nad rzéką zawisł ogromną, pałającą tarczą. Gwiazdy gasły, świat tonął w ciszy i rozwidniał się łagodną, marzącą światłością. Pod srébrną topolą szémrały szepty tak ciche, że nie słyszał ich nawet człowiek, który w grubéj kapocie i wielkiéj kosmatéj czapce, u szczytu góry, pod rzędem lip nieruchomych siedział, z głową opartą na ręku i twarzą ku księżycowi obróconą.

V.

Nazajutrz wiele na raz gości Korczyn nawiédziło. Naprzód, w dość wczesnéj przedpołudniowéj godzinie, przed gankiem domu stanął zgrabny koczyk, z którego, w najmodniejszym płaszczu i fantazyjnym kapeluszu, wyskoczył Zygmunt Korczyński, i kredensowego wyrostka, który na spotkanie jego wyszedł, niecierpliwie o stryja zapytywał. Benedykt był w domu, i zaprosił synowca do gabinetu, w którym téż wnet słyszéć się dała wielce ożywiona rozmowa, przez trzy głosy prowadzona. Zygmunt dowodził czegoś rozdrażnionym głosem, nalegał i prosił. Szło mu o to, aby Benedykt przekonać usiłował panią Andrzejową o konieczności wydzierżawienia, jeżeli już nie sprzedania Osowiec i wyjechania z nim za granicę. On, z żoną, za parę miesięcy wyjechać postanowił, ale żal mu matki i ma niejaki skrupuł pozostawiać ją samotną i w stanie ostrego, jak mówił, nerwowego rozdrażnienia.

Benedykt o dawaniu podobnych rad bratowéj słuchać nie chciał, wręcz odmawiał, i synowca z powagą upominał. Witold wybuchał, mówił prędko, zdając się stryjecznego brata o czémś przekonywać i o coś go błagać.

W niespełna godzinę po przybyciu Zygmunta, zgrabną najtyczanką i pięknemi końmi, do Różyca należącemi, nadjechał Kirło. Przybywał widocznie od bogatego kuzyna, z Wołowszczyzny. Nie wiedzieć dla czego, dla facecyi zapewne i rozśmieszenia stojącéj na ganku Leoni, na palcach i chyłkiem do sieni wszedłszy, płaszcz naśladujący te, które tego lata nosili Darzecki i Zygmunt, na wieszadłach umieścił, do Leoni się zwrócił, i z palcem uroczyście podniesionym, cicho zapytał:

— A panna Justyna śpi?

Dziéwczynka odpowiedziała, że Justysi dziś jeszcze nie widziała, ale zapewne oddawna już nie śpi, szyje może, albo ubiéra się do zejścia na dół.

— Niechże nic ciężkiego na siebie nie kładzie — szepnął gość,— aby jéj lekko było pod sufit skakać...

Leonia széroko oczy otworzyła.

— Dla czegoż to Justysia skakać dziś ma aż pod sufit?

— Z radości, panno Leoniu, z radości!— uśmiéchał się Kirło. — Zobaczy panna Leonia, jaka to

radość dziś tu panować będzie, a potém... weselisko nastąpi... wesielisko!...

Zatarł ręce i poprosił dziéwczynki, do najwyższego stopnia zaciekawionéj, aby go matce oznajmiła. Pani Emilia, zaledwie przed kwadransem obudzona, piła w łóżku kakao, lecz dowiedziawszy się o przybyciu miłego sąsiada, prosić go do buduaru kazała, a sama pośpiesznie i ze staraniem, w biały, długi, bufami i koronkami okryty negliż przyoblekać się zaczęła.

Kirło z kapeluszem w spuszczonéj ręce, z wydętym przodem koszuli, z tryumfującą postawą i tajemniczym wyrazem twarzy, przez salon przechodził.

Nakoniec podjechała pod ganek bryczka, prosta, trzęsąca bryczka, przez parę fornalskich koni ciągnięta, z parobkiem w siermiędze na kozłach, znaczną liczbą istot różnéj płci i wieku napełniona. Napełniali ją: kobiéta z głową i twarzą białym muślinem owiniętą, podrastająca dziéwczynka w słomianym kapeluszu, dwaj chłopcy w szkolnych bluzach i śniade, czarnowłose, cztéroletnie dziecko. Benedykt i Witold przez okno poznawszy Kirłową, na spotkanie jéj wybiegli. W sieni, woalkę z głowy odwijając i gromadkę swę ukazując, Kirłowa bardzo zmieszana, mówiła:

— Przepraszam, bardzo przepraszam, że z taką gromadą przyjeżdżam, ale u Teofila dwa dni

bawiliśmy wszyscy, i ztamtąd jedziemy. Na półgodzinki tylko zajechałam, aby moją Marynię zabrać i o ważnym interesie pomówić.

Pomimo zmieszania, widocznie czémś uradowaną była; ku małéj Broni, która zaraz po wysadzeniu jéj z bryczki chwyciła fałdy staréj jedwabnéj sukni matczynéj, pochyliła się, twarz jéj chustką z pyłu otarła, rozczochrane włosy o ile się dało przygładziła, i na ziemi przysiadłszy związywała tasiemki nowych widocznie bucików.

Gdy podniosła się z ziemi, Benedykt z uprzejmością do salonu ją zapraszał. Widoczném było, że dla téj kobiéty miał wiele szacunku, a może i współczucia.

Ale Kirłowa wymawiać się zaczęła. Wiedziała, że panią Benedyktową fatygują wszelkie rozmowy i wizyty, uprzykrzać się więc nie chciała; przybyła tu zresztą tylko na pół godziny dla zabrania córki i pomówienia o interesie z gospodarzem domu i Justynką. Do nich dwojga tylko interes miała, więc możeby gdzie na stronie, w ubocznym jakim pokoju...

Benedykt ukazywał jéj swój gabinet, ale w téjże chwili ze wschodów zbiegła najstarsza córka Kirłowéj, która od dni kilku bawiąc w Korczynie z Martą i Justyną, w pokoju na górze mieszkała. Świéża, wesoła, rzuciła się matce na szyję, i rozszczebiotana zaraz opowiadać zaczęła, jak wy-

bornie bawiła się na weselu, o tańcach, w których udział brała, o śpiéwach na Niemnie i t. d.

Kirłowa z rozrzewnieniem na nię patrzyła, dłonią gładząc jéj jasne włosy.

— Piérwszy raz w życiu rozstałyśmy się na tak długo—rzekła, zwracając się do Benedykta;— ale to dobrze, że dziecko zabawiło się trochę. U nas w Olszynce życie bardzo jednostajne i pracowite, a młodość rozrywki potrzebuje...

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy na wschodach ukazała się Justyna, i szybko ku Kirłowéj podbiegłszy, w rękę ją pocałowała. Oddawna już okazywała jéj zawsze niezwykłe uszanowanie i sympatyą, mówiąc, że spostrzega w niéj żywe podobieństwo do swéj wcześnie utraconéj matki. Ale dziś twarz młodéj panny była tak rozpromieniona, taki wyraz pogody i szczęśliwego rozmarzenia okrywał jéj śniade czoło i napełniał oczy, że Kirłowa z uwagą popatrzyła na nię i szyję jéj obejmując, do ucha szepnęła:

— Domyślasz się z czém przyjechałam... i wszystkie chmurki na suche lasy od ciebie frunęły! Cieszę się... o, jak cieszę się! Tak szczérze pragnę twego szczęścia i jeszcze czyjegoś... czyjegoś!

Justyna nic nie odpowiedziała, tylko filuterny uśmiéch przemknął jéj po ustach i w źrenicach.

— A teraz, dzieci!—ku swojéj gromadce zwróciła się Kirłowa,— ruszajcie do ogrodu! Nim ja

z panem Benedyktem i Justynką rozmówię się, popatrzcie sobie na śliczny korczyński ogród. Tylko cicho, grzecznie, nie hałasować, bo toby pani Benedyktowéj przykrość zrobić mogło!

Chłopcy ruszyli się zaraz, Rózia małą Bronię za rękę wzięła, chcąc i ją uprowadzić. Ale dziecko przerażone oczy ku siostrze zwracając, obu już piąstkami spódnicę matczyną pochwyciło.

— Ja tu... ja z mamą! — z koralowych ustek wydobyła się prośba żałosna.

Kirłowa ramionami ruszyła.

— Niech już zostaje... co z tym czarnym rozczochrańcem robić? Zresztą, takie to jeszcze małe i głupie, że wszystko przy niém mówić można. Nic nie rozumié i nic nie powtórzy najpewniéj!

Gromadka z najstarszą Marynią na czele ku ogrodowi ruszyła. Przez salon przechodzili wszyscy na palcach, bo zamknięte drzwi od pokoju pani Emilii, sprawiały na nich rodzaj groźnego i uroczystego wrażenia. Witold, który dnia tego, po raz piérwszy młodziutką przyjaciółkę swoję zobaczył, do ogrodu téż za nią pobiegł. Zygmunt niedbale ręce w tył założywszy, powoli, sztywnie, po pustym salonie przechadzać się zaczął.

W gabinecie Benedykta Kirłowa przy stole, na którym leżało kilka książek Witolda, usiadła; u kolan jéj przykucnęła Bronia, któréj różowa

sukienka i śniade, nagie ramiona wypukle odrzynały się na tle czarnéj matczynéj sukni. Justyna obok, a gospodarz domu naprzeciw miejsce zajęli.

Zaledwie przecież Kirłowa, ze zmieszania i ze wzruszenia aż po brzegi jasnych włosów zarumieniona, kilka słów wybąknąć zdołała, we drzwiach stanęła pani Emilia, białym, długim, koronkami okrytym peniuariem opłynięta i w szczególny sposób ożywiona. Za nią ukazał się Kirło, z kapeluszem w ręku, uśmiéchnięty, tryumfujący; z za niego zaś, z miodową błogością w błękitnych oczach, z plastrem na szczęce a jesiennym kwiatkiem w rudym warkoczu, wysunęła się Teresa. Podlotek zaś, zgrabny, ufryzowany, wystrojony, z bladawą twarzyczką, od kilku już chwil w kątku niepostrzeżenie przykucnąwszy, széroko z ciekawości oczy otwiérał.

Gospodyni domu, ze zwykłą sobie słodyczą powitawszy gościa, opuściła się na stojący u biurka fotel mężowski.

— Mam nadzieję—zcicha i tonem prośby przemówiła,— że państwo pozwolicie mi wziąć udział w swojéj poufnéj rozmowie. Wiém, że idzie tu o los Justynki, który mnie także obchodzi...

Teresa nie mówiąc nic, w nieśmiałéj postawie za przyjaciółką stanęła. Wszakże tu mowa o miłości być miała! Wszak tu o miłość szło! Wiedziała o tém, i postawą, wejrzeniem, splecionemi

dłońmi błagać zdawała się, aby jéj ztąd nie oddalano. Kirło, we dwoje giął się przed Justyną i tak mocno usta do ręki jéj przylepił, że aż ją cofnąć musiała.

Kirłowa tém powiększeniem się towarzystwa do najwyższego stopnia już zmieszana, rumieniła się i niespokojnie poruszała na krześle. Po chwili jednak, używając całéj odwagi i energii, głośno przemówiła:

— Moi państwo! tego, z czém przyjechałam, w bawełnę obwijać nie będę. Prosto z mostu, najlepiéj. Posłem jestem. Kuzyn mój, Teofil Różyc, prosi przezemnie o rękę Justynki. Osobiście nie oświadcza się dlatego, że toby go zanadto wzruszyło i zdenerwowało, a przytém nie jest pewien jaką odpowiedź otrzyma, ale jeżeli tylko będzie ona pomyślną, natychmiast sam przyjedzie... natychmiast!

Nikogo słowa te nie zadziwiły, bo wszyscy już je przewidywali. Pani Emilia jednak splotła śliczne swoje ręce i słabym głosem zawołała:

— Co za szczęście dla Justynki! Jakże piękne, szlachetne, wzniosłe jest postępowanie pana Różyca!

Teresa wydawała się w niebobraną; Kirło na krześle siedząc, naprzód nieco podany, postawą, oczami, uśmiéchem, cieszył się i tryumfował. Na twarzy Justyny najlżejsze nie odbiło się wzrusze-

nie, powieki miała spuszczone i zamyślony uśmiéch na ustach.

Kirłowa, po chwilowém milczeniu, znowu na odwagę się zebrawszy, mówiła daléj:

— Teofil szczérze upodobał Justynkę, i zdaje mi się, że krok, który czyni, najlepiéj tego dowodzi. Jestem pewna, że byłaby z nim ona szczęśliwa, bo to złote serce i głowa téż nie byle jaka... Jednak, nim przyrzekłam, że tu posłem od niego zostanę, otwarcie i stanowczo mu powiedziałam, że wszystko o nim Justynce powiém, całą prawdę... Jeżeli o wszystkiém wiedząc, zgodzi się tego biédaka wyratować i uszczęśliwić, to dobrze; jeżeli nie, to cóż robić? Ale ja oszukiwać nikogo, za żadne skarby świata nie mogę. Teofil zgodził się, a nawet prosił mię, abym Justynkę o wszystkiém uprzedziła...

— Cóż? burzliwa przeszłość? zmarnowany majątek? — tonem zapytania rzucił Benedykt.

Kirło usta krzywił, ręką znaki niezadowolenia dawał, pomrukując:

— Niepotrzebnie! niepotrzebnie! głupie skrupuły!

Na twarz Kirłowéj wystąpił wyraz wielkiego zmartwienia. Zmąconemi oczyma po obecnych wodziła. Widoczném było, że wolałaby przed mniejszą znacznie kompanią mówić. Nie było jednak rady. Wszyscy obecni znajdować się tu mieli prawo.

— Nie,—odpowiedziała na zapytanie Benedykta; — nie to wcale! Majątek jest jeszcze piękny, można powiedzieć wielki, a przeszłość... no! co było a nie jest, nie pisze się w regestr. Jaką ona była, to była, ale żałuje on jéj teraz i wyratował z niéj jednak swoje złote serce. Jest rzecz inna... Teofil... Teoś...

Zająknęła się, zarumieniła się ogniściéj niż kiedykolwiek, i szeptem prawie dokończyła:

— Teoś jest mor... morfi... Boże! jakże się to nazywa? Zawsze zapominam!... mor... morfinistą!

Benedykt wielkiemi oczyma na nię patrzył.

— A toż co za dyabeł?— zapytał.— Nigdy nie słyszałem...

Cicho, jąkając się, z wielkim żalem Kirłowa wyszeptała to, co o tym przedmiocie od kuzyna wiedziała, usprawiedliwiać go usiłując. Chorował bardzo przed kilku laty, zagraniczni doktorowie ten przeklęty zwyczaj mu zaszczepili...

Benedykt wąsa w dół pociągnął.

— Prosto z mostu mówiąc... pijakiem jest! — zauważył.

Kirłowa aż wstrzęsła się, tak ją wyraz ten zabolał. Ależ doprawdy, on nie winien, że go ten wielki świat do tego doprowadził i wielka fortuna na takie pokuszenia i awantury naraziła. Pragnie wyleczyć się, próbował już nie raz, bo wstyd mu samego siebie i życia młodego żal... ale dotąd nie mógł. Chyba go kobiéta, która po-

kochał, uléczy... klin klinem wybijać najlepiéj... Szczęśliwym się czując, nudzić się przestanie; domowe, porządne, regularne życie powróci mu zdrowie i chęć do zajęcia się majątkiem. Justynka prawdziwe zadanie Siostry Miłosierdzia spełniać przy nim może, jeżeli tylko zechce, jeżeli ją to, o czém się dowiedziała, nie zraziło...

Tu pani Emilia splecione ręce w górę wzniosła.

— Zrażać! o Boże! — zawołała. — To o czém dowiedzieliśmy się, czyni pana Różyca więcéj jeszcze interesującym... obudza jeszcze żywszą dla niego sympatyę, bo świadczy o naturze pragnącéj wyrwać się z więzów szaréj rzeczywistości, upajać się choćby snami o tém, co piękne, wzniosłe, poetyczne. Z takim człowiekiem dzielić życie, razem z nim kochać, marzyć...

— Może i upijać się! — mruknął pod wąsem Benedykt, którego oświadczyny te najmniéj zdawały się zachwycać.

— To prawdziwe szczęście!— dokończyła pani Emilia.

— Doprawdy od takiego szczęścia umrzéć można! — za poręczą fotelu zadzwonił cienki głosik Teresy.

— Fortuna pańska... nazwisko piękne... stosunki... co to i mówić! — z błogim uśmiéchem szeptał Kirło.

Kirłowa zaś ze łzami w oczach zwróciła się do Justyny:

— Złote ma serce, kobiétę poczciwą i przywiązaną ocenić i uszczęśliwić potrafi. Gdybyś ty, Justynko, wiedziała, jaki on dla nas dobry! Inny, na jego miejscu, znaćby nie chciał ubogich krewnych, a on przyjacielem jest, prawie bratem i... dobroczyńcą nawet, bo wiész? czemużbym do tego przyznać się nie miała? biéda przecież wstydu nie czyni? — chłopcami naszymi zaopiekować się przyrzekł i w szkołach za nich płacić... raz już, za jedno półrocze zapłacił... ale to nic nie znaczy — wobec serca i przychylności! Bronkę naszę bardzo lubi i czasem na rękach ją nosi... Onegdaj przyjechał do Olszynki i jak zaczął nas prosić: Przyjedźcie wszyscy do Wołowszczyzny na parę dni przynajmniéj! To téż dwa dni bawiliśmy teraz u niego, całą gromadą, a jak on nas przyjmował!... O przysmaki i inne pańskie przyjemności mniejsza... ale sam usługiwał nam, z dziećmi bawił się, i chwilami tylko w tę swoję nieszczęsną apatyą wpadał... Złote serce i bardzo biédny człowiek... choć bogaty!

Wilgotne oczy otarła i do Justyny zwrócona wpółproszącym, a wpół zniecierpliwionym tonem, zapytała:

— Cóż, Justynko?

Co zdarzało się bardzo rzadko, pani Emilia wybuchnęła:

— Ależ naturalnie, że Justynka przyjmuje... to cud prawdziwy... niespodzianka losu...

— To już chyba święty Antoni sprawił!...— zadzwoniła Teresa.

— Ja zawczasu, zawczasu przyszłéj pani Różycowéj do nóżek się ścielę! — z niżkim ukłonem umizgnął się Kirło.

Benedykt milczał, wąs na palec zakręcał, aż z kolei zapytał:

— Cóż, Justynko? mówże!

Justyna podniosła powieki; była zupełnie spokojną, i przyjazne wejrzenie na Kirłową zwracając, z lekkim ku niéj ukłonem zaczęła:

— Bardzo wdzięczna jestem panu Różycowi za jego uczciwe i zobowiązujące względem mnie postąpienie. Wiém jednak, że nie mało namów i wpływów trzeba było na to, aby go do tego kroku nakłonić; domyślam się téż, że nie mało walczyć on z sobą musiał, nim się na ten krok zdecydował. Zupełnie to zresztą rozumiém. Ani położenie moje, ani wychowanie, ani przyzwyczajenia i gusta nie czynią mnie odpowiednią dla niego towarzyszką życia. Na wielką panią i i światową kobiétę nie mam kwalifikacyj żadnych, ani téż żadnéj do takiego stanowiska pretensyi...

— Tém więcéj, tém więcéj ocenić powinnaś to bohatérstwo miłości,—wtrąciła pani Emilia.

— Tém większy w tém cud Opatrzności bozkiéj! — zawtórowała Teresa.

— Wszystko to — zwrócona do Kirłowéj kończyła Justyna — jużby mi przyjęcie téj ofiary, za którą jednak wdzięczna jestem, niemożliwém uczyniło... Ale najważniejszą i stanowczo w tym wypadku rozstrzygającą rzeczą jest to, że od wczoraj jestem zaręczona...

Na chwilę dotknięci oniemieniem, wszyscy obecni jednogłośnie zawołali:

— Co? kiedy? jak? z kim? z kim?

Justyna powstała. Coś ją z krzesła podniosło i warem oblało.

— Z sąsiadem Korczyna, właścicielem kawałka ziemi w bohatyrowieckiéj okolicy, z panem Janem Bohatyrowiczem! — wypowiedziała zwolna, głosem trochę od wzruszenia drżącym.

Teraz dopiéro w obecnych uderzył grom zdumienia. Pokój napełnił się wykrzykami.

— Co to? jak to? kto to? Żartujesz! Ona żartuje! Pani żartuje!

Widać jednak było po Justynie, że nie żartowała wcale. Brwi jéj ściągnęły się, z podniesioną głową, błyskającym wzrokiem po obecnych wodziła. Nakoniec Benedykt ręką machnął.

— A poczekajcież, państwo!—zawołał,—niech ja się u niéj o wszystko rozpytam!

Do siostrzenicy się zwrócił:

— Nie żartujesz, Justysiu? seryo mówisz? zaręczyłaś się naprawdę z jakimś Bohatyrowiczem?

Pokazała mu swoję rękę.

— Widzisz, wuju, pierścionka matki mojéj na palcu nie mam. Wczoraj mu go oddałam. Serce, ręka i przyszłość moja do niego należą.

Benedykt dziwnie jakoś czmychnął, coś zamruczał, na siostrzenicę popatrzył i znowu zapytał:

— Jakimże wypadkiem poznać się z nim mogłaś?

Trochę smutny uśmiéch po ustach jéj przebiegł; pilnie przez kilka sekund wujowi w oczy popatrzyła.

— Prawda, wuju, że tylko wypadkiem my i oni poznawać się z sobą możemy!

— No, no! — mruknął Benedykt, — te filozofie co innego, a twój los co innego! Czy zakochałaś się w tym człowieku, ha? Naprawdę kochasz go?

Znowu jakby elektryczna iskra w serce jéj uderzyła, płomień na czoło a wilgoć w oczy rzucając. Podniosła głowę.

— Kocham go z całego serca, i jak w to, że żyję, wierzę, że jestem kochaną,— odpowiedziała.

Pani Emilii „zrobiło się niedobrze.“ Nagle i niespodziéwanie globus do gardła podchodzić jéj zaczął. Zdławionym głosem i z oczyma już łez pełnemi zawołała jednak:

— Justynko! jakto? ty taka dumna! ty, co przez dumę nic odemnie przyjąć nie chciałaś, kiedy ja ciebie, jak wypadało, ubiérać pragnęłam! Ty, co przez dumę najniewinniéj żartować z siebie nie pozwalałaś! ty, odrzucasz teraz los świe-

tny, wysokie stanowisko w świecie, a wyjść chcesz za chłopa... tak! za chłopa... O, Boże! cóż to za tajemniczość! jakie zagadki serc ludzkich!

Justyna uśmiéchała się.

— Zagadki w tém żadnéj niéma, — odpowiedziała. — Właśnie dla tego, że dumna jestem, nie chcę być wzięta za żonę przez wspaniałomyślność i bohatérstwo, przez cud Opatrzności, albo świętego Antoniego, z łaski, z namowy... Wolę zawdzięczać byt i szczęście sercu człowieka, który mię kocha, i wspólnéj z nim pracy...

— Androny! — zawołał Benedykt,—te wszystkie cuda, tajemniczości, zagadki, za grosz sensu nie mają! Podobała się paniczowi poczciwa i przystojna dziéwczyna — cud szczególniejszy! Dziéwczyna zakochała się w ładnym i może poczciwym chłopcu — także tajemniczość i zagadka! Wszystko to funta kłaków nie warte!... Co w tém jest rzeczywistego, moje dziecko — dodał zwracając się do Justyny,—to to, że może nie znasz dobrze tego życia, na które się decydujesz...

— Poznałam je zblizka i dobrze, mój wuju...

— Poczekaj! A praca! Czy ty wiész jaka cię praca tam czeka?

Tym razem uniosła się.

— Ależ, mój wuju — z mocą odparła, — brak pracy właśnie był mi oddawna trucizną i wstydem! O, jakże wdzięczna jestem temu, który

nię pod nizki, ale własny dach swój biorąc, daje nie tylko zadowolenie serca, ale zajęcie dla rąk i myśli, zadanie życia, możność dopomagania komuś, pracowania na siebie i dla innych!...

Oczy Benedykta miękły, rozjaśniały się, coraz cieplejszém wejrzeniem w twarzy krewnéj tkwiły. Wahającym się przecież głosem zaczął jeszcze:

— No... a z tą... z tą niestosownością umysłową, jakże będzie?

— Niéma jéj, mój wuju; ktoby tu niestosowność tę znalazł, sądziłby z pozorów. Uczoną nie jestem, ani artystką; żadnych niepospolitych zdolności ani talentów nie mam, i tylko tyle rozsądną jestem, by to znać i wiedziéć. Z tego co umiém, bez wahania i żalu odrzucę drobnostki, które ani mnie, ani jak mi się zdaje, nikomu pożytkuby żadnego nie przyniosły. A jeżeli światła, z łaski twojéj, mój wuju, otrzymanego zostanie mi jeszcze trochę więcéj niż on... niż oni go posiadają...

Wzruszenie głos jéj zatamowało; ale z podniesionėm i rozpromienionėm czołem dokończyła:

— Z jakiémże szczęściem pomiędzy nich je wniosę!... o! z jakiém szczęściem trzymać będę nad nimi ubogą moją lampkę, aby im trochę widniéj, jaśniéj, weseléj było!...

Benedykt wstał. Wąsa do góry podkręcał.

— Wy młodzi wszyscy teraz w jednę dudkę

gracie! Ale — dodał — macie racyą... nie ma co mówić! macie racyą!

Pani Emilia uczuła kłócie w łopatkach, w boku, w piersi, i tyle tylko miała siły, aby zawołać:

— Tereniu! pomóż mi podnieść się, Tereniu!

Teresa pośpiesznie z fotelu wstać jéj dopomogła i ku drzwiom uprowadzała.

Kirło — co w wypadkach podobnych nie zdarzało się nigdy—ku osłabłéj i rozbolałéj gospodyni domu żadnego poruszenia nie uczynił. Jak do krzesła przykuty, jak skamieniały siedział, z ustami rozwartemi, z osowiałym wzrokiem. Nie rozumiał tego co zaszło, co dokoła niego mówiono; poprostu nie rozumiał. Nie mógł ani dziwić się, ani gniéwać, ani oburzać, bo wszystkie myśli z głowy mu pouciekały, oprócz jednéj, uporczywie po niéj krążącéj:

— Teoś Różyc harbuza dostał... on, Różyc, dziedzic Wołowszczyzny, siostrzeniec księżny, harbuza dostał....

Ustami poruszył i zcicha wymówił:

— Teoś harbuza dostał...

Nakształt automatu wstał z krzesła, i z kapeluszem w spuszczonéj ręce, z otwartemi usty i osowiałym wzrokiem przez salon przechodził. Otwiérając drzwi od buduaru pani Emilii, znowu powtórzył:

— Teoś harbuza dostał...

Do salonu zaś z impetem wbiegał z ogrodu

Witold. Przed parą minut, niepostrzeżenie, leciuchno, Leonia z gabinetu ojca wyfrunęła, — przez salon przebiegając, kilkanaście słów wyszczebiotała do Zygmunta, który tam przy stole stare albumy i ilustracye przeglądał,— i z ganku zbiegłszy, w ogrodzie na cały głos wołać zaczęła:

— Widziu! Widziu!

Wszystko, co z kątka gabinetu wysłuchała, opowiedziała bratu, i tu zadanie swoje już spełniwszy, po wschodach na górę, do Marty frunęła.

Witold zaś siostry wysłuchawszy, pędem do domu wpadł, Zygmunta w osłupiałéj postawie pośród salonu stojącego minął i do gabinetu wbiegłszy, Justynę za obie ręce pochwycił.

— Justynko! duszko! siostrzyczko! ja trochę spodziéwałem się tego, ale tylko trochę, bo myślałem, że Buszmanka górę w tobie weźmie i pięknych tatuażów pożałujesz... Zdecydowałaś się więc tego zacnego chłopca uszczęśliwić, pracownicą drogiéj ziemi naszéj zostać, światło swoje pomiędzy braci swoich wnieść! Brawo! winszuję! cieszę się... ach! jakże się cieszę!

I porwawszy ją wpół, śmiejąc się, w ręce ją całując, dwa razy się z nią dokoła pokoju okręcił. Ale potém spoważniał, i ręce krewnéj silnie w swoich ściskając, serdecznie w oczy jéj patrzył.

— Pamiętaj—rzekł,— że masz we mnie brata, nie tylko ze krwi, ale i z ducha. Wspólnikami

i nawzajem pomocnikami sobie będziemy. Za przyjaciela i brata miéj mię... miejcie mię oboje! Benedykt, z ową pogodą, która od pary dni pomarszczoną jego twarz łagodziła i wygładzała, na uniesienie syna patrząc, uśmiéchał się.

— Facecya! facecya z tymi młodymi! — pod długim wąsem mruczał. — Myślą, że świat do góry nogami wywrócą i cudów dokonają... a! Smutek przyćmił mu oczy, ręką machnął.

— Cóż, Justynko? — odezwał się,—czy to niewzruszone postanowienie twoje?

— Tak, niewzruszone—odpowiedziała,—że nic w świecie, nawet twoja wola, mój dobry wuju i opiekunie, odwieść mnie od niego nie zdoła.

Pochyliła się, w ręce go całując; on głowę jéj do piersi przycisnął.

Wtedy i Kirłowa z krzesła się podniosła i mówić chciała, ale tym ruchem obudziła małą Bronkę, która wstając, zaplątała się o rozwiązane tasiemki bucików i jak długa u stóp matki upadła. Że jednak zdarzało się jéj to bardzo często, więc najlżejszego głosu z siebie nie wydając, na czworakach naprzód stanęła; potém całkiem wstała, i ciemne, drobne, obnażone ramiona széroko rozkładając, z powagą wymówiła:

— Mamo, do domu!

Ale Kirłowa wcale ani na upadnięcie jéj, ani na objawione przez nię życzenie nie zważając, do

Justyny podeszła i za ręce ją wzięła. Twarz miała całą w ogniu i łzach.

— Żal mi, wielki żal biédnego i dobrego kuzyna mego!— zaczęła.— Jednak nie umiém kłamać: może i rozumnie postąpiłaś, dobrze wybrałaś... może i szczęśliwą będziesz...

Ucałowała ją serdecznie.

— Kiedy rozgospodarzysz się już w swojéj chacie — cicho szeptała, — oddam ci moję Różię... do twojéj chaty ją oddam, aby ci pomocnicą i uczennicą była, a własnemi rękoma pracować przy ziemi uczyła się i przywykała...

Przez łzy się uśmiéchała.

— A może z czasem znajdziesz tam dla niéj, jak dla siebie znalazłaś, jakiego ładnego i poczciwego chłopca.

Jeszcze coś chciała Justynie do ucha szeptać, ale uczuła się za suknię pociągniętą. Mała Bronia u stóp jéj śniade ramionka széroko rozłożyła, i ze zwróconemi ku niéj, czarnemi jak węgle oczyma, z powagą powtórzyła:

— Kiedyż, mamo, ja chcę do domu!

Istotnie. Kirłowéj pora było wracać do domu, gdzie ją różne zajęcia i kłopoty oczekiwały; musiała przytém dziś jeszcze choć na chwilę do Wołowszczyzny zajechać. Poszła więc z Witoldem do ogrodu gromadki swojéj szukać.

Benedykt do odchodzącego syna zawołał:

— Powiédz tam komu, Widziu, aby Marty do mnie poprosił.

A do Justyny zwrócił się:

— Ojcu mówiłaś już o tém?

Nie miała jeszcze na to czasu, bo Orzelski późno wstawał i długo w swoim pokoju jadł śniadanie, a kiedy jedzeniem był zajęty, o niczém z nim rozmawiać nie było można.

— Idźże do niego teraz i powiédz... zawsze to ojciec! A ja z Martą pomówić muszę, rozpytać się!

Justyna przeszła pustą salę jadalną, i kierowała się ku wschodom na górę prowadzącym, gdy usłyszała wymówione za sobą swoje imię. Obejrzała się i zobaczyła Zygmunta, który u ściany stojąc, zwracał ku niéj twarz widocznie pobladłą i przerażoną.

— Czego sobie życzysz kuzynie?— zapytała.

— Chwili rozmowy z tobą... na wszystko co ci jest świętém na ziemi, o chwilę rozmowy cię proszę!

— Owszem, — z obojętną grzecznością odpowiedziała, i zbliżyła się ku niemu.

— Kuzynko! czy to prawda... czy prawda, że odmówiłaś Różycowi, a wychodzisz za jakiegoś... jakiegoś... que-sais-je? żagonowego... chłopa?

— Prawda,—spokojnie odrzekła.

— Wielki Boże! taki mezalians... taki mezalians popełnić, to narazić się na wieczną niezgo-

dę myśli i gustów! Wiész! jest to popełnić niemoralność!

Bystro, z nietajoném szyderstwem w twarz mu popatrzyła.

— Czy mię słuch myli, czy istotnie ty, kuzynie, ty, o zgodę w małżeństwie i o moralność troskę wyrażasz?

Zmieszał się trochę, ale wzburzenie i przerażenie z twarzy i postawy mu nie ustąpiło. Był jak zwykle żurnalowo ubrany, ale na tę chwilę żurnalową poprawność i sztywność utracił. Justyna odejść chciała; on rękę jéj, którą wnet usunęła, pochwycił.

— Cóż więcéj? — zapytała chłodno.

— To — zawołał, — że odgaduję cię, odgaduję wybornie motywa, pod których wpływem szalony ten krok dokonać postanowiłaś. Rozumiém... chcesz ścianą nieprzebytą rozdzielić się z dawném wspomnieniem... z dawném uczuciem... ze mną! Gdybyś za Różyca wyszła, należelibyśmy do jednego świata, musielibyśmy spotykać się z sobą... widywać... Więc uciekasz w inną sferę... mieszasz się z motłochem dla tego, aby zniknąć dla mnie, abym ja zniknął dla ciebie!

Patrzyła na niego széroko otwartemi oczyma, znaczenia słów jego zrazu zrozumiéć nie mogąc, a potém jakby własnym uszom nie dowierzając.

On miotał się i szczérze przerażony, tempera-

ment swój i zwykły układ zmieniać się zdawał. Za głowę się schwycił.

— Nie czyń tego! zaklinam cię! Nie gub siebie i nie obarczaj tak strasznie mego sumienia... Jak widmo zamordowanéj przezemnie istoty, zawsze widziałbym cię przed sobą! Zlituj się nademną i nad sobą samą! Przyrzekam ci, że oddalę się, że unikać cię będę, że niczém nie narażę cię na walkę, która straszną w tobie być musiała, skoro cię aż do tak rozpaczliwego kroku przywiodła!

Teraz dopiéro zrozumiała, uszom swoim uwierzyła, tysiąc daremnie wstrzymywanych uśmiéchów na twarzy jéj zadrgało, aż parsknęła głośnym, do powstrzymania niepodobnym, jak srébro dźwięcznym śmiéchem. Był to śmiéch młodéj piersi i szczęśliwéj duszy, tak szczęśliwéj, że byle co wywołać z niéj mogło dziecinną prawie wesołość. Z tym śmiéchem, jak z perlistą, niepohamowaną gamą odwróciła się od niego, sień przebiegła i na wschody szybko wstępować zaczęła. Zniknęła już za załomem wschodów, a śmiéch jéj jeszcze w wielkiéj sieni słyszéć się dawał, chociaż zmieszały się z nim figlarne także, to *staccato*, to znów *allegro* wygrywane dźwięki skrzypiec.

Zygmunt wyprostował się, usta trochę otworzył, według zwyczaju, którego nabiérać zaczy-

nał, własną, zaokrąglającą się postać wzrokiem obrzucił i przez zęby syknął:

— Prostaczka!

W niewielkim pokoju, pomiędzy łóżkiem z rozrzuconą pościelą, a stołem okrytym przyborami do golenia się i ubiérania, Orzelski w kwiecistym szlafroku grał na skrzypcach. Okno było otwarte; błękitne oczy grającego przesuwały się po widzialnych przez nie szczytach drzew, uśmiéchał się, na palcach nóg stawał, jakby z falami tonów w górę leciał; wiatr przez okno wlatujący, podnosił mu i kołysał nad głową białe jak mléko włosy.

Justyna z oczyma jeszcze pełnemi śmiéchu, który tylko co w piersi jéj umilkł, gorąco zarumieniona, do zatopionego w muzyce ojca podeszła.

— Mój ojcze — rzekła, — mam do pomówienia z ojcem o czémś ważném, bardzo dla mnie i dla ojca ważném.

Grać nie przestając, z roztargnieniem na nię spojrzał.

— Co tam takiego? aha! wiém... pan Różyc... Ale poczekaj! niech wprzódy te... serenadkę skończę!...

Justyna przy oknie usiadła, czekała; a dźwięki serenady długo jeszcze to *staccato*, to *allegro*, to znów *andantissimo* rozlegały się po pokoju. Nakoniec skończył, ustami cmoknął i koniec smyczka całując, uśmiéchnął się błogo.

— A co?... caca te... serenadka!...

Tymczasem, wkrótce po odejściu Justyny, bocznemi drzwiami do gabinetu Benedykta wsunęła się Marta. Nie weszła, jak zwykle, ze stukiem i impetem, ale wsunęła się dziwnie cicho, zmieszana, ciemną chustką otulona.

— Przysyłałeś po mnie, Benedykcie — zaczęła,—ale jabym i sama przyszła, bo wielką prośbę mam do ciebie... tylko nie wiém... słowo honoru, jak to powiedziéć...

— Cóż? może i ty zaręczyłaś się z jakim ładnym chłopcem? — zażartował Benedykt.

Ręką machnęła, naprzeciw krewnego na brzeżku krzesła usiadła.

— Tak już głupią nie jestem, aby o takich rzeczach myśléć... — z dziwną pokorą i uciszeniem odpowiedziała; — ale widzisz... Justynka za mąż wychodzi, i jeżeli zgodzisz się... pozwolisz, ja przy niéj, w jéj... w ich chacie zamieszkam sobie...

— Co? co? — zawołał Benedykt.

— Słowo honoru, bardzo chcę przy nich zamieszkać,—ze spuszczonemi oczyma i splecionemi na kolanach rękoma mówiła daléj:— Chleba darmo im jeść nie będę, bo i doświadczenie w gospodarstwie mam, i siły do pracy jeszcze trochę... Im, gołąbkom, moje ręce przydadzą się, a może i głowa cokolwiek doradzi... A tu ja niepotrze-

bna... wieczny smutek! niepotrzebna nikomu, nikomu, nikomu...

— Jakto niepotrzebna? Co ty wygadujesz? — niecierpliwić się zaczął Benedykt.

Głową z wysokim grzebieniem wstrząsając, twierdziła:

— A niepotrzebna! Cóż? dzieci powyrastały... twojéj żonie nigdy dogodzić ani przypodobać się nie mogłam... a co do gospodarstwa... wielkie rzeczy! ochmistrzynią sobie na moje miejsce weźmiesz... Justynka zaś sprzyja mnie, lubi... ona zawsze najwięcéj ze wszystkich mnie lubiła... Przytém, i tych ludzi, pomiędzy których ona idzie...

Zająknęła się, palcem po wilgotnéj rzęsie powiodła.

— I tych ludzi znałam niegdyś... lubiłam... sama dola mię do nich prowadziła... ale nie poszłam... za to teraz pójdę, popracuję z nimi trochę, a potém, pewno już niezadługo, oni dla mnie sami cztéry deski zbiją i na mogiłki sami poniosą... ot, czego mnie chce się... Justynka i Janek za dwa miesiące pobrać się postanowili... przez ten czas, ty, Benedykcie, ochmistrzynią sobie znajdziesz. Uf! nie mogę!

Zakrztusiła się i zakaszlała.

Benedykt patrzył, słuchał, aż wybuchnął:

— Facecya! niezadługo cały Korczyn do Bohatyrowicz się przeniesie!...—No—dodał z uśmié-

chem—już chyba tylko moja żona i panna Teresa tam nie pójdą!

Wstał, do Marty zwrócił się.

— Co ty wygadujesz? Jakie głupstwo do głowy ci przyszło! Ty tu niepotrzebna! Boże kochany! A toż my z tobą od dwudziestu kilku lat we dwoje pracujemy! tylkoż nas tu dwoje pracujących było! Niepotrzebna! A cóż jabym był począł, gdybym ciebie przy sobie nie miał? Toż ja nie tylko swojéj, ale i twojéj pracy zawdzięczam, że utrzymałem się przy Korczynie! Kobiéta uczciwa, pracowita, rządna, życzliwa w domu i w gospodarstwie — bagatela! Niepotrzebna! Ależ ty dzieci moje na rękach wypiastowałaś i wyhodowałaś! ty je jak matka i... za matkę... kochałaś i pieściłaś! Witold wiele ci winien, bo dobre, ludzkie rzeczy w głowę mu kładłaś... Moja Marto, za przyjaciółkę cię zawsze miałem i serdecznie cię lubiłem; tylko widzisz, kłopoty i różne biédy takim ponurym i smutnym mię były zrobiły, że i okazywać mi się nie chciało tego, co czułem. Alem ja wdzięczen ci, do grobu wdzięczen, i nie puszczę cię od siebie, jak sobie chcesz, nie puszczę... Facecya! ona niepotrzebna! Przez całe życie jak wół pracowała i niepotrzebna! Jéj nikt tu nie lubi! A ja? Wyhodowaliśmy się razem, pracowaliśmy razem...

Szérokiemi krokami po pokoju chodził, wąsy w dół pociągał, ramionami rozmachywał. Marta

podniosła na niego czarne, bystre, ogniste oczy, które z kolei napełniały się wyrazem zadziwienia, rozczulenia, radości.

— Królu mój! — zawołała,—i ty doprawdy tak myślisz, jak mówisz? ty nie z litości nad starą krewną, nie z grzeczności tak mówisz?

— Ależ, jak Boga kocham! — krzyknął Benedykt — upamiętaj się! sama pomyśl!

— Bożeż mój, Boże! — zawołała, i w zwykły już sobie sposób, jak wicher porwała się z krzesła, do krewnego przypadła, ręce jego pochwyciła. — Królu mój! braciszku! otożeś mię uszczęśliwił! Wieczna pociecha!... A ja myślałam, że stary grat ze mnie, nikomu tutaj niepotrzebny, a wszystkim obrzydły! Ty bo nie wiész, braciszku, co to jest życie przebyć bez serca kochającego przy sobie, bez dobrego słowa ludzkiego! Wieczny smutek mię jadł, tęsknota, ponurość taka, że wolałabym czasem w grobie gnić! I perswadowałam sobie, a ciągle gryzło żądanie, aby dusza jaka serdecznie mi sprzyjała, aby komu do życia i szczęścia przyczynić się! Chciałam spróbować tam... ale teraz już nie chcę... słowo honoru, nie chcę, nie pójdę... Wieczny śmiéch! po cóż ja mam ztąd iść, jeżeli tobie potrzebną jestem, i jeżeli ty mnie, jak brat siostrę lubisz?... Oj, królu mój, jakże ty mnie pocieszyłeś, jak uszczęśliwiłeś! Wieczna pociecha!

Garnęła się do niego, w ramiona go całowała,

płakała, aż zakaszlała się tak, że przez minut parę do słowa przyjść nie mogła.

— Teraz — uspokoiwszy kaszel, zaczęła,— teraz, braciszku, musisz pozwolić, abym parę koni na parę dni ci zabrała... Do miasta pojadę, do doktora... leczyć się muszę, aby ci jeszcze módz jak najdłużéj służyć... Ze trzy lata już temu przeziębiłam się, w piwnicy warzywa na zimę układając, ale nie dbałam o to... „Po co mam leczyć się? na co? wieczny smutek!“—myślałam.— i ambarasu nie chciałam nikomu robić... Czasem i bardzo źle ze mną bywało, taiłam się z tém jak z grzéchem śmiertelnym... „Im prędzéj, tém lepiéj!“— myślałam.— Ale teraz co innego. Jeżelim ja tobie potrzebna, jeżeli ty mnie lubisz i szanujesz, leczyć się muszę... aby jaknajdłużéj ci służyć, a może jeszcze... Uf, nie mogę!

Śmiała się i kaszlała.

— A może jeszcze i na weselu twoich dzieci potańcować! Wieczny śmiéch! Wieczny śmiéch!

Benedykt serdecznie ją w głowę i czoło całował.

— Uspokój się — rzekł, — siadaj i mów mi wszystko, co wiész o Bohatyrowiczach w ogóle, a o tym narzeczonym Justynki w szczególności. Opiekunem jéj jestem, a choć dziéwczyna pełnoletnia, energiczna i nie głupia, na wiatr przyzwolenia swego dawać nie mogę. Witoldowi nie bardzo ufam, bo różowe okulary na nosie mu sie-

dzą; ale wiém, że ty interesowałaś się zawsze tymi ludźmi, teraz na weselu u nich byłaś, widziałaś, słyszałaś, — mówże mi wszystko, co o nich wiész!

Martę znowu wezwanie to uszczęśliwiło, bo znowu przekonywało ją, że na coś potrzebną była, że krewny ufa jéj i w rozsądek jéj wierzy.

Cicho téż na krześle usiadła, i ze skupieniem, z rozwagą długo mówiła, opowiadała, — i nie skończyła jeszcze mówić i opowiadać, kiedy naprzód w sali jadalnéj dały się słyszéć śpieszne kroki, a potém we drzwiach gabinetu ukazał się Orzelski. Szlafrok na sobie miał, w pasie sznurem przewiązany; smyczek w ręku trzymał. Rumiana, dobroduszna zawsze twarz jego wyrażała teraz gniéw i wzburzenie.

— Panie dobrodzieju! — od progu zawołał, — to jest te... głupstwo, na które pan dobrodziéj pewno pozwolenia swego nie dasz! Pan dobrodziéj opiekunem Justynki jesteś, i nie spodziéwałem się, aby w domu pana dobrodzieja córkę moję taka te... kompromitacya spotkała...

Sapał głośno, okrągłą postać dumnie prostował, smyczek do góry wzniósł.

— Tu kompromitacyi żadnéj dla Justynki niéma—powstając, zaczął Benedykt. — Dziéwczyna jest pełnoletnia, wolę swoję ma, za kogo zechce, wyjdzie...

— Wyjdzie! za te... a panu Różycowi, który

jest te... całą gębą panem, odmówiła! A jaż, panie dobrodzieju, ja... te... te... co zrobię? czy ja za nią do te... te... te... prostéj chaty pójdę? Ja, panie dobrodzieju, te... te... te... nie przywykłem... tam pewno nawet fortepianu postawić gdzie niéma... mnie tam te... te... te... te... te... głodem zamorzą!

Łzy mu oszkliły oczy; z gniéwu wpadł w żal, prawie szlochał. Benedykt rękę mu na ramieniu położył, i z czołem zmarszczoném, z niesmakiem w wyrazie ust, spokojnie jednak rzekł:

— Bądź pan spokojny; jak mieszkałeś w Korczynie, tak mieszkać będziesz. Pewno, że tam wyżyćbyś nie mógł. Ale ja z największą przyjemnością panu dom swój nadal ofiaruję. Zresztą, macie u mnie swoję sumkę, którą Justysi częściami tylko będę mógł spłacać...

Orzelski chciwie tych słów wysłuchał i uspokoił się znacznie.

— Ale, widzi pan dobrodziéj, zawsze to jakoś nie te... aby panienka taki mezalians robiła...

Benedykt zamyślił się na chwilę.

— Mój kochany panie—odpowiedział, — przypomnij sobie swoję własną młodość... Może téż Justynka szczęśliwszą będzie w tym mezaliansie, niż moja cioteczna siostra była w małżeństwie z panem... zupełnie przecież stosowném.

Orzelski usta trochę otworzył, zmieszał się.

Jakieś przypomnienie ugodziło weń i trochę nim wstrząsnęło.

— Serce, panie dobrodzieju...— zaczął,— serce nie... te... nie sługa... Jeżeli z mojéj strony były jakie te... to przez te... serce!

— No — przerwał Benedykt, — o przeszłości niéma co mówić, a o przyszłość swoję bądź pan spokojny. Idź na górę, graj sonatki i serenadki, a Marta ci tam zaraz śniadanie poszle...

Orzelski pomyślał chwilę, na smyczek spojrzał.

— Kiedy tak—zaczął,—to niech już sobie Justynka te... ale zawsze to nie wypada, aby panienka za jakiegoś te... te... nie wypada... nie wypada!...

Głową kołysząc i wyraz ostatni powtarzając, zupełnie jednak już uspokojony, odszedł.

Benedykt długo jeszcze rozmawiał z Martą i Witoldem, który Kirłową i jéj gromadkę do bryczki wsadziwszy i pożegnawszy, śpiesznie do ojca przybiegł.

Potém, usłyszawszy w sali jadalnéj nakrywanie do stołu, poprosił Marty, aby o parę godzin podanie obiadu wstrzymała, a Witoldowi Justynę zawołać kazał.

Nadbiegła niespokojna. Sprzeczki i poróżnienia z wujem lękała się.

— Chodź — rzekł do niéj Benedykt, kapelusz słomiany na głowę włożył i ramię jéj podał.

Odgadła dokąd ją miał prowadzić, i z okrzykiem radości do rąk mu się rzuciła.

Poszli drogą, sunącą białym szlakiem u spłowiałego kobierca pól. Niebo było białe od okrywających je obłoków, pod niém leciały stada jaskółek i gdzieniegdzie kołysały się krogulce. W powietrzu panowała chłodna, smętna, łagodna cisza jesieni.

Kiedy Benedykt i Justyna weszli do zagrody Anzelma i Jana i prędko przebywali przerzynającą duży ogród drogę, na któréj teraz usychały trawy i żółkły więdnąc białe dzięcieliny, siedząca na sapieżance biało-czarna sroka zakrakała, kogut za płotem zapiał i żółty Mucyk wybiegł z podwórka z wielkiém szczekaniem. Ale pogładziła go Justyna i pies lisi swój pyszczek do sukni jéj tulić, a kiściastym ogonem wywijać zaczął, z miłością w oczy jéj patrząc.

Potém, spostrzegł ich wysoki, zgrabny, złotowłosy chłopak, w głębi ogrodu u wrót podwórka odrosłą trawę koszący. Spostrzegł ich i zrazu trwoga uczyniła go jakby martwym, a wszystką krew z ogorzałych policzków spędziła. Ale w mgnieniu oka domyślił się co znaczyło to wspólne z wujem przybycie Justyny. Niezmierna radość błyskawicami wytrysnęła mu z oczu; kosa z rąk jego na trawę padając, błysnęła, brzęknęła. Kilku skokami przed Benedyktem się znalazł, przykląkł i gorące usta do ręki jego przycisnął.

Benedykt nie na niego jednak patrzył, ale na Anzelma, który stojąc pod okapem ganku w grube floresy rzeźbionym, przygarbiony trochę, w długiéj kapocie, powolnym ruchem rękę ku wielkiéj baraniéj czapce podnosił.

Oczy tych dwu ludzi spotkały się z sobą; przez chwilę milcząc na siebie patrzyli. Nakoniec, Benedykt kładąc dłoń na pochylonéj przed nim głowie Jana, tonem zapytania wymówił:

— Syn Jerzego?

Anzelm wyprostował się i głowę odkrył. Ze snopa zmarszczek leżącego mu pomiędzy brwiami, na wysokie czoło i aż na skronie cienkie nici rozbiegły się niby ukośne promienie. Rękę z wielką czapką wzniósł nieco, na zaniemeński bór nią wskazał, i trochę jąkając się, odpowiedział:

— Tego sa... samego, który z bratem pańskim w jednéj mogile spoczywa!

KONIEC.